KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ **Nr 6/309** **1973**

• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

X. Y. Z. : **NOCNE RODAKÓW ROZMOWY**

T. NOWAKOWSKI : **BUON GIORNO ROMA**

CZ. MIŁOSZ : **MAŁA PAUZA**

J. MIEROSZEWSKI : **POLSKA «OSTPOLITIK»**

SPIS RZECZY

X. Y. Z.: *Nocne rodaków rozmowy* 3
Tadeusz Nowakowski: *Buon giorno Roma* 40

WIERSZE

Czesław Miłosz: *Mała pauza* 63

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski: *Polska „Ostpolitik"* 68
Brukselczyk: *Widziane z Brukseli* 79

SĄSIEDZI

Adam Kruczek: *W sowieckiej prasie* 85

K R A J

Bogdan Mieczkowski: *Ekonomiści krajowi o spożyciu w PRL* 95

STRATY KULTURY POLSKIEJ

Roman Palester: *Antoni Szałowski* 107

WOLNA TRYBUNA

Andrzej Rapaczyński: *Niemoc filozofii czy filozofia niemocy* 112

KSIĄŻKI

Berlińczyk: *Dziennik Bertolda Brechta* 131
Maria Czapska: *Zygmunt Waliszewski (1897-1936)* .. 142
— *Nadesłane nowości wydawnicze* 146

SPRAWY (NIE TYLKO) WYDAWNICZE

Adam Bromberg: *„Przełom" w polskim ruchu wydawniczym* 147

◆

— *Wydarzenia miesiąca* 152

◆

Z. Golczyński, M. Głogoczowski, G. Nowak: *Listy do Redakcji* 158

◆

— *Komunikaty:*
a) *Stypendia Polonia Technica Inc.* 160
b) *Liceum Polskie nad Marną* ... 160

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Czerwiec - Juin 1973

INSTYTUT LITERACKI

PODZIĘKOWANIE

Składam tą drogą serdeczne podziękowanie tym wszystkim, którzy w związku ze śmiercią mego męża, Antoniego Szałowskiego, i moją równoczesną chorobą, okazali mi tak serdeczną przyjaźń i samorzutną pomoc, oraz wzięli udział w jego pogrzebie.

Teresa SZAŁOWSKA z synem
I-212 La Mare des Noues
95130-Franconville

SPROSTOWANIE

W związku z artykułem W. A. Zbyszewskiego pt. „Stulecie urodzin A. Krzyżanowskiego" otrzymaliśmy sprostowanie, że mianowicie ojcem chrzestnym Adama Heydla nie był Roman Dmowski, ale Józef Dobiecki — z Krzyżanowic. A ojcu A. Heydla było na imię Zdzisław. Ze względu na niemieckie pochodzenie nazwiska otrzymywali wszyscy Heydlowie imiona słowiańskie: Mieczysław, Zdzisław, Bronisława itp.

WPŁATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Dr Jan S. Dobrucki, Mississauga, Ont., po raz dziewiąty	F. 135,00
H. Dolatowski, Knutange (Francja), po raz czwarty	F. 30,00
Edmund Lipecki, Atlanta, Georgia (USA)	F. 22,50
Prof. Bogdan Mieczkowski, Ithaca (USA), po raz ósmy	F. 250,00
Zdzisław Pechnik, 92-Meudon (Francja), po raz siódmy	F. 100,00
Polonia Technica, Inc., Nowy Jork, po raz ósmy	F. 112,50
Zofia i Michał Świętorzeccy z Toronto, Ont. (Kanada), dla uczczenia pamięci Leona Manteuffel-Szöge, znakomitego polskiego chirurga i humanisty, zmarłego w Warszawie 26 marca 1973 roku	F. 112,50
A. Yaremowicz, Hillsport, Ont. (Kanada), po raz piąty	F. 22,50

DZIĘKUJEMY!

Imprimé en France.

Nocne rodaków rozmowy

Prowadzimy je wszędzie, w Kraju i na obczyźnie, wszędzie tam, gdzie się spotykamy, pewni, że nie podsłuchują nas nieżyczliwe uszy, ufni, że nikt z uczestników tych rozmów nie podejrzewa w swoim rodaku złej woli, wierząc, że wszystkim na równi leży na sercu dobro wspólne, najważniejsze. Różny bywa ton tych rozmów, lecz zawsze jest on tonem szczerej troski. Nawet wtedy, gdy spór staje się zaciekły, kiedy bywa zaprawiony goryczą, kiedy go rozpala uniesienie, żywimy nadzieję że w końcu do jakiegoś wspólnego wniosku, choćby błahego, potrafimy dojść. Spodziewamy się, że nad naszymi rozbieżnościami weźmie górę rozsądek, że zgoda narodowa jest możliwa, nie tylko we wspólnej walce lub pod knutem nasłanego zbira, ale i wtedy, kiedy ją dyktuje roztropnie rozpoznana potrzeba. Nasze dysputy nasilają się w obliczu zbliżających się rozstrzygnięć. Bywa, że wszyscy zdajemy sobie z nich sprawę, ale bywa też, że ich nie dostrzegamy znużeni codzienną krzątaniną. Czyż tak nie jest właśnie w chwili obecnej?

Zwołanie Europejskiej Konferencji w Sprawie Bezpieczeństwa i Współpracy oznaczać może zakończenie blisko trzydziestoletnich przetargów między Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Sowieckim oraz oficjalne uznanie *status quo* w Europie w tej postaci, w jakiej się ukształtował po zakończeniu drugiej wojny światowej na podstawie układów zawartych przez niektórych partnerów koalicji antyniemieckiej jeszcze w czasie trwania działań wojennych. Porozumienie takie stało się możliwe, kiedy Ameryka i Rosja, faktycznie decydujące o podziale Europy na sfery wpływów, doszły do przekonania, że na obecnym etapie dziejowym mogą ułożyć swe stosunki jedynie wybierając między konfliktem zbrojnym, który nieuchronnie przekształciłby się w konfrontację nuklearną lub zamrożeniem istniejącego stanu rzeczy.

Oba bowiem mocarstwa wciąż jeszcze nie mają jakiejś zwartej nowej koncepcji „pokojowego współistnienia", która mogłaby skutecznie zastąpić rooseveltowsko-stalinowską zmowę w sprawie podzielenia świata między dwóch pół-hegemonów.

Mocarstwa, które były sygnatariuszami umów podpisanych w Teheranie, Jałcie i Poczdamie deklarowały, że uważają te umowy za preambuły przyszłego traktatu pokojowego, którego myślą przewodnią miało być przywrócenie zburzonego przez Niemcy porządku europejskiego. Umowy te przewidywały nie tylko restytucję granic naruszonych przez Trzecią Rzeszę w następstwie działań wojennych, ale i tych granic, które zmienione zostały za milczącym lub formalnie wyrażonym przyzwoleniem innych państw, czyli unieważnienie takich aktów politycznych jak przyłączenie Austrii do Rzeszy Niemieckiej, zabór terytorium Czechosłowacji na mocy układów monachijskich lub takich poczynań jak utworzenie odrębnego państwa słowackiego i protektoratu czeskiego. Nie przewidywały natomiast wyżej wspomniane układy międzysojusznicze odtworzenia porządku politycznego i społecznego naruszonego przez ZSSR w Europie Środkowej i Wschodniej w następstwie dokonanego wespół z Niemcami zaboru terytorium Polski, zagarnięcia Litwy, Łotwy i Estonii oraz zmian granicznych wymuszonych na Finlandii, Czechosłowacji i Rumunii.

W odniesieniu do Polski potwierdzeniem jednostronnych zmian dokonanych przez Związek Sowiecki był układ podpisany w Moskwie przez Sikorskiego i Stalina, uznany następnie przez sojuszników wojennych Polski i Związku Sowieckiego za podstawę do przyszłego uregulowania stosunków polsko-sowieckich. Układ ten nie tylko nie zawierał jednoznacznego potępienia agresji sowieckiej przeciw Polsce we wrześniu 1939 roku, ale nie kończył nawet stanu wojny między Polską a ZSSR i nie przewidywał anulowania takich jednostronnych aktów prawnych rządu sowieckiego jak ustanowienie administracji sowieckiej na terytorium Rzeczypospolitej, dokonanie zmian w stanie własności i narzucenie obywatelom polskim obywatelstwa sowieckiego.

Brak tego rodzaju ustaleń, które by przekreśliły fakty dokonane stworzone przez Związek Sowiecki w roku 1939 w odniesieniu do Rzeczypospolitej Polskiej, zmieniał radykalnie sytuację Polski w koalicji antyniemieckiej. Był on bowiem nie tylko równoznaczny z uznaniem i akceptacją tych faktów i wynikającego z nich stanu rzeczy, lecz ponadto stwarzał przesłanki do ewentualnego zakwestionowania statusu rządu generała Sikorskiego jako legalnego przedstawicielstwa istniejącego nadal suwerennego państwa polskiego. Pominięcie takich wyraźnych stwierdzeń stanowiło pośrednie potwierdzenie tezy rządu sowieckiego, głoszonej

od 17 września 1939 roku i nigdy nie odwoływanej, że Państwo Polskie przestało istnieć w przeddzień wkroczenia wojsk sowieckich na jego terytorium. Rząd gen. Sikorskiego mógł być odtąd traktowany przez Związek Sowiecki, a co za tym idzie przez rządy sojusznicze, jako doraźna reprezentacja „narodu walczącego z najazdem hitlerowskim", ten zaś naród, po zakończeniu wojny, w granicach wyznaczonych mu przez zwycięskich sojuszników, stworzy nowe państwo, które nie będzie kontynuacją państwa istniejącego przed wojną a tylko przejawem historycznego trwania narodu polskiego.

Legalność rządu gen. Sikorskiego opierała się na fakcie, że został on powołany zgodnie z postanowieniami konstytucji Rzeczypospolitej. Legalność ta stawała się co najmniej problematyczna, kiedy rząd ten, nie doprowadzając do formalnego zakończenia stanu wojny z państwem ościennym, wyrażał pośrednio — mimo późniejszych jednostronnych deklaracji i poczynionego w nich *reservatio mentalis*, nie znajdującego odzwierciedlenia w żadnym dokumencie urzędowym — zgodę na zakwestionowanie całości granic państwa, co zostało dodatkowo potwierdzone w protokole do paktu, w którym strona polska przyznawała stronie sowieckiej prawo udzielania *amnestii* obywatelom polskim, tym samym wyrażając zgodę na kwestionowanie ich obywatelstwa.

W niemniej istotny sposób zmieniało podpisanie paktu moskiewskiego wewnątrzpolityczną sytuację rządu gen. Sikorskiego. Kontrsygnatariuszami legalności tego rządu byli wchodzący w jego skład przedstawiciele stronnictw politycznych działających w Kraju. Pakt podpisany bez uzyskania zgody wszystkich stronnictw politycznych, wchodzących w skład rządu i sprzeciwiających się naciskom obcego mocarstwa w tej sprawie, równoznaczny był z zamachem stanu. Odtąd rząd emigracyjny przestawał być jedynym rzecznikiem walczącej Polski w koalicji antyniemieckiej, z czego nie omieszkali skorzystać pozostali członkowie koalicji ingerując w wewnętrzne sprawy polskie i doprowadzając w końcu do sytuacji, w której rząd ten nie był już traktowany jako jedyny reprezentant Polski lecz jedynie jako rzecznik pewnej części społeczeństwa.

Tak więc pakt moskiewski z roku 1941 stał się faktyczną przesłanką nowego podziału Europy i powstania na tym kontynencie stanu rzeczy, całkowicie niezgodnego z ideowymi założeniami umów międzysojuszniczych zawieranych w czasie trwania wojny jak też z oficjalnie deklarowanymi celami wojny. Niezależnie od intencji i werbalnych oświadczeń sygnatariuszy, pakt ten stał się dokumentem przypieczętowującym koniec Drugiej Rzeczypospolitej i rozpoczynał okres bezkrólewia, trwający w odczu-

ciu znakomitej większości społeczeństwa polskiego — w takiej czy innej postaci — po dzień dzisiejszy. Od chwili bowiem zawarcia tego paktu Polska przestała być podmiotem polityki międzynarodowej a stała się jej przedmiotem. Wszystkie administracje, rządowe i inne, działające od tej pory, albo same rezygnowały z prerogatywy podejmowania samodzielnych decyzji politycznych albo do rezygnowania z nich bywały przymuszane. Ten osobliwy stan rzeczy doprowadził do utworzenia po drugiej wojnie światowej Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, czyli formy bytu państwowego, którego cechą zasadniczą jest istnienie państwowości bez suwerenności.

Jest to forma z konieczności tymczasowa. Nie tylko dlatego, że w subiektywnym odczuciu Polaków stanowi ona ograniczenie ich wolności, a co za tym idzie, uniemożliwia im pełny i swobodny rozwój, ale także i dlatego, że zawiera ona w sobie obiektywne sprzeczności, wiodące nieuchronnie do konfliktów, których żadne stosowane dotąd półśrodki nie zdołały rozwiązać.

Sprzeczności te są dwojakiego rodzaju i są ze sobą nierozerwalnie związane. Istnienie państwowości uniemożliwia zintegrowanie Polaków w cywilizacyjnym modelu sowieckim, zdeterminowanym przez tradycje imperium rosyjskiego. Historyczne i światopoglądowe źródła różnego pojmowania miejsc człowieka w świecie i społeczeństwie są w obu kulturach tak różne, że o ich pogodzeniu w ramach jakiejś nadrzędnej filozofii w rodzaju marksizmu, nie może być mowy. Z tym też związane są sprzeczności w rozwoju społecznym i gospodarczym, nieuchronnym przy zachowaniu nawet najbardziej ograniczonej państwowości. Rozwiązanie tych sprzeczności jest możliwe jedynie pod warunkiem przywrócenia państwu suwerenności, tylko w takim bowiem wypadku mechaniczne, wykoncypowane jako środek doraźny, koncepcje istnienia Polski, będące wypadkowymi fałszywych założeń i wynikających z nich błędów politycznych — popełnianych zresztą przez obie strony — zastąpione zostaną przez prawdziwie skuteczne rozwiązania, oparte na odważnym uznaniu faktów i na szczerym dialogu.

Planowana Konferencja w Sprawie Bezpieczeństwa ma być, jak na to wskazują prace przygotowawcze, potwierdzeniem stanu rzeczy opartego na klasycznej równowadze sił, z ewentualnym uwzględnieniem zmian jakie zaszły w strukturze Europy Zachodniej. Tego rodzaju krótkowzroczna formuła nie zapewni naszej części świata, a co za tym idzie, całemu światu nawet takiego okresu względnego spokoju, jakim było minione trzydziestolecie. Co więcej, kryje ona w sobie niebezpieczeństwo przyśpieszenia procesów, które mogą świat doprowadzić na skraj przepaści. Pozornie pragmatyczne myślenie polityków, przygotowujących

formalne potwierdzenie takiego *status quo*, dowodzi jedynie, że ich postawa podyktowana jest niemożnością oderwania się od anachronicznych dogmatów. Nie może bowiem być przesłanką trwałego pokoju stan rzeczy, który będzie ciągłym balansowaniem na linie, nieprzerwanym okresem zimnej wojny toczącej się nie — jak to usiłuje się wmówić społeczeństwom i narodom — między Zachodem a Rosją, ale prowadzonej przez Zachód i ZSSR przeciw ujarzmionym narodom Europy. Pokoju nie zapewnią żadne koegzystencyjne układy między Ameryką i Europą Zachodnią a Rosją Sowiecką, z takim bowiem pokojem nigdy nie pogodzą się narody, których kosztem miałby on być zawarty. Trwały pokój może być tylko wynikiem powstania w Europie takich stosunków międzynarodowych i międzypaństwowych, które *wszystkim* państwom przywrócą suwerenność i wszystkim narodom warunki pełnego i samodzielnego rozwoju.

Trzydzieści lat systemu narzuconego Europie przez nieświęte przymierze Ameryki i Rosji przyniosły głęboki rozkład społeczeństw europejskich, umożliwiły rozkrzewienie się idei nihilistycznych, podważyły wręcz racje bytu tej kolebki cywilizacji i kultury. Zarazki dekompozycji plenią się na całym naszym kontynencie, znajdując pożywkę w jego rozbiciu, żerując zarówno na jałowym dobrobycie ekonomicznym jednej jego części jak i na nędzy i upokorzeniu drugiej. Dla Polski wszelkie próby utrwalenia tego stanu rzeczy oznaczają śmiertelną groźbę, pociągnąć bowiem mogą za sobą nie tylko rozpaczliwe — coraz bardziej rozpaczliwe — zrywy, kończące się z reguły klęskami wytaczającymi krew narodu, ale i stopniowe rozbrojenie moralne narodu. Po to by przeciwdziałać takiemu procesowi musimy walczyć o świadomość narodową, o utrwalenie jej, o zaleczenie ran jej zadanych, o jej pogłębienie. Pracy takiej musi towarzyszyć ciągły spór o przeszłość, którego uczestnicy stale pamiętać muszą, że ich celem jest wytyczenie celów na przyszłość.

1.

Wszelkie rozmowy o naszej rzeczywistości zaczynają się z natury rzeczy od tego punktu wyjściowego najnowszej historii Polski, którym było odzyskanie niepodległości w 1918 roku. Wszelkie bowiem sądy o tej rzeczywistości związane są ściśle z oceną okresu międzywojennego, którego blaski i cienie zaważyły na dalszych losach narodu.

Odrodzenie państwa polskiego w roku 1918 stało się możliwe dzięki polskiemu czynowi zbrojnemu. Żaden traktat pokojowy nie wskrzesiłby Polski zdolnej do samodzielnego bytu pań-

stwowego, gdyby nie powstały na czas polskie siły zbrojne, gdyby nie walka polskiego żołnierza. Przetargi wersalskie dowiodły, że koncepcja państwa polskiego, jako podmiotu a nie przedmiotu polityki europejskiej, obca była mentalności polityków ustanawiających nowy ład na kontynencie europejskim. Granice zmartwychwstałej Rzeczypospolitej wytyczone zostały ostatecznie przez oręż polski stwarzający fakty dokonane, a nie przez dyplomatów kierujących się swymi partykularnymi interesami i broniącymi ich argumentami o konieczności zachowania równowagi sił.

Nad Wersalem unosił się duch tych wszystkich kongresów i konferencji europejskich, którym przyświecały „racjonalne" zasady dzielenia świata na tereny ekspansji gospodarczej, zasady wynikające z kategorii myślenia wykluczających przesłanki ideowe. Ten właśnie wiek dziewiętnasty, który spłodził totalistyczne doktryny nacjonalizmu, marksizmu i amerykańskiego „oczywistego przeznaczenia" i równocześnie przyniósł rozkwit liberalizmu politycznego, będącego przejawem choroby toczącej cywilizację śródziemnomorską, usiłował równocześnie wyeliminować z historii tworzonej praktycznie ideologie, będące przecież tej historii prawdziwym motorem. Pojawienie się Ameryki w Europie i rewolucja bolszewicka — dwa fakty znamionujące początek ery walki o hegemonię światową między dwoma obcymi Europie rozumieniami uniwersalizmu — nie zostały jakby dostrzeżone przez zadowolonych ze siebie panów w tużurkach, zajętych podziałem łupów wojennych.

Do tych nielicznych, którzy umieli odczytać znaki czasu i dostrzegli w nich zapowiedź głównych problemów nadchodzącej epoki należał Józef Piłsudski. Formułując swój program polityczny wybiegał daleko w przyszłość. Próbował położyć podwaliny pod taki porządek polityczny w Europie, który uchroniłby ją przed znacznie groźniejszym od wszystkich dotychczasowych kryzysem wartości. Pragnął wyeliminować z życia politycznego Europy wszelkie zalążki duchowego nihilizmu. Nie myślał bynajmniej o likwidacji państwa rosyjskiego, o pozbawieniu narodu rosyjskiego należnych mu praw i miejsca w świecie, lecz jedynie dążył do zburzenia struktury, która była następstwem fałszywie obranej drogi. Rosjanie sami zdawali sobie sprawę, że rak toczący ich organizm państwowy dokonał tak wielkich spustoszeń, że naród zaczął tracić instynkt samozachowawczy. Rosję stać jeszcze było na to, by trafnie postawić diagnozę choroby i uczyniła to ustami Lenina, który imperium rosyjskie nazwał „więzieniem narodów". Ze zdumiewającą jednak przenikliwością widział Piłsudski w twórcach nowej Rosji potencjalnych reorganizatorów tego więzienia, świadomie lub bezwolnie poddających się brzemieniu historycznego błędu.

Piłsudski rozumiał, że wcześniej lub później Europa będzie musiała stawić czoła dynamizmowi odrodzonej w innej formie idei Trzeciego Rzymu, tej obłędnej koncepcji historiozoficznej, która pchnęła Rosję w zgubnym dla niej kierunku. Wyznaczając Polsce nowe miejsce w świecie chciał, by z wysuniętej reduty kultury śródziemnomorskiej przekształciła się w ośrodek myśli i działania narodów odzyskujących swój byt państwowy lub stawiający w tym kierunku pierwsze kroki. Wiedział, że narody muszą dążyć do zrzucenia wszelkich więzów krępujących swobodny rozwój ich świadomości, jeśli nie mają ulec przemocy lub zginąć śmiercią samobójczą. I wiedział też, że w tej części świata tylko Polska — dzięki swemu historycznemu doświadczeniu, położeniu geopolitycznemu oraz kulturalnemu i fizycznym zasobom — może inne narody po tej drodze poprowadzić. Kiedy więc krótkowzroczność wielkich i niedojrzałość małych partnerów takiej polityki przekreśliły szanse na jej urzeczywistnienie, postanowił wykorzystać krótki, w jego przekonaniu, okres jaki pozostawał do kolejnej próby ognia, na przygotowanie Polski do nowych zmagań o byt narodowy i państwowy.

Zadanie to było jedynie częściowo wykonalne. Społecznemu i gospodarczemu zacofaniu kraju — które było nieuchronnym następstwem półtorawiekowej niewoli — towarzyszył niedorozwój myśli państwowej. Od momentu utraty niepodległości główną troską polskiej myśli politycznej było zachowanie i utrwalenie świadomości narodowej, tę bowiem w pierwszym rzędzie atakowali zaborcy. Nie mógł natomiast naród pozbawiony bytu państwowego naprawić błędów, które doprowadziły do upadku państwa. Wszelkie próby głębszych reform społecznych i gospodarczych natrafiały na opór zaborców, w których interesie leżało utrzymanie stanu społecznego, politycznego i gospodarczego rozkładu, który umożliwił rozbiory. Jak zawsze w podobnych sytuacjach, mogli zaborcy liczyć na lojalność warstw i jednostek zainteresowanych w utrzymaniu takiego stanu rzeczy.

Nie mniej groźnym produktem niewoli były kalekie ideologie, czyniące cnotę z konieczności. Szermując hasłami walki o wolność, budowały one swe kunsztowne rozumowania na faktycznej kapitulacji przed potęgą przemocy. Koncepcje te w obu swych najogólniej traktowanych wersjach, a więc pracy organicznej od podstaw oraz rewolucji społecznej, zrywały z ciągłością historyczną warunkującą „nierozumną" osobliwość miejsca Polski w świecie. Nie tylko więc nie mogły one przygotować narodu do samodzielnego bytu państwowego, lecz co gorsze, wyjaławiały wszelkie myślenie w kategoriach państwowych. Stając na czele rządów w odrodzonym państwie polskim był Józef Piłsudski osamotniony w swym realizmie opartym na wierności historii. Mógł się

oprzeć jedynie na swym osobistym autorytecie twórcy polskiego czynu zbrojnego, miał natomiast przeciw sobie partie i ugrupowania polityczne, które zaskoczył „wybuch" niepodległości, ponieważ nie figurował on w ich planach i rachubach. Miał też, w gruncie rzeczy, przeciw sobie obojętność zdezorientowanych lub niedojrzałych do życia politycznego warstw społecznych.

Nie znajdowało też zrozumienia myślenie Piłsudskiego w Europie Zachodniej. Zwycięskie państwa, które podyktowały traktat wersalski przeżywały kryzys, będący głównie skutkiem zarysowującego się już podówczas rozkładu dawnego systemu kolonialnego. Pogrążone w egoistycznej grze politycznej, zajęte swymi krótkowzrocznie widzianymi interesami wewnętrznymi i międzynarodowymi, obserwowały bez większego zainteresowania, często zaś wręcz nieżyczliwie, żmudną rekonstrukcję państwowości polskiej. W Europie Środkowej lęgły się już doktryny faszystowskie, obłędne reakcje chorych narodów na realną groźbę bolszewizmu. W takiej sytuacji, przynosząc Polsce „wolność tragiczną" mógł Piłsudski liczyć jedynie na to, że żywotne siły narodu okażą się dostatecznie prężne, by umożliwić ukształtowanie się modelu nowoczesnego Polaka, który przezwyciężywszy dziedzictwo niewoli, nauczy się myśleć w kategoriach państwowych.

Proces ten wymagał w pierwszym rzędzie zespolenia wysiłków, kategorycznego uznania nadrzędności sprawy umocnienia nowego państwa. Wymagał wizji, która wszelkie kalkulacje polityczne, społeczne i gospodarcze opierałaby na realistycznej ocenie rzeczywistości; wizji, której nie przesłaniałaby euforia i nie zaciemniało bielmo skostniałych nawyków. Ale już pierwsze lata niepodległości zdawały się świadczyć, że nie stać nas na to. Koncert sił politycznych w szybkim czasie wyrodził się w parlamentarną anarchię; walkę poglądów zastąpiły warcholskie spory o władzę, w których beztroska szła w parze z bezkarnością. Żerowanie na opinii publicznej, ze zrozumiałym trudem przywykającej do nieznanej od przeszło stu lat wolności, szczególnie w byłych zaborach rosyjskim i pruskim, staczało się niekiedy do agitacji urągającej zwyczajnej przyzwoitości. Zabójstwo pierwszego prezydenta odrodzonego państwa, demagogia, która do tej zbrodni doprowadziła i którą uprawiano nadal po zbrodni; trudności na jakie napotykały wszelkie próby reform — wszystko to zdawało się świadczyć o niedojrzałości stronnictw i partii politycznych pretendujących do reprezentowania szerokiego wachlarza opinii społecznej a zapewne też i o nieudolności przywódców tych partii, którym albo brakło wizji albo umiejętności opanowania i unowocześnienia ruchów na czele których się znajdowali.

Było rzeczą niemal nieuchronną, że władza, która spoczęła w rękach najsilniejszej indywidualności na ówczesnej arenie politycznej, jednostki nie posiadającej partnera, który dorównywałby jej autorytetem, energią i wolą działania, zaczęła się wyradzać w system autorytatywny ograniczonej demokracji parlamentarnej, zapewniającej jednak bynajmniej nie błahy zakres swobód obywatelskich. Demokracja i praworządność nie są nawet w teorii, a cóż dopiero w praktyce, pojęciami samoistnie wymiernymi; stopień ich urzeczywistnienia daje się ustalić tylko bodaj w skali porównawczej. W Europie międzywojennej, Polska jednocząca swe ziemie, scalająca swe społeczeństwo nie miała powodu wstydzić się poziomu wolności, z jakich korzystali jej obywatele.

W ciągu dwudziestu lat powstało państwo jednolite, rozwijające się dynamicznie i, co najważniejsze, państwo, które uzyskało bynajmniej nie poślednie miejsce w świecie. Nie ulega wątpliwości, że tylko dzięki politycznym, gospodarczym i społecznym osiągnięciom drugiej Rzeczypospolitej mógł naród polski stawić czoło eksterminacyjnej polityce niemieckiej i sowieckiej w czasie drugiej wojny światowej i nie dopuścić do zdjęcia sprawy polskiej z agendy powojennej rekonstrukcji świata. Nie mogły jednak te osiągnięcia zapewnić Polsce suwerenności w krytycznej sytuacji, kiedy o jej losach decydowały nie tylko mocarstwa obce ale i żywotność jej struktury politycznej. Zasobów energii nagromadzonych w dwudziestoleciu starczyło na walkę o byt narodowy, nie było ich jednak dość na zachowanie niepodległości.

Obóz rządzący Polską od przewrotu majowego ulegał rozkładowi, nieuchronnemu w warunkach rosnącej monopolizacji władzy, która — w początkowym przynajmniej okresie — była bardziej skutkiem braku koncepcji polityki wewnętrznej niż tendencji autokratycznych przywódców. Brak zaś takiej koncepcji uniemożliwiał skuteczne usunięcie tych bolączek i niedomagań, które przeszkadzały rozwojowi społecznemu kraju. Storpedowanie reformy rolnej, owoc taktycznych kompromisów z warstwą, która straciła całkowicie zdolność konstruktywnego myślenia państwowego, uniemożliwiło ruchowi ludowemu objęcie należnej mu roli współgospodarza państwa. Ruch ludowy znalazłszy się w politycznej opozycji, rozdzierany sporami wewnętrznymi i pozbawiony zdrowej bazy ekonomicznej nie mógł nadrobić wiekowego opóźnienia. W podobnej sytuacji znalazła się socjaldemokracja. Jeszcze zaś tragiczniejsze miały się okazać w przyszłości konsekwencje metod, przy pomocy których obóz narodowy walczył o „rząd dusz".

Można więc zaryzykować twierdzenie, że w drugiej Rzeczypospolitej przebiegały równocześnie dwa procesy, których skutki miały się ujawnić w latach wojny i okupacji. Z jednej strony postępowała anarchizacja życia politycznego, przy czym środki przedsiębrane przez obóz rządzący w celu jej opanowania do-

prowadzały jedynie do spychania na margines twórczych elementów opinii publicznej. Z drugiej zaś, żywotne siły narodu z trudem umacniały kościec młodego państwa, tworząc dwa elementy, które w okresie wielkiej próby wykazały swą największą trwałość, a mianowicie wojsko i administracja. Doprowadziło to w efekcie do paradoksu państwa podziemnego, które opierało się na zachowanych strukturach wojskowych i administracyjnych, w istocie jednak kierowane było i reprezentowane przez władze najwyższe w kraju i na emigracji, wyłonione z przedstawicieli ruchów politycznych, które w tworzeniu tego wojska i administracji nie uczestniczyły, co więcej, dla których wojsko i administracja stworzone przez obóz piłsudczykowski i ukształtowane przez cały szereg elementów programu ideowego i politycznego tego obozu, były poniekąd symbolem obcego im całkowicie i zwalczanego przez nie myślenia.

Koalicyjny charakter tych władz naczelnych był czczą formułą, osłaniającą czysto pragmatyczną i doraźną ich naturę. Prezydent, wódz naczelny, rząd, mogli funkcjonować jedynie dlatego, że społeczeństwo uznawało ich symboliczną rolę. Posłuszne woli społeczeństwa, wojsko i administracja udzielały tym władzom ograniczonego kredytu zaufania i w pewnych granicach, oraz pod pewnymi warunkami, nie wypowiadały im posłuszeństwa. Nie mogło natomiast być mowy o sformowaniu jakiegoś twórczego programu politycznego, który scaliłby walkę zbrojną i polityczny ruch oporu, zespolił państwo podziemne z rządem umożliwiając mu w ten sposób skuteczne uczestniczenie w ustalaniu powojennych kształtów Europy. Pustki politycznej, jaka powstała po autodestrukcji obozu pomajowego, nie mogły wypełnić doraźnie klecone programy partii i ugrupowań, zarówno tych, które usiłowały kontynuować swą działalność w ramach ruchu oporu, jak i tych, które na jego marginesie powstawały.

Pozorna popularność tych lub innych programów czy haseł nie powinna przesłaniać faktu, że postawy polityczne okresu międzywojennego, których były one pozostałością, zostały skompromitowane w oczach społeczeństwa. Psychologiczne konieczności powodowały, że ludzie zmagający się z terrorem zaborczym, próbujący przetrwać eksterminacyjne praktyki obozów zagłady, wreszcie walczący z bronią w ręku identyfikowali się z pewnymi postawami politycznymi, powszechna jednak była świadomość, że żadne ugrupowanie polityczne nie ma wizji przyszłości. Raz jeszcze w historii Polski walka z zaborcą stała się działaniem bez sprecyzowanej filozofii politycznej, koncentrowała się wyłącznie na czynie zbrojnym i demonstracji za którymi brakło realistycznego, liczącego się zarówno ze stałymi jak i zmiennymi czynnikami historycznymi planu odbudowy państwa. Najdobitniej przejawiało się to w niemożności skonstruowania najogólniejszego bodaj ale celnego i konsekwentnego programu polityki wobec Związku Sowieckiego. Nie ma potrzeby wyliczać w tym miejscu wszystkich mitologicznych i mitomańskich obrazów świata powojennego, które lęgły się w umysłach polityków pretendujących do roli mężów opatrznościowych i niejednokrotnie faktycznie wpływających na decyzje, wystarczy tylko uświadomić sobie, że rodziły się one w atmosferze maniakalnego unikania patrzenia prawdzie w oczy i z reguły opierały się na *wishful thinking* w którym Rosja była eliminowana z wszelkich kalkulacji.

Jednym z najdotkliwszych skutków tego rodzaju myślenia było wpierw nie w pełni uświadomione, potem zaś zdesperowane, cedowanie prawa decydowania o sprawach polskich na rzecz Anglii i Ameryki. Suwerenność jest niepodzielna. W miarę jak rosło uzależnienie władz polskich od sojuszników, zmniejszała się ich rola jako przedstawicieli suwerennego państwa. Związek Sowiecki bacznie śledząc rosnącą bierność tych władz wobec jednostronnych decyzji Anglosasów, przestawał się liczyć z rządem emigracyjnym. Dyplomacja sowiecka stwierdzała z zadowoleniem, że zasady gry opracowane w carskich gabinetach nadal są niezawodne. Ze strony polskiej natomiast nie było nikogo, kto przypomniałby, że gra taka jest kosztowna i z reguły kończy się pyrrhusowym zwycięstwem.

A przecież wielką szansą polskiej reprezentacji politycznej w okresie wojny i okupacji było sformułowanie takiej wizji przyszłego odrodzonego państwa, które zarówno dzięki swym cechom geopolitycznym jak i funkcjonalności wewnętrznej, stałoby się elementem europejskiego ładu, elementem, bez którego ład taki nie byłby do pomyślenia. Wizja taka byłaby nie tylko teoretyczną spekulacją lub propagandowym hasłem na wewnętrzny i zewnętrzny użytek, lecz konkretnym programem działania, stopniowo realizowanym przez odpowiednie ukierunkowanie narodowego wysiłku w walce z zaborcami. Stanowiłaby kapitał, który zagwarantowałby Polsce właściwe miejsce w konwencie zwycięzców, stanowiłaby kapitał, i to dość pokaźny, w tym właśnie okresie kiedy obraz świata powojennego zaczynał się konkretyzować w umysłach przywódców zwycięskiej koalicji. Kapitał ten został roztrwoniony przez ludzi, którzy w myśleniu swym nie umieli wyjść poza formuły zużyte, całkowicie nieskuteczne w sytuacji wymagającej zerwania z rutyną a nade wszystko intelektualnej samodzielności.

Sprecyzowanie wizji przyszłego państwa wymagało oparcia nie tylko światopoglądu ale i działania konkretnego na takiej historiozoficznej koncepcji losów świata i Polski, która wyrastałaby z doświadczeń naszego narodu. Tak się jednak składało,

że mimo patetycznych deklaracji i górnolotnej publicystyki, historiozofia w jakiejkolwiek postaci nie była popularna wśród tych, którzy znaleźli się u steru spraw polskich w tym krytycznym okresie dla naszego bytu. Pragmatyzm, którym faktycznie zastąpiono historiozofię, był jedynie echem zubożonego myślenia racjonalistycznego, pozytywistycznych i post-pozytywistycznych systemów, zrodzonych na żałosnym podglebiu kompleksów mniejszej wartości narodu polskiego jako uczestnika i współtwórcy procesu historycznego. Antyromantyzm, który otrzymał rangę busoli politycznej, prowadził do pseudonaukowego rozumowania. Rezygnowano w praktyce z argumentacji moralnej, nie rozumiejąc, że obrona polskich interesów możliwa jest jedynie przez stanowcze przyjęcie koncepcji ładu moralnego w polityce. Romantyczne poglądy na misję Polski były monetą drobną, którą spłacano rocznicowe długi, zapominając jakby, że to one są naszą racją stanu, że interesy Polski związane są nierozerwalnie ze zmuszeniem świata do uznania porządku, który z etycznego punktu widzenia jest doskonalszy od innych.

Nie pomniejszając znaczenia takich sił napędowych polityki jak ekonomia, strategia czy dynamika rozwoju, trzeba wyraźnie sobie powiedzieć, że są one wtórne w odniesieniu do tych podstawowych żywiołów, które każą zbiorowościom narodowym dążyć do najpełniejszej samowypowiedzi i samorealizacji. Myślenie w kategoriach czysto ekonomicznych doprowadzało nie tylko jednostki ale i całe warstwy społeczne do rezygnowania ze swej historycznej identyczności by, wpierw potulnie a potem z gorliwością, przyjmować obcą identyczność, narzuconą lub dobrowolnie obraną. U nas jednak przypominanie politykom o takich najogólniejszych zasadach postępowania i działania, jakie wynikają z konfliktów kultur, cywilizacji, idei wreszcie, jeśli nie służy demagogii, uważane bywa za nietakt. Ideologią częstuje się lud, masy będące przedmiotem rządzenia. Podmiot rządzenia — owe kręgi wtajemniczonych najchętniej widzą siebie jako racjonalnych i logicznie kalkulacyjnych ludzi, myślących z naukową wręcz ścisłością, wolnych od przesądów i „mętnych" teorii filozoficznych. Tylko, że wtedy nawet sobie niebardzo potrafią wytłumaczyć dlaczego tyle trudu i zdrowia poświęcają temu zajęciu. Ostatecznie tłumaczą to sobie atrakcją władzy, życia ciekawego i korzyści osobistych, jakie przynosi sprawowanie władzy, ale przy takim nakładzie energii i dyscypliny mogliby z większą dla społeczeństwa korzyścią zająć się intratniejszymi interesami. Takimi jednak „trzeźwymi" i w gruncie rzeczy cynicznymi podejściami do zajmowania się polityką tłumaczą swe działanie kiepscy politycy po przegranej. Wielcy politycy są zawsze ideologami i z tym bynajmniej się nie kryją.

Rozważana w kategoriach historiozoficznych, druga wojna światowa była jedynie epizodem wielkiej batalii toczącej się między ideologią świata śródziemnomorskiego od tysiącleci krocząceg po drodze realizowania takiego ładu ziemskiego, który zapewni indywidualnemu człowiekowi maksymalne warunki rozwoju własnej osobowości, a różnorodnymi ideologiami redukującymi jednostkę do jej funkcji biologicznych a zatem rozumiejącymi ludzkość jedynie jako zespół dążący do doskonałej realizacji tych funkcji fizjologicznych. Jeśli w kulturze śródziemnomorskiej można wyśledzić linię przewodnią prowadzącą do celu jakim jest uczynienie jednostki w pełni odpowiedzialną za swój los, a co za tym idzie, stworzenie cywilizacyjnych i społecznych form w których jednostka obarczona taką odpowiedzialnością będzie mogła jak najpełniej tę odpowiedzialność sobie uświadamiać i jej konsekwencje świadomie ponosić, to w różnych innych ideologiach punkt ciężkości zostaje przeniesiony na zbiorowość, której metafizyka przekształca się albo w magię albo w fatalistyczny determinizm.

Epizod drugiej wojny światowej doprowadził do paradoksu: siły broniące kultury śródziemnomorskiej sprzymierzyły się ze swymi przeciwnikami. Było to konieczne, gdyż doraźnie większym niebezpieczeństwem było pojawienie się w jednym z najczulszych miejsc organizmu europejskiego złośliwego nowotworu totalizmu. Sprzymierzenie się przeciw niemu z totalizmem, który wydawał się peryferyjny uznano za jedyny sposób skutecznego i definitywnego zlikwidowania choroby. Nie wydaje się jednak, by ktokolwiek poza zwolennikami idei zjednoczonej Europy dostrzegał niebezpieczeństwa zalęgające się w tym taktycznym paradoksie. Kryły się w nim zapowiedzi równie groźnej dla Europy dominacji dwóch supermocarstw.

Wiele zapewne zastrzeżeń można zgłaszać do doktryny, której w pewnej mierze twórcą i jedynym konsekwetnym rzecznikiem był De Gaulle, trzeba jednak przyznać, że z niezwykłą jasnością rozumiał on, iż droga do zjednoczonej Europy broniącej swych wartości prowadzi przez umocnienie suwerenności przyszłych jej partnerów. W walce o suwerenność swego kraju ani na chwilę nie tracił z oczu jego znaczenia dla kultury europejskiej, jego rangi, ale nade wszystko był pewny swego kodeksu moralnego, fundamentów swej filozofii etycznej. Tej wizji nie mogły mu przesłonić żadne doraźne interesy polityczne. Rozumiał że posłuszeństwo tej wizji jest warunkiem załatwienia spraw doraźnych a nie odwrotnie. Wiedział wreszcie, że o losie jego planów zadecydują ostatecznie nie gry polityczne ale wola narodu i że po to by ta wola mogła się ujawnić, trzeba narodowi przedstawić jego misję w terminach jasnych i niedwuznacznych. Dla-

tego też nie bał się swego osamotnienia. Odpowiedzialność przed Bogiem i historią rozumiał De Gaulle bardzo dosłownie.

Polsce zabrakło charyzmatycznego męża stanu na miarę De Gaulle'a. Zabrakło jej nawet ludzi mniejszej postury, których stać by było na dokonanie trzeźwego obrachunku z przeszłością i na przeprowadzenie rzeczowej analizy nowej sytuacji. Politycy polscy lat wojny i okupacji żyli w świecie fikcyjnym, w którym rządziły urojone konieczności. Klasyczną domeną takich nieporozumień były stosunki polsko-sowieckie. W tej właśnie dziedzinie niezbędne jest dokonanie podsumowania dotychczasowych doświadczeń i umieszczenie ich we właściwej perspektywie historycznej i filozoficznej. Tylko taka analiza przeszłości, połączona ze spokojnym spojrzeniem na rozwój tych stosunków, mogła umożliwić znalezienie linii postępowania, która uchroniłaby Polskę przed znalezieniem się w roli przedmiotu decyzji rzekomych przyjaciół i prawdziwych wrogów.

2. *Kilka uwag do prehistorii stosunków polsko-sowieckich*

Nawet tak skąpy zasób wiadomości jaki dostępny jest przeciętnemu człowiekowi w chwili obecnej, pozwala wysunąć hipotezę, że stosunki polsko-sowieckie od samego ich zarania były budowane na bardzo nietrwałych podstawach. Dla Rosji wskrzeszenie Polski oznaczało utratę terytoriów, stanowiących dotąd jej przyczółek w Europie Środkowej, oraz powstanie białoruskiego i ukraińskiego Piemontu. Dla Polski wojna 1920 roku była dowodem, że Rosja nie ma zamiaru pogodzić się z takim stanem rzeczy.

Lenin rozumiał, że rewolucja rosyjska jest zjawiskiem lokalnym i że ten właśnie lokalny jej charakter zmienia gruntownie treść i funkcję doktryny komunistycznej. Komunizm światowy musiał zostać uzależniony od Rosji. Uniwersalistyczna ideologia, której dogmatem był ponadpaństwowy interes klasy robotniczej walczącej o władzę, stawał się narzędziem doktryny państwowej nowej Rosji. W odróżnieniu od większości przywódców rewolucji rosyjskiej, Lenin był Rosjaninem głęboko wrośniętym w kulturę i tradycję swego narodu. Myślał w kategoriach rosyjskiej racji stanu, bez względu na to w jakiej mierze, z teoretycznych lub taktycznych względów, zdawał się ją identyfikować z racjami światowej rewolucji. Można uważać komunizm Lenina za zwyrodnienie prądów reformatorskich, które pojawiały się w Rosji od początków dziewiętnastego stulecia, ruchów dążących do ucywilizowania imperium carów, nie wolno jednak zapominać, że nawet w najbardziej liberalnych formach ruchy te nigdy nie zdradzały ochoty na pomniejszanie stanu imperialnego posiadania, a już z pewnością nie brały pod uwagę możliwości rozparcelowania państwa. Uznając prawo Polski do samoistnego bytu państwowego, Lenin wyciągał jedynie konieczne wnioski z sytuacji. Rozumiał, że Rosja wojnę przegrała i że za przegraną musi zapłacić. Równocześnie zakładał, że tego rodzaju akt, jakim była deklaracja w sprawie Polski, może okazać się w sprzyjających okolicznościach dogodnym manewrem taktycznym. Komunistyczna ruchawka w Polsce mogła stanowić znakomity pretekst do „udzielenia pomocy" jej inspiratorom. Starzy komuniści do dziś powtarzają apokryficzne słowa Lenina, wysyłającego swe wojska na polską kampanię, że trzeba będzie „Polskę pomacać bagnetami" by przekonać się, czy nie uda się „problemu polskiego" załatwić zgodnie z rosyjską racją stanu. Ale wiedział też Lenin, że utrzymanie Polski w ryzach nie będzie bynajmniej rzeczą łatwą. Jego deklarację poprzedziły deklaracje pozostałych rządów zaborczych, które niezależnie od intencji autorów świadczyły, że sprawa Polska jest znowu otwarta. Ponadto zabór Polski oznaczałby konieczność zagarnięcia reszty jej terytoriów, pozostających dotąd we władzy dwóch rozpadających się mocarstw, które nie mogły marzyć o rekonstrukcji swych dawnych stanów posiadania.

Bitwa warszawska rozstrzygnęła sprawę. Ale krzyżując ewentualne plany ponownego zaboru Polski wskrzesiła równocześnie niemiecki wariant rosyjskiej polityki zagranicznej. Gra toczyła się w dwóch płaszczyznach. Dyplomacja sowiecka pomagała Niemcom w ich staraniach o odzyskanie dawnej pozycji, zaś komunistyczna partia niemiecka, posłuszna inspirowanym przez Moskwę zaleceniom Kominternu, wspierała rewanżystowskie tendencje w Niemczech, posiadając przy tym atut, którego nie miały inne partie polityczne niemieckie, a mianowicie wymuszając na polskich komunistach poparcie dla roszczeń niemieckich.

Polska opinia publiczna lekceważyła komunistyczne gadania o niemieckości Śląska, tak jak w kilka lat później miała zlekceważyć prowokacyjne wezwania do wcielenia do Związku sowieckiego kresów wschodnich. Wydawało się rzeczą niepoważną traktowanie jako potencjalnej Targowicy garstki ludzi pozbawionych wszelkich wpływów, ludzi, których związki z polskością były najczęściej bardzo wątpliwe. Gdyby jednak straszak mitycznego światowego bolszewizmu i rodzimej żydokomuny nie przesłonił faktycznego źródła tych poczynań, być może wcześniej dostrzeżono by zawarte w nich groźby.

Komuniści polscy nigdy nie stanowili realnej siły politycznej i z historycznych względów stanowić jej nie mogli z chwilą powstania Rosji Sowieckiej. Zasługiwali jednak na baczną uwagę jako

jeden z zatrutych owoców drzewa ugody, które ze zmiennym szczęściem wegetowało na polskiej ziemi od chwili gdy osłabione państwo stało się terenem penetracji mocarstw ościennych. Przez prawie dwa stulecia koncepcja polityki ugodowej przybierała różne formy i obejmowała cały wachlarz postaw politycznych od jawnej zdrady narodowej i zaprzaństwa, po ugodowy „patriotyzm" pracy organicznej, zawsze jednak wywodziła się albo z prywaty albo z degeneracji lub niedorozwoju instynktu historycznego. Zaślepienie lub głupota powodowały, że zwolennicy tego rodzaju postaw nie wyciągali żadnych wniosków z doświadczeń dowodzących, że wszelkie próby prowadzenia polityki ugodowej wobec Rosji kończyły się z reguły niepowodzeniami. Sukcesy, jakie przypisywali sobie różni ideologowie ugody były zazwyczaj ustępstwami zaborcy, wymuszonymi przez „nieugodową" postawę narodu względnie manewrami taktycznymi. W obozie ugody lądowały wszystkie ekstremistyczne lub peryferyjne ruchy polityczne, żerujące na tych odłamach społeczeństwa polskiego, które z określonych powodów wyzbyły się dziedzictwa historycznego lub czuły się od niego uwolnione. Obóz narodowy, kształtując swój program polityki ugodowej, musiał ewoluować w kierunku przekształcenia się w reprezentację tych grup społecznych, które wskutek genealogicznych perypetii uważały się za stojące nad dziedzictwem historii i wobec tego modelowały je na własny użytek w niezgodzie z faktami i tradycją. Komuniści zaś, zarówno ze względu na swój skład narodowościowy jak i społeczny, zrywali świadomie z historią, widząc w takim zerwaniu jedyną drogę społecznego i politycznego awansu.

Psychologicznym źródłem wszelkich programów ugodowych wydaje się być niewiara w zdolność narodu do samodzielnego bytu państwowego, niewiara wynikająca z identyfikacji własnej grupy społecznej, czy chociażby współwyznawców ideologii, z całym narodem, a więc uzurpacja właściwa wszelkim ideologiom totalitarnym. Powstanie niepodległego państwa zmuszało ugodowców do przekształcenia swych programów przy zachowaniu ich podstawowych założeń. Przed komunistami, których racją bytu stała się Rosja Sowiecka, powstawał nierozwiązalny dylemat. Identyfikacja z rosyjską racją stanu, bez względu na to pod jakimi przebraniami występowała, pozbawiała komunistów wszelkich możliwości skutecznego działania w państwie niepodległym, dla którego ekspansjonistyczne tendencje wschodniego sąsiada stanowiły oczywiste i śmiertelne zagrożenie. Każda próba usamodzielnienia się oznaczała dla komunistów konflikt z Kominternem, który od chwili powstania był narzędziem sowieckiej polityki zagranicznej i głównym organem rekrutacyjnym rosyjskich wywiadów politycznych i wojskowych. I chociaż w polskim ruchu komunistycznym trwała nieustannie selekcja kadry kierowniczej poprzez eliminowanie ludzi zarażonych bakcylem polskości, „zarazy" tej nie można było do końca wytępić. Wybuchała od nowa przy każdym kryzysie ideologicznym, które mnożyły się w miarę jak polska partia komunistyczna coraz bardziej uświadamiała sobie nieprzekraczalne granice swego oddziaływania, a także w miarę tego jak nasilał się sceptycyzm Moskwy dostrzegającej nie tylko inherentne słabości polskiego ruchu komunistycznego, ale także potencjalne niebezpieczeństwo, jakie mógł on stanowić. Znaczna liczba polskich komunistów zdołała zagnieździć się w sowieckim aparacie państwowym i partyjnym zagrażając jego integralności. A przecież Polska była w ocenie polityków i sztabowców sowieckich jedynym sąsiadem z którym należało się liczyć w kategoriach militarnych.

Rozkład wewnętrzny polskiej partii komunistycznej i jej dekomponowanie przez czynniki zewnętrzne, zaczęły się bardzo wcześnie. Rekonstruowanie tego procesu należy pozostawić historykom i chyba przede wszystkim nielicznym żyjącym jeszcze niedobitkom ruchu komunistycznego, nie tylko polskiego. Ostatecznie los tej partii został przypieczętowany zwrotem jaki nastąpił w stosunkach sowiecko-niemieckich w wyniku zmienionej strategii Moskwy. Oficjalna likwidacja KPP po faktycznej jej likwidacji przez sowieckie organy policyjne, dowodziła, że Stalin o układzie z Hitlerem myślał już wcześniej. Nie wierzył, by komuniści polscy potrafili odegrać taką rolę jaką odegrali bez zmrużenia powieki komuniści francuscy, i co więcej, uważał, nie bez podstaw zresztą, że gdyby nawet zostali zmuszeni do odegrania jej nie miałoby to większego znaczenia. A jednak komuniści polscy pozostali wierni Moskwie. Na straży tej wierności stała nie tylko dyscyplina partyjna graniczącą z terrorem i działająca jeszcze po likwidacji partii, lecz nade wszystko izolacja społeczna, będąca nie tylko wynikiem narodowościowego składu partii ale także dominujących w niej tradycji antyniepodległościowych.

Wybuch wojny niemiecko-sowieckiej zdawał się zapowiadać zwrot w stosunku Moskwy do polskiego ruchu komunistycznego. Nie jest chyba przypadkiem, że pierwsze mikroskopijne grupy komunistyczne, które zaczęły powstawać w okupowanym kraju, składały się głównie z ludzi postulujących utworzenie polskiej republiki sowieckiej czyli liczących się z przyszłą inkorporacją Polski. Nie usiłując dociekać przesłanek takiego rozumowania, chociaż wydają się one oczywiste, i nie starając się kwalifikować go — choć osąd musi być jednoznaczny — należy jedynie stwierdzić, że organizatorzy tych zaczynów przyszłego odrodzonego komunizmu polskiego nie brali pod uwagę istnienia jednostek a nawet grup, które trwając we własnym przekonaniu na gruncie

ortodoksyjnego komunizmu poszerzyły swe horyzonty ideologiczne o aspekt narodowy.

Niewiele o nich wiemy. W latach powszechnej konspiracji wieloznaczność postaw i działań bywała niełatwa do rozwikłania nawet w najbardziej wspólnych płaszczyznach i w sytuacjach które, zdawałoby się, umożliwiały — w pewnej przynajmniej mierze — sprawdzenie pobudek i celów. Komuniści zaś żyli w konspiracji podwójnej, czy nawet potrójnej. Świadomi braku popularności w społeczeństwie, podatni byli na złudzenia, które są udziałem wszelkich ruchów politycznych o wysokim napięciu doktrynalnym. Szczególnie bezbronni byli komuniści „narodowi" rekrutujący się z przedwojennych działaczy, znający lepiej od szarych członków partii mechanizmy kontroli partii przez Moskwę, ci bowiem zdawali sobie sprawę z tego, że nie mogą liczyć z tej strony na aprobatę swych programów. Doświadczenia przedwojenne, poszerzone o konfrontacje w latach 1939-41 na terenach zajętych przez armię czerwoną utwierdziły w nich głęboko skrywane kompleksy antysowieckie. A były to tylko kompleksy, nie zaś przemyślane postawy. Myśli, których nie można było sformułować, o których nie można było dyskutować swobodnie, wyradzały się w resentymenty. Kiedy zaś *ex post* usiłowano racjonalizować je w rozmaitych krętych i kalekich tezach — okazywały się pułapkami.

W miarę zespalania się tych inicjatyw, które miały doprowadzić do utworzenia PPR, pogłębiała się ich infiltracja przez czynniki sowieckie. Równocześnie zarysowywała się coraz wyraźniej linia podziału, nigdy wyraźnie nie definiowana, pozostająca stałym niedomówieniem, które przykrywano frazesami o jedności celów i metod, o wierności Związkowi Sowieckiemu, o podporządkowaniu się mu jako ostatecznej instancji w wszelkich sporach i wątpliwościach, jako o sile decydującej nieodwołalnie o losach Polski. W takiej bodaj sytuacji, uwarunkowanej grą partyjną w większym jeszcze stopniu niż warunkami zewnętrznymi, kształtował się program Władysława Gomułki. Niewiele wiadomo o tym człowieku, niezbyt skłonnym do ostentacji i ekshibicjonizmu, nieufnym, niechętnie wypowiadającym się nawet w gronie przyjaciół, ale nawet te nieliczne fakty, które można ustalić umożliwiają zrozumienie, czy choćby tylko domyślanie się, zasadniczych kierunków jego myślenia i działania. Już przed wojną otaczała go w partii atmosfera nieufności, która wzmogła się podczas studiów w Moskwie, i której Gomułka bynajmniej nie usiłował przełamać. Już wtedy bystrzejsi nadzorcy polskiej kadry partyjnej zdawali sobie sprawę z tego, że mają do czynienia z jednostką wyrastającą ponad dość niską przeciętność tego grona. Szybkie opanowanie przez Gomułkę odradzającego się pod

okupacją ruchu komunistycznego zdawało się potwierdzać słuszność tych ocen. Nie rozumieli jednak tego przedstawiciele władz podziemnych kraju, do których Gomułka zwrócił się z propozycją wszczęcia rozmów politycznych. Propozycja ta była zgodna z ówczesną taktyką dyplomatyczną Związku Sowieckiego, co zdawało się z góry przesądzać o jej przyjęciu przez stronę polską. Ale odrzucenie jej w sposób uniemożliwiający nawiązanie rzeczowych kontaktów, nie najlepiej świadczyło o rozeznaniu przedstawicieli rządu w sytuacji panującej w ruchu komunistycznym i chyba o umiejętności trzeźwego przewidywania.

Nie chodzi tu bynajmniej o snucie domysłów w jakim stopniu mogłyby się potoczyć dalsze losy Polski, gdyby PPR, choćby za cenę przyjęcia drobnej części jej absurdalnych na pozór żądań, znalazła się we wspólnej reprezentacji Polski podziemnej, a tylko o stwierdzenie, że gdyby na początku roku 1943 — kiedy po Stalingradzie klęska Niemców była już w istocie przesądzona — kiedy było już do przewidzenia, że wojska sowieckie w drodze do Niemiec przejdą przez terytorium Polski, każda próba włączenia PPR do koalicji rządowej była jedynym sposobem przeciwdziałania agenturalnemu garniturowi, który nieuchronnie musiał zostać przywieziony do kraju przez te wojska. Przecież nie trzeba było czekać na Jałtę, by wyrobić sobie zdanie o postawie naszych sojuszników wobec Związku Sowieckiego. I nie trzeba było czekać na wkroczenie wojsk sowieckich, by wyobrazić sobie jak zamierza Związek Sowiecki ułożyć swe powojenne stosunki z Polską. Trzeba natomiast przyznać Władysławowi Gomułce, że nie zrezygnował ze swych planów politycznych nawet wtedy, gdy po wkroczeniu wojsk sowieckich do Polski, po konfrontacji z przywiezionym przez nie aparatem administracyjnym i podporządkowanymi mu dywizjami Berlinga, wiedział jak nierówna czeka go walka i z walki tej nie zrezygnował choć być może świadom był tego, iż jest ona przegrana.

3. *Dziwne ćwierćwiecze*

W ciągu ćwierćwiecza, którego słupami milowymi były utworzenie PKWN w roku 1944 i wypadki grudniowe 1970 roku rzeczywistość polityczną w kraju kształtowała walka między Władysławem Gomułką a usiłowaniami Związku Sowieckiego, który postanowił „zdjąć kwestię polską" z agendy spraw międzynarodowych. Zejściem Gomułki ze sceny politycznej walka ta nie została zakończona. Zbyt wiele składa się na to czynników, z których niepoślednim jest spóźnione obalenie Gomułki. To prawda, że nie będzie już ponownego powrotu Gomułki. Wzglę-

dne zacisze Frascati nie będzie Sulejówkiem. Trzymając się tej dość rozpowszechnionej, choć mało uzasadnionej, analogii, można by powiedzieć, że podobnie jak nie wróciłby Marszałek z Sulejówka, gdyby Brześć nastąpił przed jego wycofaniem się z życia publicznego, tak też nie może doń wrócić Gomułka po tym, jak niemal bezwolnie uległ zastawionej na niego pułapce. Ale finał ten nastąpił za późno. Moczarowska fronda okazała się bronią dwusieczną i w istocie przekreśliła skuteczność tak zgrabnie pomyślanej operacji.

Tego rodzaju formuła może się wydawać oparta na bardzo dowolnym doborze faktów i na zbyt swobodnej ich interpretacji, potraktujmy ją jednak jako konieczne, ze względu na charakter niniejszych gawęd, uproszczenie, które zestawienie głównych faktów przecież potwierdza. Okoliczności, w których Gomułka stanął na czele partii w czasie wojny powodowały, że władza jego od samego początku była ograniczona nie tylko przez mocarstwo, które w końcu umożliwiło mu przejęcie jej, ale i przez podporządkowane temu mocarstwu czynniki w łonie samej partii. Mimo oporu tych elementów i ich nieprzerwanej obstrukcji, zainicjował Gomułka szereg pociągnięć, które miały umocnić jego pozycję *vis-à-vis* Kremla. Z tych bodaj najważniejszym było sformułowanie tezy o nowym charakterze partii, nie uważającej się za spadkobierczynię i kontynuatorkę przedwojennej komunistycznej partii polskiej.

Teza taka miała być punktem wyjściowym do nowych ustaleń programowych. Wprowadzała pojęcie polskiej drogi do socjalizmu i narzucała partii komunistycznej nowy rodowód. Obie te koncepcje były nie do przyjęcia dla Moskwy, która pod naciskiem określonych konieczności mogła ewentualnie pogodzić się z modelem „finlandzkim", czyli państwa ustrojowo i ideologicznie obcego, nie stanowiącego groźnego przykładu dla republik sowieckich, modelu nie naruszającego absolutnej nieomylności partii sowieckiej, jednokowoż ten właśnie wariant stracił swą aktualność po Powstaniu Warszawskim i definitywnie został pogrzebany w toku dwuletniej wojny domowej w Polsce. Z kolei, z nowym rodowodem partii, jako ruchu zrodzonego w kraju w walce z okupantem, a więc rodowodem ustalającym nową hierarchię zasług, a co za tym idzie wpływów, — nie mogli się pogodzić dawni działacze KPP, przybyli z Moskwy w odwodzie wojsk sowieckich.

Co prawda i oni nie stanowili grupy jednolitej i zapewne część ich była do pozyskania, gdyby Gomułka był dostatecznie zorientowany w ich sporach wewnętrznych i mniej pesymistycznie oceniał ich charaktery. Powodowany jednak zadawnionymi niechęciami przyczynił się tylko do zwarcia ich szeregów i jeszcze

pełniejszego podporządkowania Moskwie. Gomułka nie próbował nawet wykorzystać oczywistego strachu tych ludzi przed konsekwencjami ewentualnej inkorporacji Polski. Być może jednak dowiódł w ten sposób swego realizmu w ocenie ludzi, kiedy zakładał, że nawet w obliczu śmiertelnego zagrożenia grupa ta, pozbawiona kośćca moralnego i politycznego, nie posiadająca w swym gronie ani jednej wybitnej jednostki, nie zdobędzie się na jakikolwiek znaczący opór.

Do rzędu pociągnięć mających na celu zwiększenie pola manewru należała również decyzja jak najszybszego zagospodarowania i zintegrowania Ziem Odzyskanych. Miała ona na celu zlikwidowanie stanu tymczasowości panującego na nowych terytoriach Polski, stanu tworzącego dogodny argument szantażu politycznego. Na tych ziemiach wciąż jeszcze władzę niepodzielną sprawowały garnizony sowieckie, nie uznające faktycznie granicy na Odrze i Nysie, nie uznawanej zresztą formalnie przez nikogo.

Do takich pociągnięć należała też próba przebudowy wojska, wciąż jeszcze dowodzonego przez oficerów sowieckich, detaszowanych do polskich formacji, oraz przez przebranych w mundury wojskowe działaczy grupy moskiewskiej, którzy skutecznie dezorientowali wychowywaną przez siebie nową kadrę oficerską.

Wszystkie te próby nie powiodły się i zakończyły klęską Gomułki w latach 1948-49. Niemniej, starczyło tych trzech lat sprawowania władzy by zaistniały pewne fakty dokonane, które umożliwiły podjęcie przerwanego dzieła po 1956 roku. Następny czternastoletni okres sprawowania władzy przez Władysława Gomułkę dowiódł, że zadania, które sobie stawiał, były próbą rozwiązania kwadratury koła. Przesłanki bowiem, na których budował swe rozumowanie sprzeczne były z wnioskami, do których zmierzał. Stawiane sobie cele przekreślał wyborem metod, mających doprowadzić do realizacji tych celów. Raz jeszcze okazało się, że nie można pogodzić suwerenności z dogmatami doktryny, której mimo takich czy innych „odchyleń" Gomułka pozostawał wierny.

Szanse na realizację planów Gomułki były z natury rzeczy mało realne w sytuacji, w której społeczeństwo niezmiennie uważało wszelką władzę komunistyczną za obcą przemoc, wszelkie zaś pociągnięcia tej władzy za dyktat obcego mocarstwa. Zmuszony do manewrowania, Gomułka nie potrafił stworzyć sobie odpowiednio silnego zaplecza, które gwarantowałoby mu swobodę manewru. Ciasne komunistyczne doktrynerstwo, z którego nie umiał wyzwolić się nawet po powrocie do władzy, dyktowało mu posunięcia, które izolowały go od społeczeństwa i umożliwiały jego przeciwnikom wykorzystywanie popełnianych przez

niego błędów. Wychowanie polityczne i cechy osobiste uczyniły z Gomułki totalistę o dyktatorskich zapędach. Wiara, że narodowy komunizm polski rozwiąże historyczne problemy narodu i zjednoczy społeczeństwo świadome swych historycznych zadań, uświęcała w jego przekonaniu wszelkie środki prowadzące do takiego celu. Lekceważenie instynktu politycznego Polaków, przeświadczenie o ich niedojrzałości politycznej i o ich anarchicznych skłonnościach, wiara utwierdzona wnioskami, jakie wyciągał ze swoiście interpretowanej najnowszej historii polskiej, nakazywała mu prowadzić swą grę polityczną bez liczenia się z narodem, z opinią publiczną i z konsekwencjami nihilistycznych metod politycznych. Już po grudniowym upadku Gomułki pisał jeden z jego niegdyś najwierniejszych akolitów: „... wiem, co teraz usłyszę. Usłyszę, że to klasa robotnicza w ślad za szlachtą i burżuazją, z kolei przyłożyła ojczyźnie nóż do gardła. Jak patologicznego zadufania i jakiej pogardy trzeba, by uwierzyć, że rację dzierży się wbrew wszystkim".

Trzyletni okres pierwszych rządów Gomułki obfitował w doświadczenia, z których ani on sam ani jego zwolennicy nie wyciągnęli wniosków. Najważniejsza z tych nauk, pozostająca w ambiwalentnym stosunku do teorii marksistowskiej, głosiła, że żadna dyktatura nie może się utrzymać bez pozyskania sobie chociażby części społeczeństwa i że bez takiego poparcia przeradza się w system rządów przy pomocy aparatu policyjnego. Jeśli jednak system taki w państwie suwerennym — jakim jest na przykład Związek Sowiecki — umożliwia partii sprawującej dyktaturę utrzymanie pełni władzy i faktyczne podporządkowanie sobie aparatu policyjnego, to w państwach pozbawionych suwerenności aparat taki z reguły paraliżuje działanie monopartii i staje się zawsze narzędziem ingerencji zewnętrznej. Los Gomułki i jego koncepcji był przesądzony, kiedy okazało się, że Moskwa zatrzymała w swym ręku kontrolę nad władzami bezpieczeństwa i nad kontrwywiadem wojskowym.

Tak oto zarysował się nieprzezwyciężalny dylemat wszystkich „reformatorów" komunistycznych, którzy będąc przy władzy próbują usamodzielnić się od dyktatu sowieckiego, choćby w tak ograniczonym zakresie, który umożliwiłby usprawnienie administracji i gospodarki bez odstępowania od ortodoksji doktryny „dyktatury proletariatu" czyli absolutnej władzy partii.

Pomijanym lub nie dostrzeganym przez „reformatorów" komunizmu i ich popleczników dogmatem, którego nie wolno naruszać pod groźbą ekskomuniki i praktycznych jej konsekwencji, jest system rządzenia, który można by nazwać autokratyzmem przekonanym o swej misji dziejowej. System ten jest urzeczywistniany wbrew woli narodu lub narodów, społeczeństwa lub społeczeństw, z natury rzeczy nie posiadających świadomości swego przeznaczenia. W takim systemie wszelkie zmiany muszą być oktrojowane przez despotycznego władcę i nie tylko nie mogą być inicjowane, ale nawet nie mogą być sugerowane od dołu. Takie bowiem inicjatywy lub sugestie — jeśli nawet w subiektywnym przekonaniu tych, którzy je wysuwają są jak najbardziej lojalne i służyć mają tylko umocnieniu władzy — obiektywnie są wywrotowe ponieważ zakładają możliwość istnienia problemu, którego nie rozumie, lub z którego nie zdaje sobie sprawy, władza najwyższa.

Ślepe posłuszeństwo temu dogmatowi, w którego nienaruszalność wierzy każdy działacz komunistyczny i o którym śmie wątpić jedynie przed dojściem do władzy lub po odebraniu mu jej przez sprytniejszych rywali, wiodło Gomułkę do nieuchronnej klęski. W swej walce o jedynowładztwo, nie dysponując żadnymi znaczącymi siłami, oprzeć się musiał na władzach bezpieczeństwa i wojsku, całkowicie podporządkowanym jego przeciwnikom. Tak więc kolejne etapy umacniania się dyktatury jednopartyjnej — referendum, wybory, połączenie PPR z PPS — były równocześnie etapami narastającego terroru, który w końcu obrócił się przeciw Gomułce i jego grupie.

Jeśli nawet proces ten, nabierający już cech prawidłowości w dziejach krajów satelitarnych, nie uszedł uwadze politologów i kremlinologów, to jednak w niedostatecznej mierze został przez nich poddany analizie historycznej i geopolitycznej. Jednym z podstawowych założeń, dość zgodnie akceptowanych w tych kręgach i podawanych do wierzenia jak wynik skrupulatnych przemyśleń i badań, jest traktowanie wszystkich krajów satelickich jako równoważnych pionków w grze. Stąd już tylko krok do postulatu ignorowania tych krajów jako realnych czynników politycznych. Nikt oczywiście nie przeczy, że każde z tych osobliwych państw i wszystkie razem wzięte posiadają *nuissance value*. Nie zapomina się też o tym, że mogą one wskutek niedopatrzenia lub lekkomyślności stać się zarzewiem poważnego konfliktu. Nie mniej poważne liczenie się z ich potencjałem, z ich możliwościami militarnymi i ekonomicznymi, z ich rolą polityczną, społeczną i kulturalną uchodzi za uleganie megalomańskiej propagandzie sfrustrowanych narodów. A przecież elementarny rachunek zdaje się dowodzić czegoś wręcz przeciwnego. Każdy z tych krajów może w określonej sytuacji stanąć kością w gardle Moskwie, i to kością, której bez biernej lub czynnej pomocy Zachodu usunąć się nie da.

Przekonanie o szczególnej pod tym względem sytuacji Polski nie jest bynajmniej przejawem mitomańskiej zarozumiałości, lecz

jedynie właściwym odczytaniem historii naszych wielowiekowych zmagań z zaborczością Rosji i roli jaką w tych zmaganiach odgrywały państwa europejskie. Pośrednim potwierdzeniem słuszności takiej oceny znaczenia Polski jest próba negowania go — płynąca bynajmniej nie z niewiedzy — przez tych wszystkich, którzy zdają sobie sprawę, że jakakolwiek zmiana w sytuacji naszego kraju może w decydujący sposób wpłynąć na układ sił, ten właśnie układ, który chciano by zachować za wszelką cenę. Nie będzie więc zbyt wielką przesadą przypuszczenie, że zwolennikom zachowania jałtańskiego *status quo* tego rodzaju fałszywe uogólnienia służą stale do pomniejszania wpływu Polski na kształtowanie się polityki sowieckiej.

Właśnie doświadczenie historyczne nauczyło Rosję, że nie może ona pomijać w swych kalkulacjach politycznych istnienia narodu polskiego nawet wtedy, gdy znajduje się on pod całkowitą kontrolą. Fakt ten stwarzał „problem polski", którego nikomu jeszcze nie udało się rozwiązać półśrodkami. Alternatywa — którą, jak się zdaje, rozumiał Stalin — sprowadzała się do prostego wyboru: albo Związek Sowiecki pogodzi się z istnieniem suwerennego państwa polskiego, rezygnując przynajmniej na czas trwania najbliższego etapu historycznego, z podboju Europy natomiast skupiając się na powojennej rekonstrukcji i, w dalszej perspektywie, na ekspansji na wschód — albo też potraktuje Polskę jako przyczółek do następnej kampanii, a zatem będzie musiał wyeliminować Polaków z życia politycznego. W oczekiwaniu właściwej chwili na dokonanie wyboru Stalin poczynił pewne kroki przygotowawsze tak na jedną jak i na drugą ewentualność. Z takiego punktu widzenia rozpatrywana, „oficjalna" inkorporacja kresów wschodnich miała być krokiem wstępnym do pogodzenia się z istnieniem Polski suwerennej, o tyle strawniejszej dla Związku Sowieckiego, że pozbawionej ukraińskiego i białoruskiego Piemontu. Wymordowanie zaś jeńców w Katyniu oraz eksterminacyjna deportacja ludności ziem zabranych, miały być zapowiedzią klasycznie stalinowskiej likwidacji — co prawda na niewypróbowaną dotąd skalę — elementu wrogiego planom budowy nowego millenium.

Nawet najbardziej pragmatycznie myślący despota pada ofiarą swej samowoli. Zdany w ostatecznym rozrachunku wyłącznie na siebie w ocenie sytuacji — żadnym bowiem innym ocenom zaufać nie może — ustala subiektywną skalę trudności i przeszkód, w której jedynym kryterium stają się na pozór obiektywne relacje liczbowe. One to często prowadzą do przeceniania potęgi, wyrażającej się w potencjale arytmetycznie obliczalnym, i do lekceważenia sił, nie dających się ująć w prostym rachunku. Przypisywane Stalinowi pytanie o ilość dywizji którymi dysponuje Papież, jeśli nawet jest zmyśloną anegdotą, ilustruje przekonywująco powyższe twierdzenie. Tak właśnie rozumując doszedł Stalin do wniosku, że „rozwiązanie problemu polskiego" będzie tylko funkcją układu, ustalonego przez faktycznych zwycięzców w drugiej wojnie światowej. Nie doceniał wagi owego „niewymiernego" czynnika, jakim miały się okazać siły żywotne narodu polskiego, przecenił natomiast potęgę i dalekowzroczność swych partnerów w wojennym pokerze. Ponieważ Polski nie stać było na taką reprezentację polityczną, która zmusiłaby sojuszników do obrony jej suwerenności, należało stworzyć taki stan rzeczy, w którym Zachód — licząc się z potęgą sowiecką — ostatecznie zrezygnuje z wszelkich prób wskrzeszenia suwerennego państwa polskiego. Temu właśnie celowi miała służyć doktryna „państw demokracji ludowej", misterna konstrukcja, której jedynym celem było przekształcenie Polski w przyczółek sowiecki w Europie.

Mglistej początkowo doktryny, kolidującej z wszystkimi dogmatami marksizmu, nie krystalizowano w dysputach teoretycznych. Precyzowano ją w ogniu walk dyplomatycznych. Stała się czymś w rodzaju aparatu do mierzenia napięcia w stosunkach między Związkiem Sowieckim a jego sojusznikami czasu wojny. Jak czuły sejsmograf odnotowywała najdelikatniejsze wstrząsy i stąpnięcia. Odczytując powstały w ten sposób wykres, Moskwa utwierdzała się w przekonaniu, że umiejętne dozowanie nacisków i ataków pozwoli przekształcić politykę Zachodu w Europie Środkowej i Wschodniej w trwały i skuteczny *roll-back*. Proces porwanych przedstawicieli Polski podziemnej, wojna domowa, wybory, likwidacja PSL, nie tylko nie natrafiały na opór państw zachodnich lecz, co więcej, zdawały się prowokować je do coraz bardziej jednoznacznego sankcjonowania nieograniczonej władzy Moskwy w Polsce, przesądzając tym samym los pozostałych państw satelickich. W miarę mnożenia się sukcesów, rosły apetyty. Szybko porzucono niewczesne pomysły nadgorliwców, proponujących wskrzeszenie idej panslawistycznych. Wchłonięcie Polski miało się odbyć drogą indoktrynacji marksistowskiej. Z lamusa wyciągnięto ideę światowego komunizmu. Rodził się nowy plan sztabu rewolucyjnej dywersji, który miał zastąpić sfatygowany i zlikwidowany w odpowiedniej chwili Komintern.

Operacja wymagała wykarczowania terenu. Jej pierwszym etapem była likwidacja potencjonalnych sprzymierzeńców „niepokornych" Polaków. Kolejne komunistyczne zamachy stanu w Bułgarii, Rumunii i Czechosłowacji oraz coraz energiczniejsze tworzenie administracji komunistycznej w sowieckiej strefie Niemiec, temu właśnie celowi służyły. A kiedy przyszła kolej na

ostateczną rozprawę z hardym społeczeństwem polskim na pierwszy ogień poszły najsłabsze — bo pozbawione w społeczeństwie oparcia — „dewiacje" ideologiczne — a więc gomułkowska PPR i niedobitki niepodległościowego socjalizmu oraz szczupłe stosunkowo grono inteligencji usiłującej utrzymać się na powierzchni zarówno w sensie politycznym jak i materialnym. Etap następny przewidywał fizyczną likwidację ocalałych z wojny domowej uczestników walki zbrojnej w latach okupacji oraz walki politycznej w pierwszych latach powojennych. Celem ostatnim, i bodaj w przekonaniu komunistów najważniejszym i najtrudniejszym, miał być Kościół. Terrorowi politycznemu i policyjnemu miało towarzyszyć całkowite wyjałowienie świadomości narodowej. Naród pozbawiony potencjału intelektualnego, oderwany od swej historii, stałby się powolnym narzędziem imperialnej ekspansji państwa, któremu znowu zamarzyła się rola światowego hegemona.

Ale właśnie wtedy, gdy plany te wkraczały w fazę przyśpieszonej realizacji, nastąpiły wydarzenia, które w nieprzewidziany sposób zaciążyły na dalszym biegu wypadków, przede wszystkim zaś na ewolucji państw „demokracji ludowej" jako formy przejściowej do pełnej inkorporacji krajów satelickich. Wbrew intencjom Moskwy zaczęło powstawać w świadomości społeczeństwa jakieś początkowo niejasne *iunctim* między secesją Jugosławii, powstaniem Kominformu i likwidacją „gomułkowszczyzny". Zawodność najsprawniejszego nawet planowania politycznego polega między innymi na tym, że wymuszony przez konkretną sytuację polityczną wybór środków realizowania planów wpływa na zmianę samych planów. Decydując się w ostatniej fazie wojny na wybór doktryny demokracji ludowej, jako formuły taktycznej, Związek Sowiecki nie mógł zapobiec temu, że zawarta *implicite* w tej doktrynie idea narodowych „dróg do socjalizmu" zaczęła żyć własnym życiem i przemieniła się w hasło wywoławcze najpoważniejszych przeciwników ambicji imperialnych Moskwy. Zapewne i na Kremlu zdawano sobie sprawę z nieodwracalności zmian jakie zaszły w Polsce w okresie trzyletniej „łagodnej rewolucji", zmian z których bodaj najważniejszą była akceptacja przez pewną część polskiego społeczeństwa konieczności, a także celowości, kompromisu jakim była państwowość bez suwerenności. Uznanie jednak tego kompromisu zakreślało pewne granice tolerowania stanu rzeczy, zaistniałego w następstwie wkroczenia wojsk sowieckich do Polski. W ciągu tych trzech lat zarysowały się postawy ugodowe, a wraz z nimi przesłanki nowej filozofii pracy organicznej. W miarę jednak jak stawała się coraz bardziej oczywista bezbronność PPR wobec Moskwy i coraz drastyczniejsza ewolucja w kierunku rządów monopartyjnych, wzmagało się

w społeczeństwie poczucie zagrożenia, podsycane przez rosnący terror policyjny.

Likwidowanie „gomułkowszczyzny" nie było — jak to sugerowali sami likwidatorzy i ich obrońcy — jedynie wewnętrzną walką o władzę w partii. Była to również próba zbudowania w Polsce modelu republiki sowieckiej. Twórcom tego modelu brakło jednak tego znamienia autochtoniczności, którym partia sowiecka mogła się posługiwać odwołując się do procesów rewolucyjnych, które rzeczywiście miały miejsce na całym terenie dawnego imperium carskiego. Polska partia komunistyczna i jej aparat terroru nosiły wyraźnie rozpoznawalne piętno administracji, narzuconej przez obce mocarstwo. Co więcej, o ile w Związku Sowieckim partia mogła w chwilach krytycznych identyfikować swe interesy z interesami państwa, o tyle w Polsce wszelka próba takiej identyfikacji stawała się źródłem nieporozumień z Moskwą. Tak więc program ideowy likwidatorów Gomułki obnażał istotę sporu, czynił Gomułkę symbolem oporu przeciw sowietyzacji i przenosił wewnętrzpartyjną walkę o oblicze polskiego komunizmu na szerszą, narodową płaszczyznę. Inna sprawa, że cały ten proces znakomicie pasował do lansowanej przez Stalina teorii walki klasowej zaostrzającej się w „miarę postępu budownictwa socjalistycznego".

Trudno sobie wyobrazić, by Moskwie przypatrywano się biernie rozwojowi wydarzeń w Polsce. Należy raczej przypuszczać, że bardziej dalekowzroczni politycy kremlowscy interesowali się nią chociażby w aspekcie nieuchronnej walki o sukcesję po Stalinie, o koncepcje zastąpienia przestarzałego modelu rządzenia jakimś nowszym, który — zachowując w niezmienionej postaci dyktaturę partii — pozwoli w miarę sprawnie wymienić zużyte tryby machiny partyjnej i państwowej. Temu chyba należy przypisać — a nie kunktatorstwu administracji warszawskiej — zachowanie przy życiu Gomułki i jego towarzyszy. Bieg wydarzeń został gwałtownie przyśpieszony przez śmierć Stalina. Nawet urzędowa wersja zgładzenia Berii potwierdzała istnienie co najmniej dwóch tendencji, względnie koncepcji, polityki sowieckiej: izolacjonistycznej i ekspansjonistycznej. Zarówno jedna jak i druga oznaczały konieczność podjęcia nowych decyzji odnośnie Polski. Echem walki o władzę na Kremlu było gwałtowne załamanie się aparatu terroru w Polsce, którego ostatnim pociągnięciem, mającym stworzyć fakt dokonany otwierający drogę dla krwawego rozprawienia się z polską irredentą, było aresztowanie Prymasa Polski, inspirowane przez lokalnego rzecznika koncepcji inkorporacyjnej — Bolesława Piaseckiego. Pierwszym publicznym uderzeniem strony przeciwnej, nie mającej jeszcze co prawda jasnego planu działania, lecz stanowczo zmierzającej do gruntownej prze-

budowy władzy, była próba przerzucenia całej odpowiedzialności za „błędy i wypaczenia" lat minionych na zautonomizowany rzekomo aparat bezpieczeństwa.

Wysłanie za granicę podrzędnego agenta Światły, kompletnie niezorientowanego w sytuacji, posiadającego jednak obfity zestaw plotek, miał się okazać najbardziej udanym manewrem mocodawców administracji warszawskiej, ponieważ torował drogę koncepcjom przebudowy systemu przez monopartię uwolnioną od kurateli już nie Moskwy, lecz mitycznego aparatu bezpieczeństwa, który władzę w partii zagarnął. Atak na aparat bezpieczeństwa i jego polską filię nastąpił w chwili, gdy już był przesądzony los dotychczasowej kadry. Stanowił więc zasłonę dymną ukrywającą faktyczną operację. Sprawniej myślące elementy w ówczesnym kierownictwie partii szybko dostrzegły w nowych koncepcjach dogodny wehikuł, umożliwiający im bezbolesne przedostanie się do następnego etapu jako patronów odmiany. Rodził się rewizjonizm, którego wielorakie możliwości — choć nie w pełni jeszcze widoczne — przeczuwano trafnie. W przeszłości miał stać się kulą u nogi widocznego już pretendenta do stanowiska przywódcy partii, hamującą jego swobodę manewru i przywracająca wypróbowanym działaczom rolę pośredników między nowymi siłami i Moskwą; miał wreszcie stać się zarzewiem sporów ideologicznych, zawsze przydatnych we wszystkich rozgrywkach partyjnych.

Nie należy z powyższych zdań wyciągać pochopnego wniosku o jakichś makiawelskich planach doskonałej intrygi. Był to jedynie klasyczny wypadek rozgrywki, której reguły od dawna już zostały opracowane przez teoretyków i praktyków totalizmu.

4. *Październikowy prima aprilis i jego ciąg dalszy*

Euforia, która ogarnęła Warszawę, i w mniejszym stopniu resztę kraju, w październiku 1956 roku przysłoniła opinii publicznej niezbyt przyjemny fakt, że Władysław Gomułka powrócił do władzy bynajmniej nie dlatego, iż jego powrotu domagało się społeczeństwo magicznie reprezentowane przez warszawskich studentów i robotników Żerania, lecz dlatego, że władzę postanowiła powierzyć mu część kierownictwa PZPR w przekonaniu że uratuje się w ten sposób od bankructwa politycznego. Komedia pomyłek trwała zaledwie kilka miesięcy. W sam raz tyle, ile było potrzeba, by gomułkowska ekipa i skupiające się wokół niej elementy społeczeństwa przekonały się, że niczego nie można zacząć od nowa.

W ciągu ośmiu lat, które minęły od usunięcia Gomułki, zaszły w Polsce głębokie zmiany. Na nie właśnie zwracał w swym

przemówieniu na plenum partii jedyny uczestnik dyskusji, który z niezwykłą u komunisty godnością przyjął do wiadomości koniec swej kariery politycznej. W sposób ostrożny, ani na chwilę nie naruszając obowiązującego na partyjnych konwektyklach rytuału, nie łamiąc prawideł języka dyskusji partyjnej, usiłował wyjaśnić, chyba jednemu tylko Gomułce, faktyczny stan rzeczy. Tezy Hilarego Minca można by sprowadzić do kilku nie nowych prawd. Odpierał więc twierdzenie wypowiadane mniej lub bardziej wyraźnie przez wszystkich prawie uczestników tej osobliwej z partyjnego punktu widzenia narady, jakoby całe zło wynikało z ingerencji „przyjaciół" w sprawy wewnętrzne Polski. Nie było żadnych „spraw wewnętrznych" od chwili, gdy komuniści zdecydowali się przejąć władzę w kraju z rąk Stalina, rezygnując z mandatu społeczeństwa polskiego. Godząc się na rolę mianowańców, akceptowali stalinowską wersję marksizmu, według której partia sowiecka była hegemonem światowego ruchu komunistycznego, państwowe zaś interesy Związku Sowieckiego były podstawowymi interesami wszystkich partii komunistycznych na świecie. Tak więc przyjęcie sowieckiego modelu — który, jak twierdził w swym referacie Gomułka, okazał się nieprzydatny dla Polski — nie było wcale wynikiem nacisku Moskwy lecz wyborem dokonanym przez partię w chwili gdy obejmowała władzę. I nie był to bynajmniej model nieprzydatny, w każdym razie z punktu widzenia partii lub choćby obecnych na sali osób ją reprezentujących, skoro umożliwił im przebycie tak ciężkiego kryzysu, jakim jest całkowite załamanie się aparatu partyjnego i państwowego, w tej właśnie szczytowej chwili napięcia. Trafnie oceniał Minc charakter przeżywanej burzy, kiedy broniąc jednego ze swych chybionych przedsięwzięć gospodarczych — warszawskiej fabryki samochodów— i wręcz otwarcie drwiąc sobie z „ekonomicznych argumentów" Gomułki krytykującego polski przemysł samochodowy, mówił o tym że nawet drobne dochody ze sprzedaży tych samochodów zasilają zasoby dewizowe państwa i kończył swój wywód znamiennym ostrzeżeniem, że „dobrze jest mieć w Warszawie taką załogę jak załoga Żerania".

Nie ujawniając szczegółów — a bardziej chyba niż ktokolwiek zdawał sobie sprawę z ignorancji tego grona „właścicieli Polski Ludowej" — Minc usiłował zwrócić uwagę na zmiany, jakie zaszły w gospodarczej i społecznej strukturze kraju. Lata intensywnego uprzemysłowienia, przeprowadzanego specyficznymi metodami, nie przyniosły — i przynieść nie miały — wzrostu potencjału gospodarczego Polski, natomiast radykalnie przebudowały jej strukturę społeczną. Masy ludności wiejskiej, które napływały do miast i znajdowały zatrudnienie w przemyśle i budownictwie, nie stawały się automatycznie klasycznym proleta-

riatem. Nie mogły też stać się nowoczesną klasą robotniczą, ponieważ wszelkim próbom uświadamiania ich i organizowania przeciwstawiały się skutecznie wszelkie agendy władzy, od organów bezpieczeństwa począwszy a na związkach zawodowych kończąc. Powstawała bezwolna, zanarchizowana magma, poddawana skutecznej w pewnej mierze obróbce przez nową klasę rządzącą. Komuniści zdawali sobie oczywiście sprawę z tymczasowości tego stanu rzeczy. Oszołomienie wywołane zmianą statusu społecznego i zerwaniem dotychczasowych więzi nie mogło trwać długo. Czekała ich najtrudniejsza i decydująca walka o rząd dusz, a w tej walce jedynym realnym oponentem był kościół katolicki, który immunizował społeczeństwo przed działaniem nihilistycznej doktryny i dzięki temu stawał się obrońcą narodowych wartości. Komuniści polscy, lepiej bodaj od swych mocodawców, zdawali sobie z tego sprawę i wbrew oficjalnie głoszonym teoriom, tak chętnie podchwytywanym przez najrozmaitszych obserwatorów sceny polskiej a także przez zdezorientowane kręgi katolickich intelektualistów, nie uważali bynajmniej, że zapełnione wiernymi świątynie są tylko demonstracją polityczną, niewiele w gruncie rzeczy mającą wspólnego z prawdziwą religijnością. Pod tym względem okazali się bardziej przenikliwi od rozmaitych socjologizujących teologów i nadgorliwych działaczy na rzecz odnowy Kościoła, utyskujących na „saski" i „wsteczny" charakter religijności polskiej. Komuniści byli świadomi autentyczności tej wiary, wyrażającej się często w formach obrażających nadwrażliwość intelektualnych pięknoduchów. Lepiej od nich wiedzieli, że właśnie te formy, będące skuteczną bronią przeciw zmianom narzucanym, nie wyrastającym z wewnętrznej, swobodnie wyrażanej potrzeby, dowodzą głębi polskiej formacji katolicyzmu i że właśnie one mogą stać się z czasem dźwignią prawdziwej odnowy. Nic więc dziwnego, że właśnie Kościół stał się dla partii głównym wrogiem w walce o przyszłe oblicze kraju. Na tej samej naradzie ustępujący ideolog partii, Berman, bronił swych zasług, przypominając że „potrafiliśmy stworzyć klimat, który umożliwił rozwój ruchu postępowo-katolickiego". W tych słowach również brzmiała przestroga.

W tej walce o rząd dusz osobliwą rolę odegrali polscy intelektualiści, pisarze, artyści, dziennikarze i publicyści. Życie intelektualne kraju w latach powojennych zasługuje na wyczerpującą monografię, zaopatrzoną w obfitą antologię tekstów i wypowiedzi. W tym miejscu należy jedynie zwrócić uwagę na jeden rys szczególny, a mianowicie na różny stopień orwellowskiej deprawacji, osiągany przez różne przejawy działalności intelektualnej. Mógł więc, przykładowo biorąc, wygłaszać historyk publicznie poglądy, które uważał za bzdurne czy nawet szkodliwe, starając się

równocześnie zachować swój warsztat i kształcić nielicznych adeptów, którzy we właściwym czasie wskrzeszą na pozór zaginioną dyscyplinę. Podobnie mógł postępować każdy uczony i wychowawca, kierując się dobrze czy źle rozumianymi hasłami pracy organicznej. Zjawiskiem jednak znamiennym dla tego okresu jest to, że tak wielu znalazło się intelektualistów, którzy całkowicie i bez zastrzeżeń zaprzedali się idei tworzenia „nowego, szczęśliwego świata". Szczególne pod tym względem miejsce przypadło literaturze i środkom masowego przekazu, które z zapamiętaniem trudziły się nad dostarczaniem „ideowych" motywacji narodowemu odszczepieństwu. Postawy takie chociażby dlatego należy przypomnieć, że w następnym okresie gwałtownych przestawień na szachownicy politycznej, retoryczność postaw, krańcowy subiektywizm ciągłych „przemian", trwająca niemożność obiektywnej analizy ogólnej i własnej sytuacji, stały się czynnikami, niekiedy nawet sprawczymi, nowych perypetii czyniąc z tych ludzi narzędzia w ręku politycznych manipulatorów.

Nie wiadomo w jakiej mierze rozumiał konsekwencje zaistniałych przemian człowiek, który po ośmiu latach nieobecności powracał do władzy. Jedno wydaje się nie ulegać wątpliwości, że u podstaw wszystkich poczynań Władysława Gomułki leżały koncepcje geopolityczne, będące w swych najogólniejszych ramifikacjach dziedzictwem po dawnej wizji politycznej obozu narodowego. Kierując się swoiście rozumianym realizmem politycznym, stawiał sobie Gomułka za zadanie zdobycie dla Polski jak najszerszej autonomii w ramach imperium sowieckiego. Wierzył zapewne, że w Moskwie muszą znaleźć się ludzie, którzy zrozumieją, że taka autonomia — a być może w dalszej perspektywie pełna samodzielność Polski — leży w interesie obu narodów i był chyba przekonany, że jego koncepcje będą zrozumiane w kraju i na zasadzie milczącej umowy będą akceptowane przez społeczeństwo. Przebieg kryzysu październikowego zdawał się upewniać go w tym przekonaniu. Nowa partia miała budować nową Polskę.

Zadanie to zdawały się ułatwiać walki frakcyjne w partii i kredyt przyznany nowemu jej przywódcy przez jedynego rzecznika prawdziwej opinii publicznej, jakim jest Kościół. Co prawda Kościół wzbraniał się przed odgrywaniem roli politycznej, nie mógł jednak w tak krytycznej chwili wstrzymać się od interwencji. Otrzymanej lekcji Gomułka nie zrozumiał. Tak jak nie rozumiał, że stworzenie nowej partii wymagało przede wszystkim sprecyzowania własnego programu politycznego, w którym niejasne ogólniki zostałyby zastąpione przez konkretne postulaty. A tego właśnie uczynić nie mógł. Jeśli nawet miał jakąś określoną

wizję drogi, po której chciał poprowadzić Polskę kierowaną przez partię ku suwerenności, to z konieczności musiał swe myśli zachować w tajemnicy. Skazywał się więc na sytuację, w której wcześniej czy później musiał stracić popularność, będącą jego głównym orężem zarówno w walce z starym aparatem partyjnym jak i w przetargach z Moskwą. A przecież nie posiadał władzy absolutnej, która umożliwiałaby mu forsowanie własnych koncepcji wbrew woli partii i Moskwy, przy biernym — w najlepszym wypadku — zachowaniu się społeczeństwa. Despotyzm, nawet oświecony i kierujący się najlepszymi intencjami, wymaga suwerenności. Zaczarowany krąg się zamykał.

W ciągu czternastu lat swej drugiej kadencji miał Gomułka dość czasu i okazji by przekonać się, że wszelkie próby polityki ugodowej wobec Rosji, podejmowane z pozycji zależności, skazane są na niepowodzenie. Nie można zresztą mieć pretensji do polityków rosyjskich że w swoich poczynaniach kierują się własną racją stanu. W wyniku drugiej wojny światowej Polska znalazła się w orbicie wpływów Związku Sowieckiego, a dzięki bierności mocarstw zachodnich — w bezpośredniej zależności od Moskwy. Trudno sobie wyobrazić, by wojenni sojusznicy Polski godząc się na taki podział Europy nie zdawali sobie sprawy z praktycznych konsekwencji takiego rozwiązania. Szczególnemu zbiegowi okoliczności należy przypisać to, że Związek Sowiecki nie dokonał pełnej inkorporacji krajów, które na mocy postanowień jałtańskich i poczdamskich znalazły się w zasięgu jego władzy. Stworzenie systemu „demokracji ludowych" musiało z natury rzeczy doprowadzić do przyznania tym krajom pewnej autonomii administracyjnej, równocześnie jednak wymagało wyraźnego zakreślenia jej granic, Stalin, idąc w ślady Katarzyny, stanął w obliczu nierozwiązalnego paradoksu który zaważył na całych dziejach nowożytnych Rosji. Kontynentalne imperium, stanowiące zlepek podbitych narodów, w następstwie swej organicznej niejednorodności mogło się bronić przed rozpadem jedynie przez dalsze podboje. Ale one właśnie doprowadzały do zaostrzania się wewnętrznych sprzeczności. Ekspansja na zachód wprowadzała w orbitę imperium Polskę, której dynamika narodowa podsycała tendencje separatystyczne ludów podbitych. Ekspansja na wchód nieuchronnie wiodła do konfliktu z Chinami, co z kolei wywoływałoby niebezpieczne fermenty w azjatyckich domenach. System rządów despotycznych, który powstał w Rosji, nie zawierał mechanizmów umożliwiających przekształcenie imperium we wspólnotę narodów. System ten, doprowadzony do absurdalnej krańcowości za rządów Stalina, znalazł się po wojnie w ślepej uliczce. Jedynym z niej wyjściem zdawała się „równowaga strachu" umożliwiająca dwóm supermocarstwom, Rosji i Ameryce,

utrzymanie swych pozycji przez ścisłe przestrzeganie podziału świata dokonanego podczas wojny.

Ta równowaga strachu torowała drogę bonapartyzmom. Strategia wojskowa przestawała być narzędziem ekspansji gospodarczej, względnie obrony interesów państwowych, a stawała się celem samym w sobie. Broniąc się przed takim obrotem rzeczy rządy obu supermocarstw stawały się jednak zależne od sytuacji wewnętrznej w swoich imperiach, co z kolei rodziło konieczność narzucania względnej stabilizacji wewnętrznej wszelkimi dostępnymi środkami. Absurdalne może się wydawać na pierwszy rzut oka wszelkie porównywanie „maccarthyzmu" ze wzmożoną falą terroru w ostatnich latach życia Stalina, niemniej zachowując w pamięci relatywność ocen takich zjawisk i ich zależność od historycznych tradycji danego społeczeństwa, można stwierdzić pewien niewątpliwy paralelizm między tymi dwoma próbami utrzymania dyscypliny społecznej.

Kryzys wywołany śmiercią Stalina nie został w pełni oceniony w Stanach Zjednoczonych. Krótkowzroczność amerykańskiej doktryny politycznej uniemożliwiała dostrzeżenie rzeczywistych implikacji fermentu jaki w bloku sowieckim wywołało stopniowe załamywanie się administracji i gospodarki. Kłopoty wewnętrzne Związku Sowieckiego wykorzystała Ameryka jedynie dla nasilenia procesu likwidacji europejskich stanów posiadania w Trzecim Świecie i do umocnienia swej pozycji gospodarczej w Europie Zachodniej. Raz jeszcze Rosja broniąca całości swego imperium znalazła niespodziewanego sojusznika.

Gomułka niemal natychmiast po powrocie do władzy zorientował się, że nie ma na kogo liczyć w swej grze z Rosją. Pożyczka zaofiarowana Polsce przez Dullesa była jednoznaczną odmową wtrącania się do tej gry. Postawa zaś rządu amerykańskiego w czasie powstania na Węgrzech dowodziła, że nawet w tak jednoznacznej sytuacji Ameryka gotowa jest wesprzeć swego rosyjskiego alianta choćby przez politykę nieingerencji. Pozbawiony możliwości manewru wewnętrznego i zewnętrznego, Gomułka zdany był wyłącznie na poparcie społeczeństwa. Dni październikowe mogły wywołać wrażenie, że poparcie takie uzyskał na zasadzie milczącego porozumienia, którego podstawą była zgodna ocena możliwości i niebezpieczeństw. Porozumienie to trwające przez pierwsze lata rządów Gomułki, przestawało jednak funkcjonować w miarę jak posunięcia ekipy rządowej stawały się coraz mniej zrozumiałe i coraz mniej popularne. Przedwczesną byłaby próba zrekonstruowania zawiłych dróg, którymi kroczyła polityka wewnętrzna i zagraniczna tego zespołu, już dziś jednak zarysowują się wyraźnie pewne zasadnicze kierunki działania, które zaważyły na nowej sytuacji Polski w bloku. Najważniej-

szym bodaj krokiem było wstrzymanie kolektywizacji i ustabilizowanie indywidualnej gospodarki chłopskiej. Równorzędną chyba rolę należy przypisać zagospodarowaniu i zintegrowaniu ziem zachodnich. Zrealizowanie obu tych decyzji zmniejszało wydatnie szanse szantażu gospodarczego i politycznego. Wydatnym osiągnięciem było „spolonizowanie" wojska, które zaczęło w pewnym stopniu odzyskiwać swe indywidualne oblicze. Posunięcia te wymagały rozluźnienia obowiązujących dotąd restrykcji w sferze ideologii, co z kolei umożliwiło podjęcie wstępnych prac nad rekonstrukcją badań humanistycznych. Całe połacie historii, literatury i kultury, wykreślone z programów w okresie poprzednim, odkrywano teraz na nowo i przywracano kulturze narodowej.

Na Kremlu śledzono te posunięcia z wielką uwagą i położenie kresu tym poczynaniom było już tylko kwestią czasu. Przygotowania do takiej ingerencji trwały zresztą od pierwszych chwil dojścia do władzy człowieka, któremu niczego nie zapomniano i nic nie wybaczono. I ten proces musi jeszcze poczekać na swój opis do chwili, kiedy można będzie lepiej ocenić rolę manewrów wykorzystujących dawne rozbieżności w partii, trudności rzeczywiste i sztucznie wywoływane, napięcia w sytuacji wewnętrznej i międzynarodowej. Grudzień 1970 roku w nieznacznym tylko stopniu był spontanicznym odruchem społeczeństwa — w znacznie większym zakończeniem procesu w którym plany Moskwy splatały się z błędami ekipy Gomułki, konieczności polityczne i ekonomiczne z machinacjami i intrygami.

5. *Grudniowe mgły*

Wydarzenia grudniowe, które zostały zapoczątkowane przez krwawo stłumione wystąpienie robotników Wybrzeża, nie doczekały się dotąd krytycznego opisu. Jest rzeczą charakterystyczną, że nawet dziennikarska atrakcyjność samych zajść nie została doceniona przez europejskie i amerykańskie środki masowego przekazu, o czym łatwo się przekonać porównując relacje w grudniu 1970 z odpowiednimi relacjami w październiku 1956. Przysłowiowa „dyskrecja" krajowych środków przekazu nie wymaga komentarza. Najbardziej jednak znamienną okazała się forma w jakiej partia podała do wiadomości publicznej swą interpretację wydarzeń. Nie chodzi tu tylko o lakoniczność komunikatów, ale przede wszystkim o ogłoszone sprawozdanie z przebiegu obrad centralnego komitetu. Wydany z wielkim opóźnieniem, w bardzo ograniczonym nakładzie, numer oficjalnego miesięcznika partyjnego zawierający skrót stenogramu obrad, nie wyjaśniał niczego, powołana zaś do zbadania wydarzeń komisja zmarła prawdopodobnie śmiercią naturalną zanim zdołała opracować swe sprawozdania i wnioski.

Przyszłym historykom uda się być może odtworzyć chronologię procesów i kryzysów, które doprowadziły do grudniowego wybuchu. Być może potrafią oni na podstawie zachowanych materiałów i przekazów napisanych kiedyś przez uczestników owej gry politycznej zbudować jakieś hipotezy istotnych źródeł i mechanizmów tej walki wewnątrzpartyjnej, która pomogła usunąć Gomułkę i wprowadzić na scenę nową ekipę rządzącą. Nie ulega jednak wątpliwości, że utrzymanie tych faktów w tajemnicy, otaczanie ich mgłą niedopowiedzeń, i bodajże niedomyśleń przyczynia się do pogłębienia stagnacji i tymczasowości cechujących — mimo pozorów stabilizacji — obecną sytuację w kraju.

Bierność aparatu partyjnego, w ten sposób hamującego skutecznie skromne lecz realne próby usprawnienia gospodarki narodowej i zarządzania, podejmowane przez niektóre ogniwa władz centralnych, nie jest tym razem jedynie wyrazem oporów, narastających w zagrożonej w swej racji istnienia warstwie biurokracji partyjnej lecz jest również odzwierciedleniem atmosfery niepewności i nastroju wyczekiwania, zbyt głęboko osadzonych w psychice społeczeństwa, by można je było usunąć przez niewątpliwie widoczną, nie sięgającą jednak zbyt głęboko, poprawę stopy życiowej.

Rządząca ekipa, ustami swych rzeczników tak intensywnie starających się wpłynąć na opinię sfer politycznych na świecie, usiłuje kolportować własną wersję wydarzeń grudniowych, w którą, być może, sami przywódcy partii wierzą, jako że zdrowie psychiczne wymaga przyjęcia pewnych motywów postępowania, nawet jeśli tworzy się je *post factum*. Wersję tę można by sprowadzić do kilku prostych tez, opierających się na podstawowej przesłance, że społeczeństwo polskie po ćwierćwieczu istnienia systemu monopartii zdążyło się już z nim pogodzić i uznać go za swą historyczną rację stanu. W wyniku zmian strukturalnych, jakie w tym społeczeństwie nastąpiły, powstała klasa robotnicza myśląca w kategoriach marksistowskich i pragmatyczna w działaniu. Klasa ta po raz pierwszy wystąpiła w sposób zorganizowany i świadomy w grudniu 1970, przeciwstawiając się „awanturniczej polityce i dyktatorskim zapędom" ówczesnego przywódcy partii. Uznając nowe kierownictwo partii, klasa robotnicza tym samym uznała system polityczny istniejący w kraju, odtąd jednak świadoma swych możliwości i swej dojrzałości uczestniczyć będzie w rządzeniu krajem jako instancja, która ostatecznie decyduje o tym, kto ma nią rządzić.

Nie miejsce tu na dowiedzenie fałszywości takiej tezy, wystarczy ograniczyć się do stwierdzenia, że opiera się ona w naj-

lepszym wypadku na pobożnych życzeniach. Nie uwzględnia ona bowiem podstawowego braku całej struktury politycznej i gospodarczej kraju, owej państwowości bez suwerenności, która powoduje, że wszystkie analizy nie uwzględniające jej, i podejmowane na podstawie tych analiz środki zapobiegawcze, okazują się na dłuższą metę zawodne. Inna sprawa, że właśnie ten brak suwerenności uniemożliwia — jeśli nawet założymy hipotetycznie dobrą wolę polityków partyjnych — postawienie właściwej diagnozy i wyciągnięcie z niej praktycznych wniosków. Sztuczne mgły rozsnute nad wydarzeniami grudniowymi utrzymają się zapewne do następnego kryzysu, który nieuchronnie nastąpi. Przekonanie, że można tym kryzysom zapobiec przez doraźne sanowanie gospodarki narodowej, czy wreszcie przez ulepszenie sytuacji całego bloku w wyniku głębokiej integracji — jeśli nawet wydaje się teoretycznie uzasadnione przy przyjęciu osobliwego rozumowania ekonomistów i socjologów formułujących na zamówienie swe programy — jest jednak całkowicie dowolne i zawodne, i o tym wiedzą doskonale politycy, którzy już od dawna zrozumieli, że dogmat zależności świadomości społecznej od warunków materialnych nie ma mocy obowiązującej poza komunistycznym kościołem, a i w samym kościele komunistycznym jest dogmatem, w który nikt nie wierzy, choć nie śmie kwestionować jego ważności.

Skomplikowanego charakteru wydarzeń grudniowych nie można przeanalizować również i dlatego, że wymagałoby to lepszej znajomości ich prawdziwej genezy. Były one jedynie epizodem toczącej się od przeszło ćwierćwiecza skomplikowanej gry politycznej Moskwy, w której problem polski raz po raz okazywał się elementem obalającym wszelkie obliczenia. Poddawana rozmaitym zabiegom Polska nadal jest obcym ciałem w organizmie imperium sowieckiego. Obcość ta nie tylko nie zmniejszyła się z upływem czasu, lecz wręcz przeciwnie wzmogła się i nadal wzmaga, w miarę jak zasklepiają się rany zadane przez wojnę, okupację i wojnę domową. Wewnętrznej stabilizacji narodu przejawiającej się w odzyskiwaniu wiary w swe siły, w rekonstruowanie swej narodowej tożsamości, nie towarzyszą koniecznie zmiany w statusie narodu. Z tej właśnie rozbieżności rodzi się nieustanny ferment. Wbrew oczywistym faktom partia stara się nie dostrzegać tego, że każdy kolejny kryzys pogłębia poczucie niedosytu i niezadowolenia. I jeśli nawet wynika to z ograniczonej samodzielności partii, nie usprawiedliwia to w niczym jej bierności.

Jest rzeczą mało prawdopodobną by w kręgach politycznych Związku Sowieckiego nie znaleźli się ludzie, którzy o tych sprawach myślą. Trudno uwierzyć, by brakło tam całkowicie polityków zdających sobie sprawę z nieodwracalności procesów, które od lat zmuszają Rosję do prowadzenia walki defensywnej. Ostatnie dziesięciolecia wykazały, że nie tylko w krajach kolonialnych i zdekolonizowanych ale nawet w tych, które znalazły się po wojnie w składzie bloku sowieckiego, niezwykle silne jest dążenie do samodzielności i suwerenności. Powstawanie zjednoczonej Europy nie tylko nie przyczyni się do oderwania się tych krajów od europejskiej wspólnoty, lecz wręcz przeciwnie doprowadzi do spotęgowania poczucia krzywdy, zależności i bezradności. Wcześniej czy później stanie Związek Sowiecki w obliczu skutków narastającego w ten sposób napięcia i jest rzeczą nader wątpliwą czy jakikolwiek układ policyjny między Ameryką i Rosją potrafi zapewnić na czas nieograniczony uległość tych krajów. Pewniejszym gwarantem bezpieczeństwa Związku Sowieckiego byłaby Polska suwerenna, dbająca w dobrze rozumianym interesie własnym o jak najlepsze stosunki ze swym wschodnim sąsiadem. Nie jest jednak zadaniem niniejszych luźnych uwag wytyczania jakichś dróg czy też kreślenie programów. Chodzi jedynie o wypowiedzenie myśli, które zdają się nurtować coraz więcej Polaków. Jeśli przyszła Konferencja w Sprawie Bezpieczeństwa i Współpracy nie ma stać się powtórzeniem Jałty i Poczdamu, jeśli nie ma ona odwlec jedynie na czas niedługi nieuniknionych kryzysów, jeśli ma naprawdę zapoczątkować jakiś sensowny proces odprężenia — wówczas jej uczestnicy winni o tych właśnie problemach pamiętać.

X.Y.Z.

Artykuł nadesłany z Kraju.

Buon giorno Roma

Gdzie spojrzeć, słońce. Kłęby słońca. Październik nad Tybrem bywa wiosenniejszy niż maj nad Wisłą. Przybysze mrużyli oczy, z lekka odurzeni łagodną złocistością.

— Szampan w powietrzu! Nasz sławny krajan niezłą sobie tutaj zamówił pogodę! Ma się te wpływy w zaświatach! — roześmiał się sekretarz komitetu powiatowego ze Zduńskiej Woli, przyglądając się błękitowi bez jednej chmurki. — *Buon giorno, Roma!* Pozdrowienia z Łodzi, Pabianic i naszej Woli!

— Witajcie, bracia z uciśnionej macierzy, witajcie! — Tuż za barierką kontroli paszportowej niewysoki pan z brzuszkiem przyjaźnie otwierał ramiona. Sądząc po biało czerwonej opasce na rękawie i orzełku w klapie, był to komitetowy. — Czym chata niebogata, tym rada. Nasz święty rodak sprawił również, że zapowiedziany na dzisiaj strajk autobusów, w ostatniej chwili przełożono na przyszły tydzień. Strajki, jak wiecie, to narodowy sport Włochaczy. Oni się jeszcze kiedyś na śmierć zastrajkują. Panie Karolak — zwrócił się do swego pomocnika — zanieś pan tej mateczce tobołek do autobusu. Damy mają pierwszeństwo!

Nie bez sympatii Adam przyjrzał się mistrzowi ceremonii, pomagającemu zakonnicom wsiąść do autobusu. Spostrzegł, że ramię podaje im szarmancko. Jak do tańca. Rudo siwe brwi nad wyblakłym spojrzeniem. Rdzawy wąs, nie większy od szczoteczki do zębów. Baczki do połowy policzka. Gdzieś już tę twarz widział. Może na patriotycznej manifestacji w Londynie? Może na fotografii w emigracyjnej gazecie?

— Jeśli mnie sklerotyczna pamięć nie zawodzi... Zdaje mi się, żeśmy się już gdzieś widzieli, zapewne we wspólnej robocie

* Fragment powieści pt. „Beatyfikacja".

— komitetowy skłonił się z wdziękiem wodzireja. — Niech tylko pizzę zjem z czosnkiem, a zaraz sobie przypomnę. Świat jest nieduży a nasz szczep ruchliwszy niż plemniki pod mikroskopem.

— Też porównanie! — parsknął ktoś w pobliżu. — W takim dniu!

— Tak... I ja odnoszę to wrażenie — zawahał się Adam na moment, nie chcąc użyć niedelikatnego zwrotu „Nie przypominam sobie".

Po co zasmucać pana z opaską? Któż nie ulega kojącemu złudzeniu, że żyje, dostrzegany i łatwo rozpoznawany przez innych, ba: że wywiera na nich „niezatarte wrażenie"! Jedno przelotne spotkanie, i już ludzie nie mogą zapomnieć o naszym istnieniu. Zresztą, nie takie to znowu ważne, czy mu ten dziarski jegomość przebiegł kiedyś drogę czy nie. A kto za bardzo wysila swą pamięć, gotów sobie jeszcze przypomnieć coś niemiłego.

Połowa października, a nastrój panuje tutaj wiosenny, wręcz wielkanocny. Rzekłbyś: radość w tonacji „Witaj, majowa jutrzenko!". Adam nie pamiętał już, ile razy w życiu był w Rzymie. Rok w którym nie zaglądał, choćby na krótko, do wiecznego miasta, uważał za zmarnowany. Może zjawia się nad Tybrem po raz piętnasty, a może dwunasty, ale tym razem czuje się tutaj, od pierwszej chwili, jakoś inaczej. Jak sztubak na wagarach.

— Niedaleko stąd ustawili Leonarda da Vinci. Zasalutuj do beretu, gdy będziemy mijali staruszka — przytulił malca do siebie.

Już na lotnisku, gdy ze zmęczonym Tomaszkiem (chłopiec źle znosi podróże; jakiż tam z niego będzie astronauta!) cierpliwie czekał przy obrotowym bębnie na walizki, złapała go za serce, aż wstyd się do staromodnej słabości przyznać, jakaś trudna do określenia odświętność. Nie ta od wielkiego dzwonu i procesji, lecz zgiełkliwie odpustowa, z ludowego festynu czy kiermaszu. Tyle lotów odbył nad morzami i lądami. Tyle różnych dworców lotniczych widział w swych licznych wojażach po świecie. Czasem, w Londynie, w Paryżu czy we Frankfurcie, na świetlnej tablicy z rozkładem lotów dostrzegał słowo „Warsaw", „Varsovie" czy „Warschau" i — wzdychał. Chciałaby dusza do raju i... Ale — chwileczkę, załgany Pegazie! — czy naprawdę by chciała? Sekcja zwłok wykaże. A jednak w tej chwili, między swoimi, miał ochotę wznosić okrzyki zachwytu. Jak ów poczciwiec ze Zduńskiej Woli, który po raz pierwszy ujrzał włoski lazur nad głową. Rybo, na piasku śnięta, porusz oskrzelami! Letarg na kilkadziesiąt godzin przerwany! Z jaką łatwością można wyrzucać z siebie podobne fidrygałki, gdy istna kipiel swojszczyzny pieni się dokoła.

„Żyje się tylko we Włocławku — zawyrokował kiedyś ojciec, gdy w noc świętojańską z lampionami płynęli kajakiem na samym środku Wisły — gdzie indziej się wegetuje". Ale czy to prawda? Poczciwcy na prowincji chętnie ozdabiają swe życiowe porażki wianuszkiem samopociechy. Jest tylko jeden środek na niedolę: polubić ją.

Od lat przebywając na emigracji, Adam smakował ten uroczy bałaganik na lotniczym dworcu, to nagłe nasycenie powietrza znajomymi dźwiękami. Cudownie odnalezioną chwilą zaciągał się wolno i głęboko. Jak dobrym papierosem. Przymknął pulsujące powieki, pod którymi jeszcze przed trzema kwadransami przechowywał oślepiającą biel alpejskich szczytów, i nadstawił ucha. Trafniej byłoby rzec: wystawił antenę. Oparty o burtę oszklonej hali, miał wrażenie że uderza mu ostry alkohol do głowy: ze wszystkich stron podmywał go język polski! Przyjemny szelest rodzimego „sz" i „cz". Jakby ów przysłowiowy chrząszcz brzmiał w trzcinie. Lub falka zbełtanego jeziora rozsepleniła się na przybrzeżnym żwirze. Dać się unieść znajomej fali. Wyłączyć hamulce krytycyzmu i sceptycyzmu. Ulec przyrodzie. Od niepamiętnych czasów, chyba od końca wojny, gdy odwiedzał obozy dla uchodźców, znowu znalazł się w polskim tłumie. Narkotyk co się zowie. Przygoda dla ucha, oka i wyobraźni. A jaka porcja egzotyki dla Tomaszka, który, o wstydzie, więcej wie o Amerykanach na księżycu niż o Polakach w Polsce.

Radośnie podnieceni rodacy. Zjechawszy się z różnych stron świata, przerzucali się ostatnimi wiadomościami. Powiało swojszczyzną. Zamigotało paciorkami.

— Ho, ho, jak się Franciszkanie, mistrzowie organizacji, do czegoś zabiorą, mucha nie siądzie!

— Japonki, panie Wójcik! W kimonach. Dwa samoloty z Tokio.

— Pociąg specjalny z Nadrenii i Westfalli, a drugi z Bawarii!

— A wiesz pan, ile maszyn z Ameryki przyfrunęło? Cała flotylla. Pięć Jumbo z samego Chicago. Polusy z chorągwiami. Sokolice z wisienkami na kapeluszu. Narzutki z nurków. Brylanciki w uchu.

— Z Francji i Austrii nasi autobusami przyjechali.

— A z Polski, słyszał pan? Grudzień zrobił swoje: aż dwa tysiące luda wypuścili. Most powietrzny Okęcie-Fiumicino wyczarowano na chybcika. Tego jeszcze nie było.

W autobusie, w drodze z lotniska do Rzymu, przysiadł się jakiś opalony dryblas w rogowych okularach. Co chwilę siwy kędziorek znad czoła zgarniał. Wiek nieokreślony: mógł mieć pięćdziesiątkę, a może i więcej. Torba z nagrą u boku, aparat filmowy na piersiach i nerwowe ruchy nie pozostawiały wątpliwości, że trudni się reporterką. Zresztą nad kieszenią nylonowej wiatrówki można było dostrzec niebieskie plamy — ślady po niestarannie zakręconych długopisach. Owiewał go wonny koniaczek, którego ostatnia kropelka, powiększona przez grube szkło okularów, jakby się jeszcze złociła w oku rozmówcy. Już po kilku zdaniach Adam zorientował się, że natrafił na nieszkodliwą i raczej sympatyczną odmianę mitomanii, która w zawodzie dziennikarskim częściej bywa zaletą niż wadą.

Jeszcze się okularnik dobrze nie przywitał, a już pokazał sąsiadom swoją legitymację prasową z kolorową podobizną wielkości podstawki od piwa. I wyjaśnił, że właściwie nazywa się „Dulęba" z „ę" w środku. Ale skoro cudzoziemcy wymawiali jego nazwisko „Duleba", doszedł do przekonania, że „ę" trzeba zmienić na „em". I odtąd pisze się „Dulemba".

— A wiecie, państwo, jak doszło do cudownego rozmnożenia pielgrzymów polskich na ziemi włoskiej? — „Stringer" czyli dostawca pogłosek, zatrudniony przez „Transatlantic Press", mówił dobitnie, jakby lękał się, że pasażerowie w dość głośno rozturkotanym autobusie mogą nie dosłyszeć jego monologu. — Dlaczego to na obecną beatyfikację przybywa ich z komunistycznego państwa trzy razy więcej niż w 1938, w okresie niepodległości, na kanonizację Andrzeja Boboli? Zaraz wyjaśnię. Po prostu: cud! Ja, niedowiarek, powiadam wam: cud! Nie pierwszy i nie ostatni cud błogosławionego dziennikarza, naszego kolegi po piórze. Inaczej tego nazwać nie można. Otóż w serwisie zagranicznym DPA dalekopis w Bonn wystukał przedwczoraj błędną liczbę. Cudowna pomyłka! Nikt mi nie powie, że nasz pomysłowy braciszek w zaświatach nie maczał w tym palców. Zmysł reklamy nigdy nie był mu obcy...

— Nie tak poufale — odezwała się zabiedzona zakonnica z plecakiem na kolanach. — Tak się nie mówi o męczenniku. Więcej szacunku dla wyniesionego na ołtarze kacetowca, Mister Dulemba. Pana te rzeczy bawią, a my je głęboko przeżywamy.

Ileż zakonnic w tym autobusie! Tamte, z neseserkami, rosłe, dobrze odżywione, o zdrowych cerach, białych zębach i szerokim uśmiechu, wodą kolońską skropione, w modnych okularach i szykownym przyodziewku, chyba są zza Oceanu. Natomiast te blade, zgrzebne i spracowane, bardziej wiejskie niż miejskie, z kobiecością uwięzioną w znoszonym habicie jak szczątki udręczonego ptaka w klatce, z naszej są ziemi.

— Proszę tylko posłuchać co się stało — reporter zrobił dłuższą przerwę, podrzucił siwy kosmyk na czole i milczał o półtorej sekundy za długo, chcąc się nacieszyć niecierpliwością słuchaczy.

— Co się stało? — rozległo się w autobusie. — Jedź pan dalej!

— Otóż stało się, proszę państwa, to, co się stać musiało. Jest to, zaznaczam, wiadomość na wskroś poufna, z absolutnie pewnego źródła. Żadna tam plotka czy niesprawdzona pogłoska, lecz fakt w stu procentach prawdziwy. Z reguły nie powtarzamy informacji niedokładnych lub przekręconych. Etyka zawodowa nam na to nie pozwala. Sumienie dziennikarskie wzdryga się przed tanią sensacją. Obowiązek informacyjny unika nieodpowiedzialności. To chyba jasne. Otóż ten dalekopis, wyobraźcie sobie, wystukał na wstążce, że aż... piętnaście tysięcy Niemców z NRF wyrusza do Rzymu, by wziąć udział w beatyfikacji Ojca Maksymiliana Kolbego. Ale to był błąd! Zwykły, a raczej niezwykły, chochlik drukarski. Co mówię „chochlik"! Serafinek anielski...

— A jeśli się przy tym zważy — wtrącił rozbawiony Adam, domyślając się dalszego ciągu opowieści — że ów brodaty Franciszkanin sam kiedyś obsługiwał linotypy w Niepokalanowie i pod Nagasaki...

Ale wnet przerwał, czując na sobie pełen wyrzutu wzrok zakonnicy. Zresztą nie chciał się wygłupiać przed Tomaszkiem.

— Otóż to! — pstryknął w palce Dulemba. — Ingerencja fachowca! Dyżurny dziennikarz, znam nazwisko tego Niemca, ale nie widzę potrzeby, by je ujawniać, przysięga się na wszystkie świętości, że podał liczbę prawdziwą, dziesięciokrotnie mniejszą: 1500, i że sprawdził ją dwa razy, przed i po nadaniu tekstu, ale w tajemniczy, co mówię „w tajemniczy", w cudowny, ha-ha, sposób wyskoczyło w maszynce dodatkowe zero, i wtedy — proszę tylko nadstawić ucha, bo zbliża się kulminacyjny punkt naszej relacji! — i wtedy, w Warszawie, gdzie uważnie czytają wszystkie komunikaty DPA, kogoś tam na samej górze, wiem nawet kogo, ale nie powiem, *noblesse oblige,* za przeproszeniem, jasna krew zalała...

— Brawo, redaktorze! — wtrącił komitetowy. — Słyszycie jak trawa rośnie. Tak trzeba.

— ... a w tym urzędzie, co się sprawami kościoła zajmuje, i to tak po swojemu: raz tam, panie, śrubę odkręci, to ją znowu zakręci, też się zdenerwowali nielicho, bo taki już tam panuje zwyczaj, że jak się szef czymś zmartwi, to jego podwładni martwią się jeszcze bardziej, im szczebel służbowy niższy, tym zmartwienie większe; wszystkie te ich urzędy, he-he, to jedna kochająca się rodzina...

— Dobrze powiedziane, sarkastycznie — ucieszył się pan z opaską. — Przyjemnie posłuchać.

— ... „co jest, u diabła? — zawołali bezwyznaniowi w wyznaniowym urzędzie, w tym ich laickim nadepiskopacie — niemieckiego święta zachciało im się w Rzymie? Naszego oświęcimiaka chcą zmajoryzować na oczach całego świata? Ich piętnaście tysięcy, a Polaków tylko kilkuset? Olimpiadę szlachetności sobie wykombinowali, wilczki w owczej skórze? Nie z nami takie intrygi! Ten numer nie przejdzie! Czym prędzej dosypać pielgrzymów! Zaalarmować kogo trzeba!". Telefony służbowe, panie dziejaszku, poszły w ruch! Pociągi, autobusy, samoloty, przepustki — wszystko się nagle znalazło, jak w godzinie mobilizacji, że tak powiem...

— Czy to aby możebne, panie redaktorze? — próbował ktoś przerwać chlubie agencji transatlantyckiej. — To pan, od lat żyjąc za granicą, wiesz więcej niż ja, mieszkaniec Warszawy?

— W głowie się wprost człowiekowi nie mieści — odsapnął ciężko sekretarz ze Zduńskiej Woli.

Ale rychło uciszono niedowiarków: opowieść wyraźnie przypadła słuchaczom do gustu. Czar obieżyświata robił swoje. A zresztą ludzie najchętniej wierzą w to w co chcą wierzyć. Któż nie lubi podań o dobrym sercu władców?

— Byli tacy, zwłaszcza na głuchej prowincji, na których ta nowina spadła jak manna z nieba! — ciągnął tym samym niefrasobliwym tonem mąż dobrze poinformowany, o stałym dostępie do poufnych źródeł. — I tak przed dom pewnego proboszcza, który przed dwudziestu kilku laty bezskutecznie próbował wyjechać do Lourdes i od tej pory w jakiejś tam kartotece haczyk miał przy nazwisku, w szczegóły wolę nie wchodzić, milicja zajechała radiowozem o pierwszej w nocy. Wyrwali go z łóżka. Kazali mu się spakować. Dwadzieścia kilo bagażu, nie więcej. Dopiero w komendzie wojewódzkiej dowiedział się dokąd i po co jedzie. Mocne, co? A kto się do samolotów nie zmieścił, tego do eleganckich autokarów od pepiczków wypożyczonych grzecznie załadowano, i — dawaj, panie łaskawy, na łeb i szyję, przez Czechy i Austrię, z pieśnią na ustach — do Rzymu, aby nas, tutaj, w stolicy chrześcijaństwa, na polskim święcie, było jak najwięcej! A wszystko przez to jedno niewinne zero w dalekopisie! Żadne tam *se non è vero,* lecz fakt autentyczny!

Dulemba zamilkł i otarł pot z czoła. Szczęśliwy, zmęczony, nasycony.

— Skąd pan to wszystko wie? — zapytał ktoś nieśmiało.

— Transatlantic Press wie wszystko. Ostatecznie jest się tym dziennikarzem od lat trzydziestu — odparł z uśmiechem, zadowolony z wrażenia, jakie wywarł na słuchaczach.

Nawet Tomaszek nie mógł oderwać wzroku od jego szwajcarskiej nagry i japońskiej kamery. Zamiast marzyć o karierze w kosmosie, gotów jeszcze, głuptasek, zostać dziennikarzem.

— Niesamowita historia! — zawołał komitetowy. — A wyście pewnie myśleli, że my się tutaj, na obczyźnie, nie orientujemy w zagadnieniach krajowych. Tak nie jest. Z lotu ptaka widać najlepiej.

— A ja mówię: ostróżnie. To jakiś cwany gierkowiec — Adam posłyszał szept za plecami. — L e k r a m ę robi dla reżymu, i tyla!

Odwrócił się. Na podróżnej torbie podejrzliwego pielgrzyma dyndał tekturowy wisiorek w celofanowej okładce z napisem: „S. Makula. Bradford. Great Britain".

— Nie jestem bynajmniej antykomunistą... — rozległo się z kolei w przednim rzędzie.

Adam uśmiechnął się do siebie. Od słów „Nie jestem bynajmniej antysemitą" żydożercy zaczynają swój akt oskarżenia.

— ... ale uważam, że przesadzamy, mówiąc o geście władzy ludowej. — Zdaje się że to świecki teolog z Paryża czy z Brukseli, który, ukrywszy się za płachtą gazety, przez dłuższy czas nie brał udziału w rozmowie. — Oni dobrze wiedzą, że im się ten przelotny flirt ze społeczeństwem opłaci. Mają dzień lasu, dzień dziecka, dzień kobiet, święto górnika, hutnika, odlewnika, kolejarza, nauczyciela, nie mówię już o nieoficjalnych 365 Dniach Pijaka w roku kalendarzowym, dlaczego by nie mieli się łaskawie zgodzić na dzień dobroci dla wierzących? Cóż ich kosztuje taki jeden dzień Kolbego na ileś tam lat? Nic albo niewiele. A korzyść propagandowa w kraju i za granicą, nawet w Watykanie, nie byle jaka. Mydlenie oczu, proszę państwa, to ich specjalność. Nie dajmy się uśpić pozornym zawieszeniem broni...

— Czym lepiej, tym lepiej — westchnął sekretarz. — A wszystko obraca się wokół pytania: czy jest alternatywa?

— Zdaje się, że cudzoziemców nie ma w tym autobusie — odezwała się zakonnica, osoba nękana chorobą, na co wskazywało żółtaczkowe zabarwienie skóry i spojówek. — Sami swoi. Może byśmy więc zaśpiewali razem ulubioną pieśń Ojca Maksymiliana: „Po górach, dolinach rozlega się śpiew"? To nie piknik czy wycieczka turystyczna, lecz pielgrzymka dziękczynna do Stolicy Piotrowej, o czym jednak nie wszyscy zdają się pamiętać. Za wiele mi tych kartoników z wolnocłowym alkoholem.

— Znakomity pomysł — skrzywił się komitetowy z opaską. — Ale może trochę później. Namodlicie się tutaj i naśpiewacie, bracia i siostry, do syta. Przyjrzyjcie się lepiej tym nowozbudowanym blokom mieszkalnym po prawej stronie szosy. Szklane domy. To o czym marzył Żeromski. Tak mieszka świat pracy na zachodzie. Polityki, szczerze mówiąc, nie lubię, propagandy nie uprawiam, ale to i owo warto czasem w imię prawdy uwypuklić. Panie Karolak — zwrócił się do swego pomocnika — rozdaj pan

pielgrzymom nasz kalendarzyk „Co każdy Polak, przyjeżdżający do Rzymu, wiedzieć powinien". Przyjmujcie tę broszurkę w bezpłatnym upominku od nas, chrześcijańskich demokratów.

— Bibuła, co? — uśmiechnął się jakiś człowieczyna, ujawniając przy tym poważne braki w uzębieniu. — Lep na muchy?

— Dalej, bracia, do bułata — zabrzmiał głośną fanfarą komitetowy — pokażemy że Sarmata umie jeszcze wolnym być!

Ach, te chojrackie wyrażanse, to nieustanne pobrzękiwanie cudzysłowem! Zgrywa niepoprawnego trzpiota po pięćdziesiątce? Czy też wyższa szkoła jazdy na drewnianym Pegazie? Adam nie miał już wątpliwości, że słyszał kiedyś tego cietrzewia na patriotycznym tokowisku.

Tymczasem Karolak raźno wziął się do pracy. Broszurki rozdawał w słodziutkim natchnieniu, z miną misjonarza zawiązującemu murzyniątkom medaliki na szyi. Gdyby temu Karolakowi z siwym wąsikiem włożyć melonik na głowę i wcisnąć bambusową laseczkę do ręki, mógłby na prowincjonalnych estradkach imitować Chaplina:

— Szkoda, że czasu mamy niewiele i przez całe życie się śpieszymy — głos miał smutny. — Śmierć szybkonoga i tak nas dogoni. Tyle polskich pamiątek nazbierało się w tym mieście! Oj, pokazałbym ja wam cuda cudeńka, bo mieszkam w Rzymie od dawna. Matkę Boską Żyrowiecką w Santa Madonna del Popolo, pałac Marysieńki na Via Sistina, pomnik marszałka Piłsudskiego, Café Greco gdzie Mickiewicz i inni nasi poeci kawę pili. Kazio Wierzyński, którego znałem jeszcze ze Stryja, też tam zaglądał. Oj, pokazałbym ja państwu śliczny Plac Hiszpański gdzie u stóp Madonny w roku 45 śpiewaliśmy w mundurach: „O, Panie, któryś jest na niebie, wyciągnij sprawiedliwą dłoń". I kolegów z wojska wypadałoby odwiedzić na Monte Cassino, kwiatek im jakiś położyć...

— Bóg zapłać za życzliwość — rozdudnił się bas sekretarza ze Zduńskiej Woli. — Ale jak się towarzysz Florczyk w Łodzi dowie, żeśmy przez pomyłkę wsiedli w Rzymie do złego autobusu, to się ze śmiechu nie pozbieramy, panie komitetowy.

— Nic wam nie będzie! — parsknął Dulemba. — Czasy się zmieniły. *Peaceful co-existence.* Pokojowe współistnienie.

— Łatwo wam tak mówić: nie znacie Florczyka — odparł bas.

Ten Florczyk w Łodzi, chociaż oddalony od Rzymu o setki kilometrów, nie dawał przedstawicielowi Zduńskiej Woli spokoju nawet tutaj, nad brzegiem Tybru. Wszechobecność nieobecnego. Czyżby odległość nie osłabiała lęku przed przełożonymi?

— Florczyk w ogóle był przeciwny mojemu wyjazdowi do Rzymu — mówił sekretarz komitetu powiatowego, instynktow-

nie oglądając się za siebie, czy nie otaczają go przypadkiem ludzie Florczyka. — „No to co, że się ten pop w Zduńskiej Woli urodził! — wykrzykiwał na zebraniu egzekutywy, „popem" go, panie, nazwał, bluźnierca. — Po co ten cały teatr z katabasami? — „katabasami", panie, duchownych nazywa. — Po co ten flirt z Ciemnogrodem? Marksizm-leninizm zwalcza przesądy i zabobony, a my schlebiamy kołtunowi!". Takie różne okrzyki z siebie wydawał, cytatami się popisywał, a pamięć, jucha, ma fenomenalną, i tego się najbardziej boimy. A potem zaczął się o błogosławionym biedaczynie niestosownie wyrażać. Aż wstyd na głos przy wierzących powtarzać: że przed wojną z reakcjonistą księciem Druckim-Lubeckim i hrabią Bnińskim rączka w rączkę, nóżka w nóżkę chadzał, że talent handlowy miał niegorszy od Scheiblerów i Grohmannów, że targował się o każdą złotówkę...

— Nieprawda — rozległo się przy oknie. — Dla siebie niczego nie chciał. Stale myślał o innych. Żył skromnie. Naśladował swego mistrza z Asyżu. Polski *Poverello*. Ale ja wiem, dlaczego ten Florczyk próbuje pomniejszyć jego wielkość i skompromitować zasługę. Bo to są dla niego wartości niedostępne. Pewnie i on po cichu tęskni do doskonałości. Nasz Franciszkanin nie daje mu spokoju. To dobrze. Święty Paweł w jednym ze swoich listów powiada...

Nikt nie lubi, żeby mu przerywać w połowie opowieści. Więc i sekretarz nie zainteresował się sentencją św. Pawła. Puściwszy interwencję zakonnicy mimo uszu, z podejrzaną dokładnością referował dalej:

— ... i że ten jego „Mały Dziennik", cena: pięć groszy, co się dzisiaj wstydliwie przemilcza, był faszystowskim i antysemickim brukowcem, który Hitlera chwalił i Mussoliniego za porządek i odnowę życia narodowego...

— Takie były czasy — wtrącił komitetowy. — Trzeba uwzględnić kontekst. Któż mógł wtedy przypuszczać... To jest, że tak powiem, optyka *post factum*. Dzisiaj łatwo krytykować...

— To nie było pismo dla elity — dorzuciła siostrzyczka. — W siejbie Bożej trzeba czasem to i owo uprościć, by łatwiej trafić do umysłów nieprzygotowanych...

— ... i że ten jego „Rycerz Niepokalanej", którego nakład wzrósł z czasem do jednego miliona egzemplarzy, kazał się dzieciom modlić za zwycięstwo generała Franco nad komunistami...

— A co? Może za tę Passionarię, co biskupom gardła przegryzała, miało się modlić polskie dziecko! — obruszył się komitetowy.

— ... że w kraju, który cierpiał bezrobocie, braciszkowie przy maszynach drukarskich pracowali za darmo od świtu do północy, co on, Florczyk, syn łódzkiego drukarza, czy się to komu podoba czy nie, nazwać musi po imieniu i kwita: żadne tam zaślubiny proletariatu z Hetmanką Nieba, żadne tam maryjne posłannictwo nowych konfederatów barskich i krucjaty dziecięce przeciwko heretykom, bezbożnikom i masonom — w masonerii upatrywał Kolbe zło największe — lecz nieuczciwa konkurencja łamistrajków, usypiaczy ludu roboczego, pucybutów kapitalizmu, karmiących biedotę bajeczkami o solidaryzmie i szkodliwości walki klasowej; czyste kpiny z sumienia społecznego; kto nie chce widzieć co się dzieje koło niego, patrzy w niebo... Lub plecie, że bieda jest cnotą...

— Przestań pan! Wjeżdżamy do świętego miasta — jęknęła zakonnica przy oknie, przykładając pomarszczone czoło do plecaka. — Czy warto się delektować cudzym cynizmem? Pieśni kościelnych nie śpiewacie, herezje powtarzacie. To ma być polska pielgrzymka? Na piechotę, na bosaka, na kolanach, z włosiennicą na grzbiecie, ze świecą w ręku, z modlitwą na ustach, ze łzą w oku, bez jedzenia i bez picia, pielgrzymowali niegdyś ojcowie nasi...

Pielgrzymka, pielgrzymi... Adam skrzywił się w duchu na te słowa. Kojarzyły mu się od dziecka — nie ma widocznie środka na wywabianie plam z pamięci — z ojczyzną, która, owszem, urzekała go jak kurpiowska leluja czy łowicki pasiak i której się zarazem lękał: z kwaśnym potem, tupotem bosych stóp na klepisku, pijackim zezem nieogolonego woźnicy, bielmem na żebraczym oku, zachrypniętym śpiewem, dzieciakiem uduszonym w tłoku, księżym falsetem, dewocyjnym bełkotem, błyskiem kozika w karczmie, wyziewami wódki, pożeraniem słoniny na surowo, obijaniem gotowanych jajek o obcas buta, piskiem brudnych bab w ścisku, rozkraczoną dziewuchą chorującą prosto w przydrożny rów. Niedobra, naturalistyczna pamięć cuchnącego szczegółu, jakże krzywdząca i niesprawiedliwa dla biedoty i jej podniebnych wzlotów! Sterta zabłoconych onuc na podłodze hospicjum, sienniki przemoczone uryną, czarny rozedrgany plaster much na słomie, koraliki zmiażdżone podkówką, kleks sczerniałej krwi w zielonym rozbłysku szkła — ślady nocnej bójki. U licha, z tym kolorytem! Zamiast uwznioślenia, zewsząd napierająca cielesność. Tłum, masa, rzesza, „mrowie ludzkich głów". Tłum nie myśli, lecz „czuje": krzyczy, szlocha, klaszcze, śpiewa, maszeruje. A już najchętniej topi odszczepieńców w stawie, kamieniuje, przygląda się egzekucjom. Szantaż wspólnotą, „razem-razem", „kupą mości panowie", radość ogrzewania się oddechem, „zlania w jedno", ocierania się zadami w tej samej stadninie. „Kroplą-ś jeno w oceanie"...

Nie miał w sobie zapału dawnych pątników, którzy tłumnie, z zawodzeniem, przemierzają krainę od wieków ciemną a po-

bożną, pielgrzymując od jednego miejsca cudownego do drugiego. Z zażenowaniem, więcej: z przerażeniem przyglądał się niedawno na filmie szkaplerznej biedocie, jak czołgała się w błocie na kolanach, bodaj że na Kalwarię Zebrzydowską. Z niechęcią przypominał sobie nieraz pierwsze zetknięcie się z grupą młodych pielgrzymów na warszawskim dworcu. Kiedy to było? Przed tysiącami lat, przed potopem, przed Wrześniem? Groźni, fanatyczni, upojeni własną krzepą, jechali do Częstochowy na jasnogórskie ślubowanie. Żegnał ich na peronie starzec w sutannie, wsparty na lasce. Mówił że jadą na front walczyć z księciem ciemności i jego ukrytymi sprzymierzeńcami. „Polska dla Polaków!" — wykrzyknął na zakończenie. I wtedy to wydarzył się ów ponury incydent z Zajfertem.

Skąd też Adamowi przyszedł ten nieszczęsny koleżka do głowy? Nie po to się przyjeżdża do Rzymu, by przypominać sobie, co się przed iluś tam dyluwiami czy aluwiami, na drugim końcu mapy, wydarzyło w pociągu między Warszawą a Koluszkami. Nie czas tu ani miejsce, by wskrzeszać duchy przeszłości. Było, minęło, i niechaj nie wraca. Wspomnienia sprzed wojny! Szczególny, jakby wysublimowany, rodzaj emigracyjnej nekrofilii, to nasze nieustające obcowanie z prochami przeszłości, a już na pewno niezdrowa uciecha wieku klęski. Mówiono nam kiedyś w szkole, chyba ku przestrodze, o tym portugalskim następcy tronu, co to kazał wygrzebać z ziemi zwłoki swej oblubienicy i ukoronował je ze śpiewem, sadzając obok siebie na tronie. Jak tamten nieszczęśnik, wypatrujesz nieraz w zmętniałym lustrze pamięci osób i zdarzeń po stokroć nieżywych.

— *Relata refero,* siostrzyczko. Ja tam, referując, nigdy nie kozakuję, trzymam się przepisów drogowych. Zresztą już kończę — ciągnął reprezentant Zduńskiej Woli, chyba jednak belfer z zawodu, urodzony gaduła. — Powiem tylko tyle: Florczyk pienił się przez pół godziny, i to z taką zajadłością jakby mu tą beatyfikacją Paweł Szósty osobistą przykrość wyrządził. To jeden z tych, którzy uważają że komunizm u nas nie jest dość komunistyczny. Pod koniec swego przemówienia, a pamiętam każde słowo, podkreślił, że cała ta sprawa wydaje mu się podejrzana od początku do końca. Nie chce, broń Boże, — „broń Boże" ten ateista powiedział! — pomniejszać znaczenia tego co się wydarzyło w Oświęcimiu, szanuje szlachetny postępek Kolbego, może to nawet ekspiacja była za dawne błędy polityczne, ale epizod ten — „epizod" powiedział! — należy oceniać we właściwych proporcjach i bez bicia w Dzwon Zygmunta, pamiętając że nieduchowni też szli dobrowolnie na śmierć, by ratować innych, że tysiące żołnierzy dobrowolnie ginie na wojnie w obronie towarzyszy broni i nikt nie mówi o ich kanonizacji, nie odcina

kuponów od ich duchowego męstwa, że ofiara i męczeństwo należą do zawodowych obowiązków sług Bożych, takich jak codzienne ryzyko i szare bohaterstwo strażaka wyciągającego bliźniego z płonącego domu, po co więc te pienia o nadziemskiej zasłudze? Legendy, owszem, spełniają ważną funkcję wychowawczą — mądrzył się Florczyk, etyka socjalistyczna bynajmniej nie lekceważy tego problemu, ale...

— Dosyć! — zakonnica, ta z plecakiem, nie taiła swego oburzenia. — Kto tak dokładnie cytuje tego Florczyka, ten sam myśli jak Florczyk!

Coś w tym jest — pomyślał Adam. Reprezentant Zduńskiej Woli nie lubi Florczyka, ale jest nim urzeczony. Czy to nie ten rodzaj podświadomej zawiści, która każe nam zwalczać przeciwnika tylko dlatego, że w gruncie rzeczy mielibyśmy ochotę robić to samo co on, ale znacznie lepiej? A może Florczyk w ogóle nie istnieje i ten Szczepaniak, czy jak mu tam, sam jest Florczykiem?

— Eee, siostrzyczko! Za kogo mnie macie? — sekretarz pobłażliwie wzruszył ramionami. — Za utajonego florczykowca? Przecież ten łobuz tępi mnie gdzie może, donosy na mnie pisuje do Warszawy w trzech odbitkach, różne miernoty awansuje żeby mi dokuczyć, przyjęcia towarzyskie urządza przeciwko mnie i mojej żonie, tak jest: tylko po to, żeby nas nie zaprosić, mam na to dowody. Nie, nie, mnie z tym watażką nie po drodze, wręcz przeciwnie: przepaść ideologiczna dzieli nas na wieki. To on wymyślił zawołanie bojowe: „Nie wystarczy przeciwnika wdeptać w błoto, trzeba go jeszcze zakręcić obcasem!". Ale już kończę, bo jakieś ładne ruinki dostrzegam za szybą. „Nasuwa się domysł, powiedział Florczyk, że więzień Kolbe, schorowany, zmęczony nieludzką wegetacją, pewnie już 'muzułman', wiedząc że dni jego i tak już są policzone..."

— Bo ja wiem... — zamyślił się Karolak. — U nas, w Workucie, starym i schorowanym więźniom bardziej zależało na życiu niż młodym i zdrowym...

— Co za wiele, to za wiele! — zakonnica zasłoniła sobie uszy. — Nie mogę tego słuchać. Może jeszcze powiecie, że skoro nie wypadało mu jako osobie duchownej rzucić się na druty, wymyślił sobie szlachetniejszą formę samobójstwa. Proszę natychmiast zmienić temat, bo każę zatrzymać autobus!

— Mnie tam nic nie gorszy — mruknął Dulemba. — Życie jest życie i nic na to nie poradzimy. Ten pan tylko referuje...

— Tak, ja tylko referuję, referować umiem, referentem kiedyś byłem, tysiące protokołów z różnych zebrań i narad wyszły spod mojego pióra, opanowałem również stenografię, sumienny jestem, niczego od siebie nie dodaję, ja tylko wiernie odtwarzam

— pochwalił się sekretarz. — Ale żeby już skończyć z tym posępnym Florczykiem. Uważa on, że w kościele nic się nie dzieje bez ukrytej przyczyny i ubocznego celu, że tę beatyfikację przeforsowało w Watykanie skrzydło konserwatywne, aby reformom soborowym, których echo odezwało się na obecnym synodzie, przeciwstawić tradycyjny kult maryjny hiszpańskiego lub polskiego pokroju — „pokroju" powiedział! — że postępowy katolicyzm we Francji, w Anglii, w Holandii odnosi się jednak do tej demonstracji krytycznie. „Cóż z tego, że niebo zaludniamy świętymi, kościoły i tak świecą pustkami" — przytoczył opinię jakiegoś różowego biskupa, a następnie zupełnie już głowę stracił i wykrzykiwać zaczął, że całą tę Kolbiadę — „Kolbiadę", sukinwnuk, powiedział! — pomyślano jako sabotaż idei ekumenizmu, dobrze wiedząc iż protestanci nie kwapią się do Sodalicji Mariańskiej, że nie pociąga ich cudowny medalik ani Militia Immaculatae z Niepokalanowa...

— Ten wasz Florczyk, kurczę blade, minął się z powołaniem. To chyba najwybitniejszy watykanolog w całej Łodzi — zauważył ironicznie Dulemba. — I zamiast *Nowych Dróg* pewnie *Osservatore Romano* przed zaśnięciem czyta?

— Właśnie! I ja miałem ochotę zawołać na tej odprawie: „Towarzyszu, nie łamcie sobie watykańskiej głowy, bo gotów jeszcze ktoś pomyśleć, że was boli niedoskonałość kościoła katolickiego!" — kontynuował sekretarz, wachlując się cyklistówką — ale z Florczykiem, o czym wy nie wiecie, lepiej nie zadzierać, on już niejednego wykończył w tempie mazura. „Nie bez kozery!" — wykrzykiwał dalej, ta „kozera" to jego ulubione słowo — „nazywają w rzymskiej kurii polskiego braciszka wzorem cnót kapłańskich i najgłośniej wychwalają go w słowie i w piśmie za absolutne posłuszeństwo wobec przełożonych; nie za męczeństwo w kacecie, to ich mniej interesuje, lecz za ślepą subordynację wobec władzy duchownej. Wiadomo o co im chodzi: mniej wątpliwości, więcej uległości! To jest ten zimny prysznic wstecznikow na gorące głowy kontestatorów, domagających się zmian w kościele. A wam się w Pabianicach wydaje, że Rzym go beatyfikuje dla pięknych polskich oczu"... I tak dalej i tak dalej. Mądrzył ci się ten nasz kieszonkowy Voltaire aż wstyd powtarzać...

— To nie powtarzajcie — rozległo się przy oknie. — Nie mów nikomu, co się dzieje w domu. Zepsuliście cały nastrój.

— Nawaliłem. Normalka. Jeszcze tylko wspomnę o starym Badurze. Żeby było weselej — kończył sekretarz, rozluźniając węzeł krawatu pod szyją — boć i Badura musiał się odezwać, ale tak po swojemu. Otóż ten drzemiący w kącie Badura, sklerotyk, weteran ruchu robotniczego o którym krąży gadka, że umarł przed rokiem, ale jeszcze o tym nie wie, zapomniano go o tym zawiadomić, domyśliwszy się pod sam koniec narady, że tym razem nie mówimy o dyscyplinie pracy ani o nawozach sztucznych, lecz o religii, zaczął nucić pod nosem: „Ukrajemy szyneczki, umaczamy w chrzanie, jakżeś dobrze uczynił, żeś zmartwychwstał, Panie!". Tragifarsa, można powiedzieć. W takim świecie żyjemy. A gdy na górze, w Warszawie, jakby Florczykowi na złość, zdecydowano, że Zduńskiej Woli nie może zabraknąć na rzymskich uroczystościach, nasz ideolog omal nie eksplodował ze złości. Na pożegnanie wcisnął czuprynę do mojego wozu i pogroził mi zdławionym głosem: „Do tej sprawy jeszcze wrócimy. Nie myślcie, że Florczyk daje za wygraną. Ta wycieczka, Szczepaniak, szczęścia wam nie przyniesie!" Miły facet, co?

— Biedacy, ile wy się tam nacierpicie — westchnął komitetowy z biało-czerwoną opaską. — Świat zachodni, zajęty sobą, ciągle jeszcze za mało wie o waszym oporze. Dlatego też my, chrześcijańscy demokraci na emigracji, w miarę naszych skromnych sił i możliwości...

— Każdy ma swojego Florczyka — przerwał mu szorstko Dulemba. — Mój Florczyk, na przykład, nazywa się Bilbao i jest Amerykaninem filipińskiego pochodzenia. Skoro siostrzyczka uszy sobie zasłoniła a chłopaczek, jak widzę, usiadł obok szofera, powiem tylko tyle: skurwysyn z dziada pradziada, z babki prababki. Kanalia, watażka, kliniczny psychopata. Przeżyłem Hitlera, przeżyłem Stalina, a jeśli przeżyję mego *boss*'a z piekła rodem, złożę tysiąc dolarów na Kościół Polski w Rzymie.

— Brzydko tak mówić, panie reporterze — zgorszył się rodak z Bradfordu. — Bądź co bądź jesteśmy chrześcijanami. Pan Jezus nawet łotrowi przebaczył.

— Nie jestem Panem Jezusem — warknął Dulemba. — Nie przebaczę!

Adam z uśmiechem rozglądał się dokoła, życzliwie zaciekawiony, fotografował towarzyszy podróży okiem. Wprawdzie ktoś tam, zmęczony podróżą, zgarbiony w pierwszym rzędzie, wysmarowany jakąś białą maścią, wyglądał jak grób pobielony, a jego sąsiad, zabawnie piegowaty, jakby go ktoś cynamonem posypał, zdrzemnął się z otwartymi ustami (zasnąć po dwudziestu minutach podróży przez jedno z najładniejszych miast w Europie, to przesada!), ale jest czym oko i ucho nakarmić w tym zmotoryzowanym korabiu. Żywe, pulsujące towarzystwo! Nieznajomi rozmawiają ze sobą jakby się znali od dziecka. Prawem kontrastu przypomniał sobie, że gdy przed kilku tygodniami jechał pociągiem z Edynburga do Londynu, przez całą drogę nikt w przedziale nie otworzył ust. Transport żywych nieboszczyków. Arcy-

taktowny jegomość *vis-à-vis* niedość że nie drgnął przez kilka godzin na swym miejscu, to jeszcze oczy odwracał, by się nie narzucać spojrzeniem, podczas gdy u nas, między dwoma stacjami, można się dowiedzieć co kto przeżył w czasie wojny, na co choruje, jakie świadectwa dzieci przyniosły ze szkoły.

— A gdy zajrzycie do zakrystii kościółka św. Stanisława, — przypomniał sobie nagle zacny Karolak — pokażę wam stułę uszytą z materiału namiotu wielkiego wezyra z bitwy wiedeńskiej. Ściślej mówiąc: z ornatu ofiarowanego przez Jana Sobieskiego bazylice loretańskiej.

— Jezuniu, na Turkach zdobyte! Do ust toto podnieść z czcią i miłością — zachwycił się Makula

Stuła... Jedno słowo może czasem wskrzesić obraz, gest lub głos od dawna umarły. Adam dostrzegł nagle w szybie autobusu postrzępiony koniec fioletowej tkaniny z wyhaftowanym krzyżykiem, zaciśnięty w żółtych palcach barczystego mężczyzny. Z daleka, z ciemności doszedł go zły, poznański warkot: „Malinowski, zrób co zginiesz! Rrraus z zakrystii, ale już! W kółku ministrantów nie masz nic do szukania: twój ojciec nie chodzi zaś do kościoła a twoja matka luterka jest, husytka czy jeszcze coś gorszego!" Chrapliwe „r", rozwirowane w szkarłatem nabiegłej, krokodylej gardzieli. Potężne, rudym włoskiem pokryte jabłko Adama. I przymilny śmiech młodych barbarzyńców w komżach. Jak to tylko mówi poeta? „Hydra pamiątek"...

W pobliżu Ponte Marconi, gdzie zresztą autobus ugrzązł w ruchu ulicznym na dobry kwadrans, inna zakonnica, bez żółtaczki i plecaka, w okularach od słońca, zdaje się że Felicjanka z Kanady (czy nie za wiele zakonnic w tej arce?) tonem obkutej uczennicy przypomniała pasażerom, że kiedy ów polski Franciszkanin, który ich dzisiaj z różnych krajów świata przywiódł do Rzymu, wznosił przed wojną, w Japonii, budynek dla braciszków pod Nagasaki, przedziwna wydarzyła się historia. Ledwie założono fundamenty, przybiegł, zdyszany, na miejsce budowy. Ni stąd ni zowąd kazał robotnikom przerwać rozpoczętą pracę i czym prędzej przenieść się na inne, odległe miejsce. — „Nie tutaj, w kotlinie — zarządził — lecz tam, po drugiej stronie wzgórza, urządzimy nasz Maguenzaki No Sono, Ogród Dziewicy, bo tutaj spadnie któregoś dnia ogień z nieba i wszystko spopieli!"

Elokwentna Felicjanka też nie przypadła Adamowi do gustu. Drażniły go jej okrągłe, jakby naoliwione zdania, nadziewane zwrotami w rodzaju „z jasnego nieba", „rapsod japoński", „szaleniec Niepokalanej" — kiepska literaturka.

— A potem powtórzył te prorocze słowa, znam człowieka który je słyszał na własne uszy — ciągnęła przecukrzonym głosikiem przebranej za zakonniczkę pensjonarki — powtórzył je na Górze Ściętej Głowy, gdzie wykonywano niegdyś wyroki śmierci na misjonarzach. Z wielkim smutkiem spoglądał na Nagasaki w dolinie, na miasto które nie przeczuwało swego losu. Jak Niniwa. A po latach — sprawdziło się! Po zrzuceniu bomby atomowej na Nagasaki w kotlinie zginęli wszyscy, i tylko miejsce wskazane przez niego w cudowny sposób — ocalało...

— Czy tak było naprawdę? — zapytał szeptem Tomaszek.

Legenda — pomyślał Adam. — Rzewna i godna współczucia, zrodzona z lęku przed przemijaniem, ze smutku istnienia, z ludzkiej tęsknoty do istnienia sił nadprzyrodzonych, ale chyba tylko legenda, krucha tratwa na morzu ciemności.

— Tak być mogło — odrzekł synowi po namyśle. — Życie jest pełne tajemnic. Był taki profesor w Warszawie, sławny historyk, który na sześć lat przed wybuchem drugiej wojny światowej, rozmawiając z przyjacielem w Parku Łazienkowskim o poezji, poderwał się nagle w połowie zdania z ławki i z okrzykiem: „Luftwaffe nad Warszawą! Niemieckie samoloty bombardują miasto!" wybiegł, przerażony, z ogrodu i schronił się w najbliższej sieni.

— Luftwaffe? Co to takiego? — zapytał chłopiec.

— Lotnictwo niemieckie w czasie wojny — wyjaśnił Adam, zadowolony, że podrasta pokolenie, które już nie zna tego słowa. Oby go nigdy nie poznało, nawet w zmienionym brzmieniu.

Zachęcona życzliwymi spojrzeniami pasażerów, Felicjanka wyjęła zza rękawa habitu odbitą na hektografie ściągaczkę i wpatrywała się w nią z zachwytem jak w różę mistyczną. Niezgorzej przygotowała się na ten zlot rodaków z całego świata:

— Same dobre nowiny — rozległ się jej sopranik tak czysty jakby za chwilę miał się rozsrebrzyć koloraturą. — Za łaskawą przyczyną ojca Maksymiliana doszło do cudownego uzdrowienia nieuleczalnie chorej szwaczki Anieli Testoni w Sassari na Sardynii. Gdy lekarze stracili już wszelką nadzieję, franciszkanin-spowiednik zalecił jej, by włożyła obrazek Sługi Bożego pod poduszkę. Tak też uczyniła i — pomogło! Po trzech dniach wstała z łoża boleści, zdrowa i uśmiechnięta, już bez gruźlicy jelit, i zasiadła do maszyny do szycia. A z wdzięczności za to cudowne uzdrowienie ze swych skromnych zarobków ufundowała feretron dla Sodalicji Mariańskiej i uszyła kilkadziesiąt szkaplerzy dla młodzieży...

Feretrony, ryngrafy, szkaplerze... Adamowi po raz drugi w ciągu tej autobusowej podróży z lotniska do miasta stanął przed oczyma ów natchniony starzec w sutannie, jakby żywcem wyjęty z obrazu Matejki. Wsparty na lasce, a może na płowej główce jakiegoś pacholęcia w ministranckiej komży, z dmuchawcem si-

wizny na potężnej czaszce, żegnał przed laty młodych pielgrzymów na warszawskim dworcu. Strzeżmy się proroków, podpalających młode serca i umysły. Strzeżmy się zachrypniętego entuzjazmu.

— Ten oto szkaplerz częstochowski — przekrzykiwał parskanie lokomotywy — ochroni was przed każdą chorobą ciała i duszy! Tak jak niegdyś ryngraf bronił rycerzy Maryi przed bisurmańską strzałą. Do boju, przyszłości narodu! Do bezlitosnej rozprawy z duchem nieczystym i jego ukrytym sprzymierzeńcem! Krucjata rozpoczęta!

A w godzinę później, między Warszawą a Koluszkami, nieszczęsny koleżka z Koła Polonistów...

Sprawa Zajferta. Kij którego nie można utopić. Im głębiej go spychać na dno, tym gwałtowniej wynurza się na powierzchnię.

— Owszem, obcięło mu nogę na torze. Nie umiał wyskoczyć w biegu. Niezdarny był, niewysportowany — mówiono później w stołówce Akademika na Placu Narutowicza. — Zresztą sam był sobie winien, przechytrzył sytuację. Myślał, że najbezpieczniej jest w paszczy lwa, a to nieprawda, że jak wsiądzie do specjalnego pociągu zarezerwowanego dla studenckiej pielgrzymki, to uniknie kontroli biletów. Podobno zatęsknił nagle do swojej dziewczyny w Częstochowie, i stąd ta desperacja. Może by mu to nawet uszło na sucho, może by mu się nawet ten wybryk wybaczyło, ostatecznie wszyscy jesteśmy ludźmi, ale ten hucpiarz, panowie, przesolił, grubo przesolił, i — to go zgubiło, a nas, cholera, wyprowadziło z równowagi...

Po co do tego wracać? — wzdrygnął się Adam. — Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr.

— To było tak — mówiono wtedy w stołówce. — Jak się zbliżała kontrola, to ten brunet, proszę kolegów, — plaś! — na brzuch i jak długi krzyżem się kładzie. Taki spryciarz! Udaje, że się modli... Więc konduktor, porządny człowiek, o bilet go nie pyta, jeszcze go za pobożność chwali, bo nosa jego nie dostrzegł, ma się rozumieć. Grzecznie się z przedziału na korytarz wycofuje i „Szczęść Boże!" powiada... Nie wiadomo, doprawdy, czy się śmiać z tego czy od razu bić bluźniercę za obrazę uczuć religijnych? Że się też na coś podobnego odważył! Po co nas, panie, sprowokował? Więc go chłopaki — cap! — za pirze i na powitrze świże! Inny by z tych drzwi otwartych zgrabnie wyskoczył, miękko na nasypie wylądował, i nic by mu się nie stało, ale nie ta pokraka! Jak się zacznie szamotać, za nogi nas łapać, wrzeszczeć w niebogłosy, klamki się czepiać... Pacnął w dół jak worek...

Ale — chwileczkę! — gdzie Rzym, gdzie Krym? Gdzie pociąg z Warszawy do Częstochowy, gdzie autobus z Fiumicino do Wiecznego Miasta?

Tymczasem Felicjanka mówiła coraz płynniej. Jakby oprowadzała wycieczkę szkolną po zabytkowym kościele:

— Inny, proszę państwa, również przez komisję lekarsko-kościelną zaprotokołowany, dekretem Świętej Kongregacji do Spraw Świętych zatwierdzony, przez Postulację Generalną w Rzymie do powszechnej wiadomości podany, przypadek dotyczy markiza Francesco Raniera z Porto San Giorgio. Pobożny starzec już leżał w agonii, gdy przeor Fiori z Pescary zalecił mu modlitwę do Ojca Maksymiliana, kapłana Zakonu Braci Mniejszych Konwentualnych. Zamiast śmierci przyszło uzdrowienie...

Adam westchnął i — nie chciał słuchać dalej.

Po co ta szwaczka na Sardynii? Po co ten markiz z Porto San Giorgio? Oświęcim wystarczyłby w zupełności. Czekanie na znak z nieba, „palec Boży", życzliwi dla swego konfratra spowiednicy franciszkańscy — czy to konieczne?

— Ludzie dokonali wszystkiego, by wynieść go na ołtarze, lecz reszty musiał dopatrzeć już sam, za jego wstawiennictwem m u s i a ł y się dziać cuda — doszedł go przemądrzały głos Dulemby.

A gdyby ich zabrakło, kieszonkowy teologu?

— Już ozdobiono portretami Ojca Maksymiliana kapliczki polskie, japońskie, włoskie a nawet bawarskie. Już zawisły dziękczynne wota. Za jego sprawą rośnie liczba cudownych uzdrowień i nawróceń na wiarę świętą — siostrzyczka zmierzała do tryumfalnego finału. Zaraz weźmie wysokie „c".

Nawrócenie na wiarę świętą... Czarne, włochate pająki wypełzły z najgłębszej piwnicy pamięci Adama: lęki, jakie prześladowały go w dzieciństwie i zastygły w nim jak owad w bursztynie, cała ławica przerażenia, dławiącego chłopięce serce przez długie dziesiątki lat. Lęk przed czarnym warczącym wilczurem o przekrwionych białkach, o długim, czerwonym, pianą oklejonym języku, przed tym psem piekielnym, którego sąsiad, ogrodnik we Włocławku, szczuł na malców, podkradających jabłka w sadzie. Lęk, że konduktor sprawdzający bilety zapyta go: „Ile masz lat?" i rozpaczliwy apel ojca: „Skurcz się, na Boga, zrób się mniejszy! Kontrola!" nie uchroni pasażera na gapę przed kompromitacją. Lęk że napije się wody z porosłego kaczeńcem stawu i połknie kijankę. Lęk przed soliterem który zjadać go będzie żywcem od środka. Lęk przed protezą zawieszoną w okopconej dymem grocie jako votum wdzięczności: w migotliwym świetle gromnic zaraz poruszy się szczudło lub sztuczna stopa na ścianie kościoła. Lęk przed spalenizną, ostrym bólem ognia i męką najdroższej istoty... „Jeśli nie nawrócisz swej matki, ewangeliczki,

na wiarę katolicką — doszedł go zapach miętowych cukierków zza kratek konfesjonału — pójdzie po śmierci do piekła, spali ją ogień diabelski!"... Tego księdza po iluś tam latach Niemcy rozstrzelali na rynku, matka też już nie żyje, świeć, Panie, nad ich biednymi duszami, nie wiadomo gdzie ich obojga szukać w gmachu dziecięcej trwogi: na strychu niebios czy w piwnicy piekieł, tyle wody upłynęło w Lete od tamtej epoki, a jednak na zamulonym spodzie pamięci, w bąbelkach gazu buzującego na samym dnie topieli, pokaże się czasem przekrwione oko wilczura, dziurkacz konduktora, sczerniała proteza, oślizgły soliter, kijanka w stawie, żółty od nikotyny kciuk spowiednika na tle stuły, jego suche spieczone wargi, policzek z odciskiem drewnianej kraty, po czym rozlega się wyrok na matkę. Twardy i bezlitosny wyrok, owinięty w jadowitą słodycz miętowych cukierków...

Jakby czytając w niespokojnych myślach Adama, Dulemba zagadnął go ironicznie:

— No dobrze, przyleciało się, mistrzuniu, do Rzymu na tę piękną beatyfikację, ale w jakim charakterze, jeśli wolno spytać? To nie wywiad dla prasy, ale zwykła ludzka ciekawość. Służbowo, zawodowo, bezinteresownie, za głosem serca, z tęsknoty do lepszego życia, dla nauki, oprowadzić synka po mieście, dla wrażeń, w poszukiwaniu tematu, dla przyjemności, dla nałykania się polszczyzny, a może z nudów, a może po *dolce vita?* Jako sprawozdawca, turysta, pobożny pielgrzym, wierny syn kościoła? Uff, cały-m formularz ankiety wystrzelił! Niepotrzebne skreślić!

— Wszystkiego po trochu, wysoki sądzie, i jeden motyw pozostałych nie przekreśla — odrzekł Adam, wcale nie zgorszony natrętnością reportera. — Jak pan wie, są tylko niedyskretne odpowiedzi.

— Pytania moje są o tyle istotne, że... Nie wiem, jak to ująć, by pana nie dotknąć... — Dulemba udał że się waha, ale wcale się nie wahał. Ot, efekcik, którym próbował nieraz zaintrygować rozmówcę. — Chociaż pogłosek z zasady nie kolportuję, radbym jednak, w drodze wyjątku potwierdzającego regułę, dorzucić nieśmiało na stronie, że ten sakramencki grafoman, Jasnota w Londynie, co to mając w domu zgrzytliwą Ksantypę o przyćmionym umyśle, już z tego tytułu uważa się za Sokratesa i Mickiewicza w jednej osobie — nieźle to ujęłem, co? — nazywa pana po kawiarniach braciszkiem w fartuszku, farmazonem z masońskiej loży. Powiada przy tym, że tak jak kiedyś szwedzkiemu heretykowi muszkiet przyrósł do policzka, gdy się do cudownego obrazu zmierzył, podobnie i Malinowskiemu powinny bluźniercze paluchy przyrosnąć do klawisza Remingtona. Kolbe zaś, jak pan wie, cierpiał na uraz antymasoński. Tutaj, w Rzymie, będąc braciszkiem w kolegium San Teodoro, wybrał się któregoś dnia do Palazzo Verde, do gniazda włoskich wolnomularzy, by nawrócić Wielkiego Mistrza. Dopiero rektor musiał go zawrócić z drogi. Można o tym przeczytać we franciszkańskiej broszurce.

— A więc Jasnota alias Ciemnota przepasał mnie fartuszkiem — roześmiał się Adam. — *Too late,* Mister Dulemba. Już tam nie przyjmują. A zresztą, to już nie ta masoneria co kiedyś. A teraz na serio: komu z nas na myśl o Rzymie nie wyrastają skrzydła u ramion? Mój pierwszy przyjazd do tego zaczarowanego miasta, przygodę sprzed ćwierć wieku, jeszcze dzisiaj mógłbym odtworzyć w pamięci co do minuty. Jak wielu ludzi na świecie, chronicznie i nieuleczalnie, tęsknię do Rzymu, do wielu Rzymów: do starożytnego, wczesnochrześcijańskiego, średniowiecznego, renesansowego, papieskiego, zeszłowiecznego, nowoczesnego, jakiego pan chce. Ale jeśli to pana naprawdę intryguje: wpadłem tutaj jak po ogień, po otrzymaniu telefonu z Wiednia, że wśród pielgrzymów z Krakowa jest mój młodszy brat, którego nie widziałem od bardzo dawna, od czasu wojny. Dokładniej mówiąc: od tej zimowej nocy, kiedy do naszego mieszkania wpadli Niemcy z psami, zabrali mnie i mojego ojca, a on, dziecko jeszcze, wyrwany ze snu, z płaczem, boso, kicając w kusej koszuli, odprowadził nas do furtki. Dawne dzieje, niewątpliwie. Ale jeszcze dzisiaj, po tylu latach, przypominam sobie kurewsko czułe słowa gestapowca mówiącego po polsku: „Wracaj, synku, do domu, nie chodź boso po śniegu, bo mi się jeszcze przeziębisz"...

— Jak się spotkacie? — błysnęły oczy Dulembie. — Przecież to świetna *story!* Z tak zwanym *„human touch"!*

— Jutro rano pociąg z Wenecji przywozi ich na Roma Termini!

— Mój Boże, po tylu latach! Sam bym się wzruszył na pana miejscu! — reporter znowu potrząsnął kędziorkiem na czole. — Z tego wynika, że od końca wojny nie był pan w kraju?

Jak magik wyciągający królika z cylindra, Adam z podejrzaną zwinnością posłużył się swoim ulubionym argumentem:

— Do własnej ojczyzny nie jeździ się jako turysta. Albo się tam żyje na co dzień i dzieli z rodakami wszystkie ich smutki i radości, miesiąc po miesiącu, rok po roku, albo się próbuje coś dla nich zrobić na emigracji. Trzeciej drogi nie ma.

— Prawda, jak mawiał wielki Lenin, leży po środku, i to na czterech łopatkach — zachichotał Dulemba. — Mógłbym dla „Transatlantic Press" sfotografować pana z braciszkiem na peronie, jak padacie sobie w objęcia. Chyba mu to nie zaszkodzi? Spotkanie braci po wielu latach — legumina niezbyt świeża, ale

ludzie chętnie się nią zajadają. Moje zdjęcie, ma się te chody, he-he, z pewnością obiegłoby prasę niedzielną na zachodzie, zwłaszcza magazyny kobiece. Można by dać podpis: *„Happy Re-union!* Błogosławiony męczennik Oświęcimia unosi Żelazną Kurtynę! Dopiero zasłużony upadek Gomułki i przyjazd pielgrzymki polskiej z Krakowa do Rzymu na beatyfikację Ojca Maksymiliana Kolbego umożliwiły braciom Malinowskim spotkanie po długich latach przymusowej rozłąki", ale po co robić reklamę Gierkowi? Ostrożnie z mężami opatrznościowymi! Raz już sparzyłem się. Na tej baraniej głowie z Jasła-Krosna rodem. To mi wystarcza. Od tej pory chucham na zimne, i odpukuję w niemalowane drzewo. Żeby nie zapeszyć!

— Ja bym chętnie zjadł we Włoszech langustę — odezwał się ktoś w tylnym rzędzie. — Jeszcze nigdy w życiu nie jadłem langusty.

Sekretarz zaś ciągle jeszcze nie mógł się rozstać ze swoim Florczykiem. Czyżby się uczył słów łódzkiego kacyka na pamięć? Widmo Florczyka krąży po Europie...

— Ja bym nie lekceważył tego łobuza, panie redaktorze — zgarniał ręką upał z zaczerwienionych oczu. — To człowiek jutra. Florczykowie będą nami rządzili za dziesięć lat. Wspomnicie moje słowa. Facet bystry jak woda w klozecie. Gorzej, że fanatyk, który nam nieustannie, za przeproszeniem, pieprzy w ucho, że przekonań trzeba bronić pchnięciem noża w brzuch. A jak on księży nienawidzi! Wręcz patologicznie. Tam mu coś kiedyś, panie, zgniło w głębi duszy, jakaś ropucha jadowita, co się od wielu lat rozkłada i rozłożyć się nie może. Wykłada nam uczenie, że od Adama i Ewy kasta kapłańska żeruje na niezbadanej plątaninie ludzkiego losu, na przypadku, na ślepym trafie, na fizycznej kruchości człowieka, na jego śmiertelności, że religia to jeden wielki szantaż, a kler to mrowie czarnych much, obłażących ludzkie ścierwo. Wystarczy wynaleźć pigułkę przeciwko obumieraniu tkanek, powiada, a najciemniejsza baba w Zgierzu czy w Czaplinku wypnie się na niebo i na pastorał. Tak mówi, panie redaktorze, ten chamuś niedomyty z Bałut, gdy się zmęczy nieco staranniejszą polszczyzną lub tekstami wkutymi z „Poradnika agitatora" i z ulgą wraca do swej prawdziwej, jaskiniowej postaci. Pan wie, co ludzie szepcą sobie na ucho? Że go za młodu za kradzież wyrzucono z małego seminarium! Stalin, jak wiemy, też był kiedyś takim napoczętym seminarzystą. Tacy są najgorsi. Żebyś pan słyszał, jak mu się głos łamie z nienawiści w świetlicy przy ulicy Żwirki! „Gdy widzę spasionego byczka w sutannie, powiada, przypomina mi się wrzask naszych chłopaków na meczu bokserskim 'Gwardii': 'Daj mu w migdał, żeby krzyk dał!' " Ohyda, co?

— Niech pan o nim nie myśli. Zmieńmy temat — westchnął Adam. — Tyle widoków za oknem. Zaraz się po prawej stronie pokaże piękna bazylika Santa Maria Maggiore ze sławnym freskiem.

Ten biedak istotnie zapadł na jakąś ciężką, nieuleczalną „florczykitis acuta". Nic mu już nie pomoże. Nawet ten wyjazd do Włoch. Psychiatra zna podobne przypadki. Pewnie się nie miał przed kim użalić. Najhumanitarniej byłoby go wykupić z rąk tego łódzkiego Sułtana, jak niegdyś wykupywano chrześcijan z tureckiej niewoli. Więcej miłosierdzia.

Ciekawe — pomyślał jeszcze, zniechęcony — że mimo różnicy poglądów i odmiennych doświadczeń wszyscy oni podobnym mówią językiem i niemal tak samo się wyrażają, pod ten sam strychulec, błyskotliwie, a efekciarsko trzeszczą, szwargocą i gdaczą: i ten sponiewierany antyflorczykowiec ze Zduńskiej Woli i jego niewidzialny zwierzchnik, konkretniejszy niż Oko Opatrzności, i ten dziwnie znajomy komitetowy znad Tybru, i rączy obieżyświat Dulemba, a chyba i ja, Malinowski, który wlewam ich słowa w siebie jak samogon. Niezgorzej to świadczy o — hm — nierozerwalności, jak się to na wieczornicach powiada, „duchowej pępowiny z macierzą". Ledwie pomyślisz o sprawach polskich, i już wypada ci z rękawa sztuczka rozłożona na bliźniacze głosy. Roi ci się rzecz o dramacie istnienia, nowym oglądzie świata, wyprawie w głąb, a tu piana, grotecha, barykada z papieru, palba z korkowca, klops.

Uff, robi się w tym pudle coraz duszniej i goręcej! Wentylatory nie przynoszą ulgi. Czas dobić do brzegu!...

I wreszcie autobus zatrzymał się przed zachodnią burtą dworca, na Via Giovanni Gibletti, tam gdzie neon przez dwadzieścia cztery godziny na dobę mruga niebieską rzęsą: *Air Terminal.*

Komitetowy tonem naczelnego wodza zwrócił się do swego jedynego podkomendnego:

— Panie Karolak! Do czynu! Godzina szczęścia wybiła! Rozprowadzimy miłych gości na kwatery! Zduńską Wolą zajmę się osobiście, bo to rodzinne gniazdo naszego świętego. Wysi-a-a-adać!

Po czym z lekkością baletmistrza zeskoczył na trotuar i podał paniom rękę, rubaszny gentleman w każdym calu:

— Walczyk z damą z lewej rączki! — wołał radośnie. — Ludu Warszawy, jam tu! Patrz, Kościuszko, na nas z nieba! Naprzód, wiara, iść przytomnie! Hej, nie straszny car z Dybiczem, a pogróżki dla nas niczym! Łap-że, Karolak, siostrzyczkę za pirze i — na powitrze świże!

Gdyby mu zgolić tę rdzawą szczoteczkę pod nosem... Ten głos gdzieś już słyszany, ten nałóg „cytatitis", ta maniera przed-

rzeźniania okrzyków, przyśpiewek, maksym ze ściennego kalendarza... Zaraz... zaraz... przecież to nie kto inny a...

Dulemba zaś, nie zważając na piekielny jazgot ulicy i trujący grzyb gazu spalinowego, na tle pięknego dworca zrobił rodakom pamiątkowe zdjęcie. Dla większego efektu udekorował grupę pielgrzymów dwoma karabinierami w białych kaskach.

— Niech się ten bzdet ukaże w jakiejś emigracyjnej gazetce, niech mnie Florczyk dostrzeże w towarzystwie prezesa Szczepaniaka, a leżę i kwiczę na czterech łopatkach — przezorny reprezentant Zduńskiej Woli w ostatniej chwili zasłonił twarz cyklistówką. — Jak to tylko mawiał Tata-Tasiemka do swego jedynaka? Łap się, synuś, za srebrne łyżeczki, ale nie zostawiaj odcisków palców!

— Nie te czasy — poklepał go Dulemba po ramieniu. — Nixon-Breżniew dwa bratanki!

W pół godziny później, już w pensjonacie „Casa Palotti", Adam podczas rozpakowywania walizki uderzył się płaską dłonią w czoło aż plasnęło: nareszcie przypomniał sobie, gdzie i kiedy po raz pierwszy zobaczył komitetowego z opaską.

— Co się stało? — zdumiał się Tomaszek.

— Nic takiego — skłamał. — Komara rozkwasiłem na czole.

Czyż warto wtajemniczać chłopca w dawne, przedwojenne dzieje? Czas przeszły dokonany. A temat raczej nieprzyjemny, plama na słońcu. A zresztą kogo to dzisiaj, po Oświęcimiach, Kołymach i innych makabrach, zaciekawić może incydent, jaki wydarzył się na rok przed wojną w pociągu pośpiesznym na trasie Warszawa-Częstochowa?

A jednak niewiele brakowało, by zawołał na całą izbę:

— Przecież to ten sympatyczny komitetowy złapał Zajferta za kołnierz i wyrzucił z pędzącego pociągu pod Koluszkami. A ja, przerażony, stałem wtedy na przedniej platformie wagonu, słyszałem krzyk bitego i — nie przyszedłem mu na pomoc.

Tadeusz NOWAKOWSKI

Wiersze

Czesław MIŁOSZ

MAŁA PAUZA

1.

Życie niemożliwe ale było znoszone.
Czyje życie? Moje, a co to znaczy?

Na małej pauzie, podjadając butersznyt z papierka,
Stoję pod ścianą w pucułowatej zadumie.

I byłbym był, kim nigdy nie byłem.
I dostałbym był, czego nie dostałem.
Kawki za oknem w śniegu wspomniałbym inny ja
Nie w tych moich słowach myślący.

A jeżeli powiedzą, że słyszałem tylko szum heraklitejskiej rzeki
To i dosyć, bo utrudziłem się samym słuchaniem.
W ciemnych pokojach pisarkowie liczyli na szczotach.
Albo może gnano stada z dymem pożarów.
Ubrania porzucone formę rąk i pleców jeszcze chwilę zachowywały.
Na pluszowego niedźwiadka sypnęło igliwiem.
A już nowe ludy z mnóstwem swoich wozów i armatą.
Czym zajmować się mogłem w ostrogockich obozach?

Gdyby wczesne kochanie spełniło się było.
Gdybym szedł był szczęśliwy ulicą Portową
(Która zresztą do żadnego portu nie prowadziła,

Tylko do mokrych bierwion za tartakami).
Gdybym był jechał w poselstwie liczony do ojców miasta.

Gdybyśmy byli zawarli z Ferrarą przymierze.

Kto raz jedyny rodzi się na ziemi
Mógłby być tym, którego we śnie nawiedziła Isis.
I poddać się obrzędowi wtajemniczenia,
I później mówić: widziałem.
Widziałem słońce promienne o północy.
Przestąpiłem próg Prozerpiny.
Wszystkie elementy przebiegłem i wróciłem.
Bogów podziemnych i bogów na niebie
Adorowałem twarzą w twarz.

Albo gladiator, niewolnik
Pod napisem na gładkim kamieniu:
„nie było mnie. byłem. nie ma mnie. nie dbam o nic[1].

2.

— Dostojny wędrowcze, skąd przybywasz do nas?

— Moja stolica w kotlinie wśród pagórków leśnych,
Z warownym zamkiem u zbiegu dwóch rzek,
Ze swoich świątyń ozdobnych słynęła:
Kościołów, cerkwi, synagog, meczetów.
Kraj nasz uprawiał żyto i len, jak też spławiał drzewo.
Armia nasza składała się
Z pułku ułanów, z pułku tatarskiej jazdy i z pułku dragonów.
Znaczki pocztowe naszego państwa
Przedstawiały fantazmata
Wyrzeźbione niegdyś przez dwuch artystów,
Przyjaciół albo wrogów, Pietro i Giovanni[2].
W szkołach naszych uczono dogmatyki,
Apologetyki, sentencji z Talmudu i z Tytusa Liwiusza.
Arystoteles był ceniony
Choć bardziej wyścigi w workach i skakanie przez ogień
W wieczór świętego Jana.

— Dostojny wędrowcze, z którego jesteś eonu?

1. *non fui. fui. non sum. non desidero.*
2. Pietro Perucci i Giovanni Galli.

— Z komicznego. Zapomniana jest bowiem groza.
Tylko śmieszność zostaje dla zbudowania potomnych.
Śmierć od rany, z uduszenia, z głodu jest jedną śmiercią
Ale błazeństwo sute i co roku nowe.
Brałem udział, wiązałem krawaty
Nie wiem czemu, i tańczyłem tańce nie wiem czemu.
Klient, nabywca swetrów i pomady do włosów,
Naśladowca, nieśmiały bywalec,
Frant przejęty swoim odbiciem w witrynie.
Podrzędny był mój wiek i rozum podrzędny.
Kora nieświadomości zarastała mnie.
Próbowałem zgadnąć inną ziemię i nie mogłem.
Próbowałem zgadnąć inne niebo i nie mogłem.

3.

Jest porozumienie i jest przymierze
Między wszystkimi których pobił i uwolnił czas.
Młotkiem stukają, upinają papiloty,
Krzywymi chodnikami idą w pilnej sprawie,
Kuternogi, jawnogrzesznice, oszuści, władyki.
I trwaniu ich miasta nie ma kresu
Choć kupować ni sprzedawać już nie będą
Ani za mąż wychodzić ni pojmować za żonę,
W lustrach niewidzialni dla siebie, dla nikogo.
Ich płótno, wełna, perkal i satyna
Trochę później im, jak trzeba, odesłane
Zwijają się i mienią się i szeleszczą
Pod niewzruszonym światłem latarń albo słońca.
Przebaczający wzajem, przebaczeni,
Współposłannicy moi, mrukliwa asysta,
Choć nie ustają w zajęciach na swoich ulicach i placach,
Równocześnie (jak przywykliśmy mówić) tam i tu.

4.

Chciałem być wielki, sławny i potężny
Ale nie w jednym, skromnej chwały, mieście.
Uciekłem więc do krajów których stolice
Miały bulwary lśniące pod jarzeniem lamp
I gdzieniegdzie podobieństwo kolumn jońskich.
Pochwał tam rozdzielanych nie nauczyłem się cenić.

Z każdej formy przezierała piaszczysta równina.
Więc uciekałem dalej, do środka Megalopolis,
Wierząc, że jest tam środek, choć żadnego nie było.
Zapłakałbym nad moim poznanym złudzeniem
Gdyby zachował się zwyczaj opłakiwania win.
Najwyżej o posadzkę mogłem uderzyć czołem
I zwrócić się do mojej milczącej asysty:
Powiedzcie, czemu ja, dlaczego właśnie ja?
Gdzież inni, którzy mocno, prawdziwie kochali?
Czyż ten ma zostać wierny, kto nie chciał być wierny?

5.

Składałem przyrzeczenie, jakie, nie pamiętam.
Srebrną lilijkę nosiłem, później złotą.
Przysięgałem w lożach mistycznych, w klubach konspiratorów
Na wolność ludu, może na braterstwo.
Nie ten cnotliwy będzie, kto sobie zamarzył.
Nie miałem być posłuszny hasłu ni starszyźnie.
Leniwe duchy ziemne spod korzeni drzew
Widocznie to inaczej urządziły,
Śmiejąc się cicho z mojej moralności.
Zajęci ważną rozmową o pożytecznym zabójstwie
Druhowie jasnoocy patrzyli z roztargnieniem
Kiedy mijałem ich stół, naiwny lutnista.
A kiedy grali w szachy o to, kto wyrok wykona,
Myślałem, że dla rozrywki wdali się w turnieje.
Jakże im zazdrościłem. Tak wspaniali.
Tak wolni od wstydliwej tajemnicy
Której ja wyznać nie mogłem nikomu:
Że jak morska dziewczyna z baśni Andersena
Staram się stąpać poprawnie ale cienki ból
Przypomina co robię naśladując ludzi.

6.

A było święto w Megalopolis.
Ruch na ulicy zamknięty i procesja.
Powoli przesuwał się posąg boga:
Phallus wysokości czterech pięter
Otoczony tłumem miotających się w tańcu kapłanek i kapłanów.
Także w chrześcijańskich kościołach odprawiało się nabożeństwo,
Którego liturgia polegała na dyskusji

Pod przewodnictwem księdza w wielkanocnej szacie
O tym, czy da się wierzyć w życie po śmierci,
Co rozstrzygano przez głosowanie.
Udawałem się tedy na wieczorną party
Do szklanego domu na zboczu góry,
Skąd milcząc oglądali krajobraz planety:
Iskrzącą się równinę z metalu czy soli,
Żłobione erozjami piołunowe lądy,
Białe obserwatoria daleko u szczytu.
W kardynalskiej czerwieni zachodziło słońce.

Po strzałach, po goryczach, po pieśniach, po płaczach
Nie mnie targać bandaże i łamać pieczęcie.

Jeżeli dzieckiem byłem nieświadomym
I głosy tylko przeze mnie mówiły?

Któż wie do czego przeznaczenia służą
I jeden raz na ziemi to mało
Czy dużo.

Czesław MIŁOSZ

Archiwum polityczne

Polska «Ostpolitik»

Pisałem na tych łamach na przestrzeni ostatnich kilku miesięcy o niemieckiej „Ostpolitik" i o amerykańskiej „Ostpolitik". Z kolei warto zastanowić się nad polską „Ostpolitik" — tym bardzej, że Polska Ludowa nie ma i nie może mieć żadnego programu wschodniego.

Stosunkowo niedawno, w londyńskim *Dzienniku Polskim* i w *Myśli Polskiej*, ukazała się seria artykułów na powyższy temat — które dowodzą, że o ile w sprawie granicy na Odrze i Nysie Polacy są zgodni i jednomyślni o tyle zarówno w kwestii granicy wschodniej jak i programu wschodniego, panują w opinii polskiej znaczne rozbieżności.

Dwie uwagi wstępne.

Czy mają jakikolwiek cel rozważania na temat polskiego programu wschodniego? Czy nie są po prostu przedwczesne? Nie wiemy jak długo będzie trwał obecny stan rzeczy. Niemniej jedno można uznać za pewne. Z chwilą gdy sytuacja we Wschodniej Europie zacznie się zmieniać — Polacy będą mogli wpływać na rozwój wydarzeń tylko wówczas, jeżeli będą posiadali uzgodniony program wschodni.

Odnosiłem się zawsze z wielką nieufnością do postaw jednolitych (zwarci, silni, gotowi). Jednak Rosja w polskiej perspektywie politycznej stanowi taki super-problem, że jako naród nie możemy pozwolić sobie na 5 czy 6 różnych programów wschodnich. Mądra zasada „gry na dwóch fortepianach" — winna w tym szczególnym wypadku dotyczyć taktyki lecz nie podstawowych zasad. Musimy również pamiętać, że polityka wschodnia to nie tylko Rosja lecz i narody przez Rosję ujarzmione.

W chwili kryzysu i wrzenia rząd sowiecki może odżegnać się od stalinizmu i unieważnić zabór dokonany przez Stalina i Hitlera. Przywracając Polsce granice z 1939 roku — Rosja liczyłaby na skłócenie Polaków, Ukraińców i Litwinów — co nie tylko uniemożliwiałoby stworzenie wspólnego frontu lecz przeciwnie

stwarzałoby „wspólnotę interesów" pomiędzy Moskwą a Warszawą, wspólnotę opartą na restauracji granicy z 1939 roku.

Rosja ufałaby, że Polacy z entuzjazmem pomogą jej utrzymać i utrwalić imperium w granicach przedwojennych, a przede wszystkim dopomogą w zatrzymaniu dla Moskwy spichrza ukraińskiego.

Program wschodni musi dawać odpowiedź na pytanie jak winniśmy się zachować w opisanej wyżej sytuacji, która może się zdarzyć.

I uwaga druga. Nie wymieniam nazwisk — które zresztą łatwe są do odcyfrowania dla każdego, kto zada sobie trud przewertowania odnośnych numerów *Dziennika Polskiego* i *Myśli Polskiej*. Nie wymieniam nazwisk, ponieważ nie chodzi w tym wypadku o jeszcze jedną personalną polemikę prasową. *Myśl Polska* reprezentuje coś więcej niż opinię poszczególnych autorów. Pismo jest organem Stronnictwa Narodowego, które jest zarówno historyczną polską partią polityczną jak poważną siłą tak na emigracji jak i w Kraju.

◆

Nie zamierzam dyskutować z ludźmi, których program wschodni składa się z emocji, kompleksów i uprzedzeń. Ci panowie, którzy głoszą, że wszystko co rosyjskie jest złe i godne pogardy, stanowią problem dla psychiatrów a nie dla polityka.

Na szczęście znakomita większość Polaków zdaje sobie sprawę, że z Rosją w naszym własnym interesie — musimy się kiedyś porozumieć. Rozumiał to również Roman Dmowski, który jednak nie przewidywał problemów narodowościowych ani przemian socjalnych jakie w Rosji miały nastąpić. Myślał jedynie o układaniu się z carskim *Establishment*'em.

Ów pierworodny błąd Dmowskiego odnajdujemy również w rozumowaniu współczesnych polityków Stronnictwa Narodowego, którzy przez Rosję rozumieją Związek Sowiecki, tak jak Dmowski przez Rosję rozumiał carat.

Znany „List Otwarty do Chruszczowa" *(Horyzonty* nr 43, r. 1959) — jak również wypowiedź autora tegoż listu pt. „Polska między Ameryką, Niemcami, Chinami a Rosją" *(Myśl Polska* z 1. III. 1973) — stanowią dobrą ilustrację owego duplikowania błędu Dmowskiego sprzed przeszło pół wieku.

Błąd ten wynika z dwóch fałszywych przesłanek. Po pierwsze, że należy szukać porozumienia nie z narodem i społeczeństwem rosyjskim lecz z *Establishment*'em i po drugie z przekonania — jakże dla Rosjan poniżającego — że totalizm i imperializm są w Rosji zjawiskiem wieczystym, przeto musi się rozmawiać z carami lub z Chruszczowowami, bo demokratycznego rządu w Moskwie nigdy nie będzie.

Pisarze polityczni ze Stronnictwa Narodowego zgadzają się na ogół z poglądem, że Związek Sowiecki jest „skazany na imperializm", ponieważ jakakolwiek liberalizacja zagrażałaby całości

imperium. Gdyby zezwolono małej Czechosłowacji na przeprowadzenie reform demokratycznych w roku 1968 — byłoby trudno oprzeć się analogicznym żądaniom Polaków i Ukraińców których jest ponad 75 milionów.

Na łamach *Kultury* podkreślaliśmy zawsze, że rewizjoniści, radykalni reformiści czy rewolucjoniści w krajach satelickich winni szukać kontaktów i powiązań z opozycją w samej Rosji. W moich książkach wskazywałem na przykład Indii. Ewolucja — by przynieść oczekiwane owoce — musiała postępować nie tylko w Indiach lecz i w Wielkiej Brytanii. Hindusi zdawali sobie z tego doskonale sprawę i przez długie lata walczyli w Anglii o zmianę poglądów nie Hindusów lecz Brytyjczyków.

Historia dostarcza bogatych dowodów, że z autokratycznym imperializmem nie może być rozmów na temat niepodległości czy samostanowienia z tej prostej przyczyny, że w ramach autokratycznego imperializmu nie może być demokracji na wewnątrz ani liberalizmu na zewnątrz. Władze sowieckie nie mogą zaoferować Polsce niezależności z tych samych przyczyn, dla których nie mogą zaoferować demokracji narodowi rosyjskiemu.

Nie wybieramy pomiędzy tzw. programem prometejskim a programem rozmów z Sowietami — ponieważ takiego wyboru nie mamy. Opowiadamy się za programem wyzwolenia narodów ujarzmionych przez Rosję — nie z romantyzmu tylko dlatego, że innej drogi przed nami nie ma i *de facto* nigdy nie było.

Rozbitek na bezludnej wyspie wymachujący chusteczką do nosa w nadziei, że dojrzy go jakiś okręt czy samolot — jest niewątpliwie figurą romantyczną i patetyczną. Niemniej rozbitek ten uprawia jedyną realistyczną politykę, jaka pozostała mu do dyspozycji — ponieważ innych możliwości nie ma.

Nie wszystko co jest szlachetne i romantyczne musi być nierealistyczne. Sprawdzianem i kryterium realizmu jest konieczność. Konieczność ratowania życia, konieczność ratowania niepodległości państwowej. W czasie pożaru ludzie skaczą czasem z drugiego piętra — ponieważ to jest decyzja konieczna i jedyna bez względu na stopień jej realizmu. Konieczność można zdefiniować jako brak wyboru. Droga jedyna jest konieczna a tym samym realna — ponieważ innej drogi nie ma.

Na emigracji można wyodrębnić cztery orientacje dotyczące polskiej polityki wschodniej.

I. — Pogląd wysuwany przez publicystów Str. Narodowego — nie jest jednolity. Wydaje się, że nie wszyscy członkowie i sympatycy Stronnictwa podpisaliby się pod listem otwartym do Chruszczowa. Nie wszyscy byliby gotowi akceptować linię, która — doprowadzona do swych logicznych konsekwencji — prowadziłaby do koncesjonowania Stronnictwa Narodowego w Polsce Ludowej. Wydaje mi się, że tylko poprzez akces do stowarzyszenia „Pax" — byłoby możliwe dla odłamu Stronnictwa Narodowego wylądowanie w Polsce Ludowej. Nie jest to propozycja zachęcająca i myślę, że tylko izolowane jednostki rozpatrywać mogą tego typu ewentualność.

Większość endeków zgadza się z poglądem — wyrażanym wielokrotnie przez publicystów Stronnictwa — że należy potępić program prometejski jako fikcyjny, i ufać, że nadejdzie pora — kiedy Rosja dojrzy swój własny interes państwowy w rzetelnym porozumieniu się z Polską. Ci sami pisarze, którzy propagują powyższy pogląd głoszą równocześnie, że Sowiety nie mogą popuścić cugli państwom satelickim ponieważ doprowadziłoby to do rozpadu Związku Sowieckiego. Ci sami publicyści twierdzą również, że wśród nie-rosyjskich narodów, stanowiących połowę ogółu ludności Związku Sowieckiego, wzrasta ogromnie nacjonalizm. Ci sami autorzy wysuwają z powyższego wniosek, że kwestia narodowościowa w Sowietach jest zupełnie czymś innym dziś niż za czasów Lenina.

II. — Piłsudczycy — oraz publicyści którzy wyrażają opinię tzw. obozu zamkowego — nie są przeciwni programowi wyzwolenia — pod warunkiem, że wyzwolone miasta Lwów i Wilno wrócą do Polski. Polska winna być wyzwolona i restaurowana w granicach 1939 roku na wschodzie i w granicach 1973 roku na zachodzie.

III. — Obiektywizm nakazuje stwierdzić, że wśród zwolenników obozu pro-zamkowego istnieją nieliczni lecz odważni publicyści, którzy głoszą konieczność pogodzenia się z obecną granicą wschodnią w przewidywaniu, że trudno liczyć na przyjaźń Ukraińców odbierając im Lwów i trudno zjednać sobie Litwinów odbierając im Wilno.

IV. — Jako ostatni wymieniam program wschodni *Kultury* — wielokrotnie prezentowany na tych łamach.

Zacznijmy od przeanalizowania polityki wschodniej Stronnictwa Narodowego. Szczególnie niebezpieczny wydaje mi się zasadniczy punkt wyjścia tego programu a mianowicie, że należy szukać porozumienia z rosyjskim *Establishment*'em bez względu na jego socjalno-polityczne zabarwienie.

Komuniści szukają również porozumienia z rosyjskim *Establishment*'em. Cytowany autor z *Horyzontów* napisał otwarty list do Chruszczowa. Aleksander Dubczek, jak dziś wiadomo, do ostatniej chwili pisał rozpaczliwe listy do Breżniewa.

Pomijam fakt, że powyższa taktyka redukuje niepodległościowe Stronnictwo do statusu nieuznawanego jeszcze neo-Paxu. Ważniejsza jest odpowiedź na pytanie dlaczego tego rodzaju inicjatywy nie mogą przynieść pozytywnych rezultatów.

Dubczek nie był emigrantem z *Horyzontów* lecz wypróbowanym komunistą, który miał za sobą autentyczną większość społeczeństwa czechosłowackiego a mimo to niczego nie osiągnął. Dlaczego?

Odpowiedzi na powyżej zacytowany dylemat udzielił wybitny pisarz Stronnictwa Narodowego, który listów do Chruszczowa nie pisał. Oto jego słowa:

> **„Poczucie odrębności narodów nierosyjskich nie słabnie. Jest ono na pewno silniejsze dziś niż przed pół wiekiem, gdy tworzono Związek**

Sowiecki. W ostatnich miesiącach mieliśmy demonstracje na Litwie, ferment wśród inteligencji ukraińskiej, zmianę rządu w Gruzji. To wewnętrzne ciśnienie w Sowietach ma dwa skutki. Po pierwsze uniemożliwia liberalizację ustroju, dopuszczenie mas do większego głosu, uzasadnia w oczach narodowości imperialnej potrzebę dyktatury partii rosyjskiej. Odbija się także na polityce w stosunku do satelitów, skłania do ostrzejszego reagowania na prądy liberalne, na przykład w Czechosłowacji, i do ściślejszej kontroli podległych rządów komunistycznych. Nie jest rozsądne liczenie na zasadniczą demokrację Sowietów. Rosjanie nie mogą sobie na to pozwolić z obawy, że Związek Sowiecki im się rozleci". *(Myśl Polska* z 1. I. 1973).

Z czysto pragmatycznego punktu widzenia — odrzucając wszystkie ideologie i doktryny partyjne — należy stwierdzić, że domaganie się od Związku Sowieckiego niezależności dla Polski jest absurdem, ponieważ Sowiety dopóki chcą być Związkiem Sowieckim nie mogą tego zrobić. Narodów kandydujących do niezależności w Związku Sowieckim jest sporo i gdyby Moskwa przyznała niezależność jednemu z nich, Związek Sowiecki — jak pisze cytowany autor — rozleciałby się. Imperialistyczny totalizm można utrzymać tylko imperialistyczno-totalnymi metodami. Gdy kończą się metody imperialne kończy się imperializm.

Jesteśmy całkowicie zgodni z fragmentem artykułu z *Myśli Polskiej* który przytoczyłem powyżej. Lecz autor fragmentu jest związany doktryną swojego stronnictwa i woli popaść w sprzeczność sam ze sobą — niż wysunąć logiczne wnioski z własnego tekstu.

Jeżeli twierdzimy, że Związek Sowiecki nie może sobie pozwolić na żadną liberalizację, ponieważ rozleciałby się — jest oczywiste, że jakiekolwiek rozmowy ze Związkiem Sowieckim nie mogą spowodować poprawy sytuacji Polski. Jeżeli tak jest — musimy łączyć naszą akcję i nadzieję z tymi narodami które — podobnie jak Polacy — dążą do niezależności — choć wiedzą, że owej niezależności nie wynegocjują z władzami sowieckimi.

Wyobraźmy sobie dla przykładu, że Rosja jest państwem narodowo jednolitym. Niezmierzone obszary od Władywostoku po Lwów zaludnia zwarta masa rdzennych Rosjan. W takim układzie sytuacja Polski byłaby beznadziejna. Jak szczypta soli rozpłynęlibyśmy się w oceanie rosyjskim.

Na szczęście tak nie jest. Rosja nie jest narodowo jednolita a Polacy nie są osamotnieni. Jedyną naszą szansą jest łączyć się z tymi, którzy, podobnie jak my — chcieliby wyzwolić się i stanowić o własnym losie. Autor omawianego artykułu odrzuca jednak tę jedyną szansę. Odrzuca ją — mimo, że jak pisze „poczucie odrębności narodów nierosyjskich nie słabnie i jest ono na pewno silniejsze dziś niż przed pół-wiekiem".

Wyznawcy doktryn politycznych popełniają zawsze pewien podstawowy błąd. Ponieważ Dmowski nie żyje od 34 lat — nie może niczego zmienić w swojej politycznej filozofii i byłoby niesprawiedliwością obwiniać go za to, że jego poglądy nie pasują do obecnej sytuacji. Obowiązkiem jego współcześnie żyjących następców jest dostosować doktrynę polityczną Stronnictwa Narodowego do wymogów rzeczywistości.

Na przykład — wszystko co pisał Dmowski na temat kwestii żydowskiej utraciło swą przedmiotowość — ponieważ w Polsce w roku 1973 — Żydów jest tylko kilka czy kilkanaście tysięcy.

Największymi pomniejszycielami twórców doktryn politycznych są ich „późne wnuki". Wkładają bowiem w usta przywódców poglądy sprzed dziesiątków lat — których owi przywódcy nigdy by nie wypowiedzieli, gdyby żyli.

Dmowski głosił, że sprawę polską należy wiązać z głównymi prądami historycznymi epoki. Nie może ulegać wątpliwości, że program wyzwoleńczy i dążenie do narodowego samostanowienia — stanowią jeden z głównych nurtów naszej epoki. Na cmentarzysku idej i ideologii w drugiej połowie XX wieku ostała się tylko jedna idea wykazująca dynamikę i prężność. Tą ideą jest nacjonalizm.

W sumie, najwymowniejszy endek nie przekona mnie, że Dmowski, gdyby żył, pisałby listy do Chruszczowa czy Breżniewa, jak również nikt nie przekona mnie, że Dmowski, gdyby żył zlekceważyłby ruchy wyzwoleńcze Ukraińców, Litwinów czy Białorusinów i wyraził gotowość ułożenia się z oficjalną Moskwą kosztem tych narodów. Dmowski bowiem zdawałby sobie sprawę, że problem ukraiński jest zupełnie czymś innym dziś niż 50 lat temu i wymaga w tym względzie re-orientacji polskiej polityki.

Lecz mumifikacja dokonywana rękami późnych wnuków jest generalną regułą. Mumifikacji uległ nie tylko Dmowski lecz i Piłsudski — nie mówiąc o prorokach międzynarodowych: Marksie i Leninie.

Jeszcze trudniejsza do zrozumienia jest „Ostpolitik" Piłsudczyków i tzw. „zamku". Ci panowie reprezentują przedwojenne hasło: „nie oddamy ani jednego guzika". Członkowie tego obozu przez program prometejski rozumieją rozbicie Związku Sowieckiego a nie politykę wyzwoleńczą dla Ukraińców, Litwinów i Białorusinów. Redukowanie programu prometejskiego do nowego wydania polskiej polityki mniejszościowej jest najpewniejszą drogą do przekształcenia Ukraińców, Litwinów i Białorusinów we wrogów Rzeczpospolitej.

W Londynie można zawsze znaleźć garść Ukraińców mówiących nieporównanie lepiej po polsku niż po ukraińsku, którzy gotowi są zamanifestować nietyle przyjaźń polsko-ukraińską ile wspólną nienawiść do Sowietów.

Gdyby Ukraińcy mieli wybierać wyłącznie i jedynie pomiędzy polskim a sowieckim Lwowem — znaczna część Ukraińców na emigracji opowiedziałaby się za polskim Lwowem — zakładając oczywiście, że Lwów wchodziłby w skład niekomunistycznej, demokratycznej Polski.

Rzetelny program prometejski zakłada jednak inną alternatywę. Ufamy, że Ukraińcy będą mogli wybierać pomiędzy Lwowem w niezależnej, demokratycznej Polsce a Lwowem w niezależnej demokratycznej Ukrainie. W takiej sytuacji nie ulega

wątpliwości, że znakomita większość narodu ukraińskiego wypowie się za Lwowem w niezależnej Ukrainie.

Program wschodni endeków jest bardziej konsekwentny niż program obozu zamkowego. Endecy odrzucają program prometejski, tzn. uważają że nie istnieje żaden związek przyczynowy pomiędzy polską polityką wschodnią a wyzwoleniem Ukrainy, Białorusi czy Litwy. Według tezy endenckiej Polacy stanowią po Rosjanach największy słowiański naród państwowy i powinni ułożyć swe stosunki z Moskwą na bazie bilateralnej. Oczywiście, pragnąc rozmów i układów na bazie bilateralnej — nie można popierać ruchów wyzwoleńczych, ponieważ oficjalna Moskwa nie podejmie nigdy żadnych rozmów z sympatykami prometeizmu. Dopóki stoi się na stanowisku bilateralnych rozmów polsko-rosyjskich — powyższy punkt widzenia jest logiczny, choć obrzydliwy. Zakłada bowiem, że przy sprzyjającej koniunkturze Moskwa uzna naszą niezależność za cenę uznania przez Polskę wieczystej niewoli Ukraińców, Białorusinów i Litwinów.

Endecy na to odpowiedzą, że programów politycznych nie dzielimy na obrzydliwe i wzniosłe, tylko na skuteczne i nieskuteczne. Zadaniem naszej polityki nie jest zdobywanie niepodległości dla Ukrainy czy Litwy tylko zapewnienie niezależnego bytu dla Polski.

Niewątpliwie tak jest i nie zamierzamy kwestionować powyższych argumentów. Nie jest obowiązkiem Polski wyzwalać Ukrainę tak jak nie jest obowiązkiem Ukrainy wyzwalać Polskę.

Sprawa jednak dotyczy innego zagadnienia. Ocena polityki wschodniej endeków zależy wyłącznie od odpowiedzi na pytanie czy perspektywy rozmów bilateralnych polsko-rosyjskich, obecnie czy w przyszłości, są propozycją realną?

W okresie ostatnich 200 lat Rosja zamiast negocjować z nami wzięła udział w 4 rozbiorach Polski. Stało się tak, ponieważ Rosja jest i była mocarstwem imperialistycznym. Czynnikiem dodatkowym jest i był fakt, że istniała i istnieje znaczna dysproporcja sił pomiędzy obu sąsiedzkimi państwami. Moskwa nie musi uznawać nas za partnera, ponieważ jest władna narzucić Polsce status wasala.

Propagowane na emigracji plany federacji polsko-czechosłowackiej czy polsko-czechosłowacko-węgierskiej, mają na celu stworzenie w Europie Środkowo-Wschodniej zgrupowania państw, których łączny potencjał gospodarczo-przemysłowy czyniłby z projektowanej federacji poważnego kandydata na partnera Rosji. Połączeni i sfederalizowani moglibyśmy przeciwstawić się politycznie imperialistycznym zakusom Moskwy.

Dramat polega na tym, że Rosja, właśnie dlatego że jest imperialistyczna, nie dopuści do realizacji planów federacyjnych. Innymi słowy, jest bezbrzeżną naiwnością przypuszczać, że imperialistyczna Rosja zgodzi się na jakiekolwiek negocjacje, które miałyby na celu zabezpieczyć nas przed imperializmem rosyjskim. Jeszcze większą naiwnością jest sądzić, że imperialna Rosja

zgodzi się na rozmowy zmierzające do pozbawienia Moskwy owoców i korzyści jej imperialistycznej polityki.

Dopóki Rosja będzie imperialistycznym kolosem w obecnych granicach — nasze szanse uniezależnienia się od Moskwy są równe zeru. Na to by Polska odzyskać mogła niezależność — musi się urzeczywistnić jeden z dwóch następujących warunków: albo Polska ulegnie wzmocnieniu, albo Rosja ulegnie osłabieniu. Tak czy inaczej obecna dysproporcja sił musi ulec zmianie, ponieważ dopóki trwa owa dysproporcja potencjałów — po ludzku biorąc sytuacja Polski jest beznadziejna.

Imperialistycznej Rosji nie mamy szansy ani pobić ani wytargować od niej dla Polski statusu niezależnego partnera.

Jeżeli za główną choć nie jedyną przyczynę niepowodzeń polskiej polityki wschodniej na przestrzeni ostatnich 200 lat uznamy rosyjski imperializm — należy zapytać czy i kiedy Rosja przestanie być imperialistyczna?

Rosja w analogii do innych mocarstw przestanie być imperialistyczna gdy straci imperium. Byłoby rzeczą jałową spekulować kiedy i w jakich warunkach upadnie imperium sowieckie. Wystarczy stwierdzić, że w epoce potęgujących się ruchów narodowych i wolnościowych — imperium sowieckie staje się coraz większym anachronizmem — coraz większą „osobliwością" dwudziestego wieku.

Imperialistyczna Rosja zagraża Chinom. Jestem przekonany, że gdy Chiny wzmocnią swój przemysł i potencjał nuklearny — podejmą bardziej konkretną politykę w stosunku do Sowietów. Sądzę, że będą się domagały na forum międzynarodowym niepodległości dla państw bałtyckich i Ukrainy. W Pekinie zdają sobie dobrze sprawę, że tylko poprzez problem narodowościowy można rozczłonkować Związek Sowiecki i zredukować Rosję do terytorialnie właściwych proporcji.

Ktoś może powie, że program wschodni jest nam niepotrzebny dopóki istnieje sowieckie imperium. Będziemy formułować ten program wówczas, gdy Związek Sowiecki znajdzie się w stanie rozkładu.

Nie zgadzam się z powyższą tezą. Kryzys w Związku Sowieckim — bez względu na jego formę — stworzy dla narodów ujarzmionych koniunkturę, którą będziemy mogli albo wykorzystać albo zmarnować. Szansa zmarnowania ewentualnej koniunktury jest bardzo znaczna właśnie dlatego, że nie ma uzgodnionego programu.

Gdybym był imperialistą rosyjskim pocieszałbym się przypuszczeniem, że w razie wojny czy poważnego kryzysu — jest mało prawdopodobne, że narody ciemiężone przez Sowiety utworzą wspólny front — co byłoby groźne. Sądziłbym, że jest bardziej prawdopodobne, że Polacy, Ukraińcy, Litwini — jak tylko uwolnią choćby jedną rękę — chwycą się za gardła, co umożliwi Moskwie częściowe opanowanie sytuacji.

Oddanie w danym momencie Polsce Lwowa byłoby śmiesznie

niską ceną — jeżeli za taki gest można by zniweczyć porozumienie 33 milionów Polaków z 44 milionami Ukraińców.

Program wschodni nie powinien wybiegać zbyt daleko w przyszłość i snuć planów, które mogą stanowić przedmiot dyskusji dopiero po odzyskaniu niepodległości. Obserwując jak opornie postępuje zjednoczenie w bloku zachodnim — byłoby nieprzezornie planować na emigracji federację czy związki ponad-państwowe w przyszłej Europie Wschodniej. Pozostawmy to tym, którzy doczekają dnia wyzwolenia.

Naszym zadaniem — i to nie małym i oby nie syzyfowym — jest oczyścić pole z upiornych błędów, które umożliwiły Rosji ujarzmić nasze narody. Polska i Ukraina obejmują obszar niemal miliona kilometrów kwadratowych z ludnością około 80 milionów. Nie ma żadnych obiektywnych powodów by 80 milionów Europejczyków — zamieszkujących jeden z najbogatszych obszarów naszego kontynentu — było pozbawionych elementarnych praw, które są udziałem obywateli Ugandy czy Tanzanii.

Pierwszym punktem polskiej polityki wschodniej winno być uznanie prawa do samostanowienia i niezależnego bytu państwowego wszystkich narodów ciemiężonych przez Sowiety. Z polskiego punktu widzenia w szczególności ów punkt dotyczy Ukraińców, Białorusinów i Litwinów.

Ponieważ zgoda i jednolity front narodów ujarzmionych stanowi podstawowy warunek likwidacji — w sprzyjającej koniunkturze — imperializmu rosyjskiego — winniśmy nie tylko zapewnić Ukraińców i Litwinów, że nie zgłaszamy roszczeń rewindykacyjnych do Wilna i Lwowa — lecz, że nie sięgniemy zbrojnie po te miasta, nawet gdyby w danej sytuacji okoliczności nam sprzyjały.

Polska współczesna jest krajem narodowo jednolitym. Polsce nie potrzeba nowych miast czy terytoriów — potrzeba jej natomiast choćby minimum niezależności. Nie możemy walczyć z sowieckim imperializmem pod sztandarem polskiego imperializmu — nie możemy przeciwstawiać sowieckiej polityce narodowościowej — polskiej polityki narodowościowej, ponieważ narody nad którymi panowały kolejno Polska i Rosja pragną dziś nie bardziej liberalnej polityki narodowościowej lecz prawa do samostanowienia.

Życzymy sobie przyjaznych stosunków z narodem rosyjskim. Leszek Kołakowski, który zna i rozumie komunizm z własnych bolesnych doświadczeń — w artykule pt. „Sprawa Polska" w kwietniowym zeszycie *Kultury* — napisał, że „Sowietyzm samych Rosjan wyzuwa z ich ojczyzny, z historycznej ciągłości, z języka jako spoiwa narodowej świadomości".

Dodajmy od siebie, że totaliści sowieccy na ołtarzu zaborczego imperializmu niszczą całopalnie sztukę i literaturę rosyjską — bez której narodowa kultura rosyjska skazana jest na skarlenie.

Nie tylko nie ma żadnej sprzeczności w postawie pro-rosyjskiej i równocześnie antysowieckiej lecz przeciwnie, prawdziwa życzliwość do narodu rosyjskiego musi być z definicji równoznaczna z negatywnym nastawieniem do sowietyzmu. Nikt z nas nie uważa, że Gierek i jego partia stanowią rząd na jaki Polacy zasługują. Tylko bezbrzeżna pogarda mogłaby dyktować opinię, że choć staliniści jak Breżniew czy Gierek dla Polaków stanowią obrazę — dla Rosjan wystarczą, ponieważ Rosjanie na nic lepszego nie zasługują.

Powtarzamy, że geopolitycznie Polska znajduje się w trudnej a czasowo nawet beznadziejnej sytuacji. Zapominamy natomiast, że geopolityka to nie tylko Rosja lecz również Polska, Ukraina, Litwa, Białoruś. Geopolityka czyni z Polski państwo satelickie. Lecz ta sama geopolityka sprawia, że Rosjanie stanowią mniej niż 50 % ludności w Związku Sowieckim. Geopolityka stanowi *de facto* piętę achillesową Sowietów, które znalazły się pomiędzy nacjonalistycznymi Chinami a ogniskiem ruchów narodowych w Sowietach i w państwach satelickich.

Wszystko się przeżyło, z wyjątkiem nacjonalizmu. Nie XIX wiek lecz wiek XX stoi pod hasłem nacjonalizmów. Stwierdzam to bez radości, ponieważ nigdy nie byłem i nie jestem nacjonalistą. Trzeba jednak odróżnić nacjonalizm obronny od nacjonalizmu zaborczego. Jestem przeciwnikiem przemocy, jest jednak oczywiste, że człowiek napadnięty przez bandytę ma prawo do obrony, choć, obrona niemal zawsze jest defensywną przemocą.

Podobnie, choć jestem przeciwnikiem imperialistycznego nacjonalizmu — uważam, że każdy naród ma prawo do obrony, która bez spotęgowanego poczucia nacjonalnego nie jest możliwa. Nacjonalizm staje się złem gdy wynaturza się w zaborczość — inaczej mówiąc, gdy nie tylko broni się swojego lecz sięga się po cudze.

Trzeba jeszcze podjąć próbę skomentowania następującego stwierdzenia. Pisarze polityczni Stron. Narodowego podają za pewnik, że rozczłonkowanie Sowietów *bez wojny* nie jest możliwe. W oparciu o powyższy pewnik wysuwają wniosek, że program prometejski jest mrzonką.

Napoleon był w Moskwie, Hitler stał na przedmieściach Moskwy i ani w pierwszym ani w drugim wypadku nie doszło do rozczłonkowania Rosji. Na jakich więc przesłankach historycznych nasi oponenci opierają swój kategoryczny wniosek, że bez wojny rozczłonkowanie Rosji nie jest możliwe?

Osobiście mniemam, że proces rozczłonkowania Sowietów czy jego przekształcanie w *Commonwealth* narodów nie może zacząć się w Waszyngtonie czy w Pekinie, tylko musi zacząć się i dojrzeć w samym imperium sowieckim. Tylko wówczas wojna mogłaby spełnić zadanie czynnika sprzyjającego ruchom wyzwoleńczym. Ewentualna wojna rosyjsko-chińska, gdyby wybuchła zbyt wcześnie — byłaby z punktu widzenia ruchów wyzwoleńczych jedynie zmarnowaną okazją.

W artykule pt. „Technologiczne pojmowanie dziejów" *(Kultura* nr 4/307) — wyraziłem opinię, że technologia czyni mocnych arcy-mocnymi a słabych arcy-słabymi. Powyższy sąd jest w całości uwarunkowany historycznie. Ponieważ Rzesza hitlerowska

produkowała 10 razy więcej stali niż Polska — skazani byliśmy na klęskę. W oparciu o tę analogię historyczną wnioskujemy, że ponieważ Sowiety posiadają bronie nuklearne, których my nie posiadamy — wojna nie może wchodzić w grę, ponieważ musiałaby się zakończyć naszą przegraną.

Gwoli obiektywizmu trzeba jednak podkreślić, że technologia, a zwłaszcza technologia nuklearna, obraca często w niwecz spekulacje analogiami historycznymi.

Specjaliści amerykańscy sądzą, że w związku z kryzysem energetycznym trzeba będzie w najbliższych 50 latach ogromnie rozbudować siłownie atomowe. Wnioskuje się również, że w drugiej połowie XXI wieku — technologia znajdzie sposób czerpania energii wprost ze słońca i z oceanów. To są bowiem dwa gigantyczne potencjały energii naturalnej do tej pory nie wykorzystane.

Jest to jednak wizja dalekiej przyszłości. Natomiast dziś dostępna jest nam tylko energia atomowa. Specjaliści zwracają uwagę, że siłownie atomowe stwarzają różne niebezpieczeństwa, nie tylko natury zdrowotnej. Z chwilą gdy kraj pokryje się setkami tego typu zakładów — powstanie niebezpieczeństwo, że któregoś dnia grupa terrorystów opanuje jedną z atomowych siłowni i wówczas będzie mogła dyktować warunki Waszyngtonowi.

Sporządzenie prymitywnej bomby atomowej jest stosunkowo prostym zabiegiem gdy posiada się atomowy materiał. Zdobycie owego materiału będzie łatwiejsze z każdym rokiem.

Przytoczyłem powyższe informacje by wykazać, że spekulowanie analogiami historycznymi w dzisiejszej epoce często zawodzi. W roku 1939 Gdyni bronili kosynierzy jakby zmartwychwstali z pól racławickich. W Polsce kończył się wówczas wiek XIX-ty. Lecz kto może przewidzieć jakimi broniami i jakimi bombami operować będą powstańcy w Europie Wschodniej obecnie?

Nie bawiąc się w przepowiednie — należy powtórnie podkreślić, że imperium sowieckie w epoce wzrastającej dynamiki ruchów narodowościowych jest anachronizmem. Anachronizmy trwają czasem długo, lecz w końcu zawsze upadają.

Zadaniem polskiej polityki wschodniej winno być rozbudzanie i potęgowanie wszystkich sił odśrodkowych w Sowietach i scementowanie wspólnego frontu narodów ujarzmionych przez Sowiety — Rosjan nie wyłączając.

Pogodziłem się dawno z faktem, że zapewne nie doczekam chwili wyzwolenia. Boleję natomiast nad tym, że do tej chwili nie jesteśmy przygotowani, że nie ma pełnego porozumienia pomiędzy Polakami a Ukraińcami, Białorusinami i Litwinami. Boleję nad tym, że jeszcze są wśród nas politycy gotowi do rozmów z imperialistyczną Moskwą ponad głowami i kosztem pobratymczych narodów. Boleję nad tym, że istnieją na emigracji ugrupowania złożone z zasłużonych patriotów, którzy jednak stawiają wyżej martwy legalizm granic z 1939 roku niż

imperatyw jednolitego działania narodów ujarzmionych. Boleję nad tym że tak mało Polaków szuka porozumienia i współpracy z nowym pokoleniem rosyjskim.

Niech mi wolno będzie powtórzyć jeszcze raz: z historycznej koniunktury na którą czekamy — nic nam nie przyjdzie, jeżeli do niej nie będziemy rzetelnie przygotowani.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Widziane z Brukseli

Wariacje pocztowe

Nie należę do ludzi „piśmiennych". Zajęcie zarobkowe zwane „pisaniem" uważam za nudne i wyczerpujące, choć niestety konieczne dla porozumienia się z otoczeniem. Pisanie, wbrew temu co niektórzy sądzą, („Panu, to tak jakby spływało z pióra"), przychodzi mi z trudem. Najtrudniej zaś przychodzi mi pisanie listów. Nic dziwnego, każdy to zrozumie. Widok maszyny do pisania, przy której spędzam kilka godzin dziennie, wywołuje we mnie, zgodnie z prawem Pawłowa, odruch niechęci, ale ponieważ żyć trzeba, więc ofiarą padają listy prywatne. Dlatego zresztą, od czasu emigracji rozsyłam między przyjaciół na świecie (do PRL nie dotarły), wydrukowane „listy noworoczne", tzw. „okólniki", zawierające skondensowaną informację o losach mojej rodziny w ub. roku sprawozdawczym, oraz kilka refleksji natury ogólniejszej, tzw. wiecznej.

Dziś — inaczej. Dostałem mianowicie list z Warszawy. Taki list to w ogóle rzecz nieczęsta, a zupełnie wyjątkowe są listy na temat „Brukselczyka". A tak właśnie się stało. Nie ukrywam zresztą, że na ten list i od tego człowieka czekałem od dawna, szanuję bowiem jego zdanie, podziwiam jego charakter i wiedziałem, że czytuje *Kulturę*. Jeżeli jednak postanowiłem na jego krótki list odpowiedzieć długim felietonem, to nie dlatego, iż zawierał on (co, mówiąc bez fałszywej skromności, sprawiło mi satysfakcję) wyznanie, że zmienił on „poglądy na twórczość Brukselczyka" i że „było parę artykułów znakomitych", ale dlatego, że jest to dla mnie dowód na możliwość dialogu. Pomijam więc dusery i sprawy prywatne, a cytuję fragment dzisiaj podstawowy. Oto on:

... „Doskonały byłby artykuł o Czechach w numerze kwietniowym, gdyby nie byki. Pisze Pan, że Chamberlainowi oponował w parlamencie 'młody deputowany' Winston Churchill. Tu już

Pan Redaktor, mówiąc Pana stylem, buja na cztery fajerki... gdyż ów młody deputowany miał wówczas lat... 64, był już do tego czasu pięciokrotnie ministrem... Również kontrowersja między Churchillem a Eisenhowerem podana przez Pana w stylu wiechowskim jest przedstawiona bardzo nieściśle. Rzeczywisty tekst korespondencji w tej sprawie podany został w książce Eisenhowera 'Krucjata w Europie' (przekład polski Henryka Krzeczkowskiego)... Mimo tych bujd jest w tym artykule sporo świetnych rzeczy, m.in. historia o 'ciemnych typach' ze wschodniej Europy za których nie warto się bić, historia, niestety, aktualna po dziś dzień i coraz bardziej..."

Tyle w tej sprawie mój korespondent z Warszawy. A oto co chciałbym mu odpowiedzieć.

SZANOWNY PANIE,

Okoliczności zmuszają mnie do użycia tej banalnej formuły, ale sam Pan rozumie. Imienia Pańskiego boję się wzywać nadaremnie, bo licho nie śpi, a wydział aluzji czuwa. A przecież to „Szanowny Panie" to zupełnie bez sensu, bo gdybym Pana nie szanował, to bym nie odpowiadał na Pański list, a gdyby Pan mnie nie szanował, to by Pan do mnie nie napisał. A zresztą to Pan narzucił ten styl z pompą, zaczynając swą epistołę od nadwiślańskiego „Szanowny Panie Redaktorze...".

A więc, Szanowny Panie, uważa Pan, że historia o „ciemnych typach", za których nie warto się bić, jest „coraz bardziej aktualna". Otóż, choć wiem, że Pan sporo czyta, to uprzejmie donoszę, że życie jest bogatsze od najbardziej bujnej, wydrukowanej fantazji. Ono właśnie dopisało dalszy ciąg i Pańskiego listu i mojego kwietniowego felietonu.

„Ja muszę! Ale Pan?!"

W 1968 roku kiedy ZSSR wraz z sojusznikami likwidował w sierpniu „praską wiosnę", premierem wielkiej Brytanii był Harold Wilson, przywódca Labour Party, znaczy się socjal-demokrata. Rozgniewał się wówczas. Inwazja, oświadczył w parlamencie, „to krok wynikający z ponurego i cynicznego przekonania, że żaden europejski kraj komunistyczny nie ma prawa decydować o swym losie... Wielka Brytania odnosi wrażenie, że powtarzają się wydarzenia z 1938 roku, kiedy to Hitler wkroczył do Czechosłowacji". Bardzo trafne wrażenie. Nic dziwnego więc, że Wielka Brytania, jak poinformował wówczas Izbę Wilson „nie ma zamiaru uznać rządu w Pradze, jedynie dlatego, iż ZSSR twierdzi, iż jest to rząd czechosłowacki..."

Słusznie powiedziane. I mocno. Ale od tej chwili minęło lat prawie pięć i rząd się zmienił. Nie, nie ten w Pradze, ani w Moskwie, a w Londynie. Premierem nie jest już p. Wilson, a p. Heath, konserwatysta. Oraz nastało odprężenie. Rząd p. Heath'a, jak

każdy normalny rząd w Europie, nagle się więc zakochał w ustroju ludowo-socjalistycznym (za granicą oczywiście). Po raz pierwszy w historii Jej Królewska Mość zaprosiła sowieckiego ambasadora na pokoje Windsoru z dinerem, noclegiem i breakfastem. Zapomniano wzajemnie o 105 szpiegach hurtem wyrzuconych w 71 roku, ba, wydalono już nawet kilku nowych, ale dyskretnie, bez szumu, aby nie psuć atmosfery. Drzwi „10 Downing Street" otworzyły się nawet przed ministrem spraw zagranicznych Czechosłowacji, a eksperci Foreign Office odwiedzili Pragę, aby ustalić jak — nie brudząc sobie zbytnio rąk — uściskać Husaka. Każdy ma taki rząd na jaki zasługuje, powiedział Heath, a handlować trzeba.

P. Wilson jest teraz szefem opozycji Jej Królewskiej Mości, co jest zajęciem zaszczytnym. Jest dobrą tradycją Wielkiej Brytanii że taki szef interesuje się polityką, że się go dopuszcza do niektórych tajemnic państwowych, że jeździ po świecie na paszporcie dyplomatycznym. Ponieważ Anglia jest krajem demokratycznym, a dzisiejszy szef opozycji może być jutro premierem, więc jest on traktowany poważnie także poza Anglią i przyjmowany bywa przez możnych tego świata. To wszystko nie oznacza naturalnie, że szef opozycji uprawia tę samą politykę, co rząd. Z reguły bywa nawet inaczej...

Wilson o tym wszystkim wie lepiej ode mnie. Nic dziwnego, że z prawa uprawiania polityki korzysta. Jak odprężenie, to odprężenie, i opozycja nie może stać na uboczu. Pojedziemy w paszczę lwa, zobaczymy co i jak.

Pan może myśli, że Wilson pojechał do Moskwy, albo, ja wiem, do Rumunii, czy choćby do Warszawy, gdzie się zmienił garnitur. Nie, Wilson pojechał do Pragi, tej czeskiej. A po co pojechał? Aby złożyć oświadczenie. Jakie oświadczenie? Ważne oświadczenie, w imieniu opozycji, oraz byłego, a może i przyszłego, premiera Wielkiej Brytanii. W Starym Smokovcu, miejscowości znanej narciarzom i przemytnikom, Wilson oświadczył: „To co się stało w 1968 roku skończyło się, należy do przeszłości, powinniśmy ściśle współpracować aby usunąć pozostałości ostatniej wojny..."

Nie trzeba dodawać, że takie oświadczenie zjednało p. Wilsonowi serca całej władzy czechosłowackiej i, że — tak jak to się stało z ambasadorem ZSSR w Windsorze — otworzyło ono przed szefem opozycji angielskiej bramy zamku hradczyńskiego. Bez spania i śniadania, ale przyjął go sam Husak, choć — jak to dumnie podkreślono w otoczeniu Wilsona — niesłychanie rzadko przyjmuje on (Husak) zachodnich mężów stanu. Tak po prawdzie, to po prostu nie ma on okazji, ale niech im będzie. Prasa czeska nadała w każdym razie wizycie Wilsona świąteczną oprawę, a TV odważyła się nawet nadać z nim wywiad i to „na żywo". Oszołomiony wynurzeniami angielskiego szefa opozycji i przyszłego, być może, premiera, Husak oświadczył, w kilka dni później, że „Czechosłowacja przeżywa spokojne, a nawet słoneczne dni".

Wilson miał jednak przeżyć mniej słoneczne dni. Jego oświadczenie złożone w sercu Tatr wywołało ogromne echo nad Tamizą. Prasa zajazgotała (ech, szakale), odezwał się parlament. Zabrakło tam Churchilla (oczywiście, że się sypnąłem, miał w 1938 roku rzeczywiście 64 lata, ale przyzna Pan, że jak na swój wiek, to był on bardzo młody), znaleźli się jednak inni. Jeden z nich słodko zapytał, czy premier, broń Boże, nosi się może z zamiarem odbycia jakichś podróży zagranicznych. Premier na to, że nie, a dlaczego? A bo, chcielibyśmy, aby Pan Premier uniknął błędów szefa opozycji i aby nie powtórzył jego opinii o pewnych wydarzeniach z przeszłości. Naonczas zerwał się Wilson jak oparzony i wykrzyknął, że jego uwagi są „wyrywane z kontekstu" i że w istocie nie wyraził on niczego innego niż oficjalną politykę zagraniczną rządu brytyjskiego. A, przepraszam, powiedział tedy Heath, po czym godnie się podniósł oraz sucho zakomunikował Izbie, że „Premier akceptuje tylko takie wizyty, które pozostają w interesie Państwa" i że „w żadnym wypadku, angielska polityka zagraniczna nie polega na przenoszeniu w niepamięć ani wydarzeń z 1968 roku, ani z roku 1948 czy 1938...".

Wilson zachował się więc jak ten facet z dowcipu. Rzecz się dzieje w paryskim metro w czasie okupacji. Oficer Wehrmachtu nastąpił na odcisk pięknej damie, która mu dała w pysk. Ale leutnant szarmancki, więc zasalutował, przeprosił oraz zaprosił damę na kolację, a zaproszenie zostało z zadowoleniem przyjęte. Aliści, stał obok pewien pan o niefrancuskim wyglądzie, który widząc scenę, a nie słysząc słów, podskoczył i też strzelił oficera w zęby. Kiedy się na gestapo ocknął i został zapytany dlaczego tak dziwnie i nieostrożnie się zachował, odpowiedział: „Jak zobaczyłem że go ona leje, to pomyślałem, że się wojna skończyła, i że już można".

Wilson się pomylił, Wilson nie jest piękną damą. Dla opozycji i dla jej szefa, ta wojna się nie skończyła. A przynajmniej nie powinna była skończyć. Oburzenie opinii angielskiej było więc uzasadnione. Aczkolwiek bowiem Anglia ma najstarsze tradycje w zdradzaniu Czechosłowacji, to Wilson poszedł jednak za daleko. Żaden mianowicie polityk brytyjski, ani w 38, ani w 48 ani w 68, ani między tymi datami, nie chwalił agresora, nie kazał go kochać, a przede wszystkim nie robił tego u Czechosłowaków w domu. Jak to ktoś obrazowo wyraził się w Londynie: Judasz Chrystusa pocałował, Wilson Czechom napluł w twarz.

Heath był grzeczniejszy i tak ostro się nie wyrażał. Opowiedział jedynie, w czasie przerwy na herbatę, Wilsonowi dowcip o pewnej brzydkiej żonie, którą mąż złapał *in flagranti* w łóżku z jakimś obcym jegomościem: „Nie rozumiem Pana — zdziwił się zaskoczony mąż — ja to muszę, ale pan?!".

Nie wiadomo na pewno czy p. Wilson przejdzie do historii. Jeżeli jednak tam trafi, to z dwóch powodów. Przede wszystkim dlatego, że był to pierwszy działacz socjaldemokratyczny (i to jaki — wiceprzewodniczący międzynarodówki socjalistycznej), który pojechał do Pragi i nawet nie wspomniał o aresztowanych socjalistach czy komunistach dubczekowskich, a interesował się jedynie — i to po terminie, bo inni już to załatwili przed nim — losem pewnego pastora, Anglika naturalnie, siedzącego w tiurmie praskiej za przemyt wywrotowej bibuły, biblii mianowicie. Po drugie dlatego, że ten sam szef opozycji brytyjskiej, który uznał, iż należy przebaczyć i zapomnieć, a następnie jak najszybciej zbliżyć się do kraju o tak rozwiniętej demokracji jak Czechosłowacja, był i jest nadal zdecydowanie przeciwny zdradzieckiej decyzji Heath'a przyłączenia się do wspólnoty zachodnio-europejskiej.

„Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz". O tym pierwszym wierszu „Roty" Słonimski kiedyś wyraził się — że jest to za mało jak na ambitny program polityczny. Byłoby dobrze, gdyby jedno zdanie Wilsona okazało się wystarczająco zgubne dla programu wyborczego Labour Party, tak aby przez dłuższy czas nie nadchodziły dla niej dni słoneczne ani spokojne.

Ale, proszę Pana, nie ma co się łudzić.

„Le Monde": „A czy Polska oddycha swobodniej?"

Szanowny Panie. Pretensjonalna i krótkowzroczna Europa też myślała, że nadchodzą dla niej dni słoneczne i spokojne. O tym, że się myli i dlaczego, pisałem z goryczą w majowym felietonie. Nie wiem, czy już go Pan czytał, nie wiem jak kursuje i dochodzi do was *Kultura*, w każdym razie Pański list pisany był w kwietniu, nie mógł więc, nawet przy Pańskiej inteligencji, uwzględniać felietonu majowego. Ale mimo tego, Pańska uwaga o bardziej niż kiedykolwiek aktualnym charakterze losu „smutnych typów" ze wschodu — pasuje jak ulał.

Jeżeli Ameryka — uprzedzałem przed miesiącem — zdecydowała się po raz pierwszy w swej historii, zakończyć wojnę w Wietnamie bez militarnego i politycznego zwycięstwa, to uczyniła tak nie w wyniku nacisku premiera szwedzkiego Palme, a w swoim własnym interesie. Jeżeli, dodałem, Nixon ogłasza rok 1973 „Rokiem Europy", to nie ma na myśli czegoś w rodzaju „Dni Łowicza" czy „Warszawskiej jesieni", a ostrą rozprawę z groźnym konkurentem. Nie po to bowiem USA poddały tyły w Wietnamie, aby je odkryć w Europie.

Na zasłonięcie amerykańskich tyłów nie trzeba było długo czekać. Nixon, jakby czytał *Kulturę*, wygłosił wielkie, ponad 200 stronicowe, orędzie „o stanie świata". Kissinger skromniej — to jeszcze nie prezydent a tylko doradca — na kilkudziesięciu stronicach wyłożył nowe zasady sojuszu atlantyckich demokracji. Nie tu miejsce na przenikliwą analizę tych tekstów. Powiedzmy tylko krótko, że wynikają z nich dwa wnioski.

Po pierwsze, USA wyrażają zdecydowaną awersję wobec regionalnych ugrupowań gospodarczych. Mówiąc prosto, USA nie godzą się na stosowanie (przez innych) protekcjonizmu w gos-

podarce, w EWG przede wszystkim. Jak liberalizm to równe prawa dla wszystkich. Otwierajcie więc granice, bo jak nie... Bo co? A no właśnie, Nixon mówi albo — albo. Albo wolny handel, to znaczy swobodny dostęp dla amerykańskich towarów na europejski rynek, wspólne ratowanie dolara, bilansu płatniczego i przejęcie kosztów utrzymania amerykańskich wojsk w Europie, albo, zabieramy się do domu czyli wycofujemy nasz parasol atomowy i martwcie się sami o resztę.

Po drugie — to już wyłożył Kissinger — sojusz atlantycki należy poddać kuracji odmładzającej, zrobić go bardziej sexy. Ale, uwaga! jest to zabieg nieprzyjemny. Wychodzi bowiem z diagnozy o istnieniu na świecie dwóch bloków z tym, że każdy z nich poddany jest hegemonii jednego super-mocarstwa.

Że kraje socjalistyczne nie mają w Moskwie nic do gadania, o tym Europa Zachodnia dobrze wiedziała i nie tylko akceptowała, ale nawet popierała, ot choćby po to, aby uniknąć nowych denerwujących Dubczeków itp. O tym jednak że jej samej — tej wielkiej Europie Zachodniej — przypadnie rola milczącego satelity, a przepraszam, to być nie powinno. Może i nie powinno, ale tak jest. Nie wystarczy bowiem uprawiać wspólnej buchalterii, trzeba jeszcze — jeżeli chce się coś znaczyć dziś na świecie — mieć coś wspólnego do powiedzenia w polityce, i mieć środki realizacji tego „coś". O tym cyrku europejskim wieszczo pisałem już przed miesiącem. Dziś więc tylko, dla Pana specjalnie, o najdziwniejszym skutku pojawienia się amerykańskiego cienia nad Europą Zachodnią. Polały się tu mianowicie łzy rzęsiste nad losem „facetów ze wschodu".

Słusznie, powiadają w Paryżu (bo o nich tu dziś chodzi), że p. Nixon tak się cieszy z postępów w odprężeniu i w naprawie stosunków z ZSSR. To myśmy przecież byli pierwsi w przebijaniu murów i topieniu lodów, mamy więc powody do satysfakcji. Ale, dodają nad Sekwaną, radość nasza niepełna, albowiem wschód jest ciągle smutny. Serce nasze łka, albowiem, miłując Rosjan, zapomnieliście (wy, to znaczy Amerykanie), o uciskanych Polakach, Czechach, Węgrach...

Najbardziej wzruszająco wyraziła to gazeta *Le Monde*. Na najlepszym miejscu, na 1 stronie, we wstępniaku pisze ona:

„Wielkie zasady zbliżenia Wschód-Zachód: 'nie mieszanie się w cudze sprawy', ‚niezależność narodów' etc. pozostają nienaruszalne. Ale dla Europy, a zwłaszcza dla Francji, 'odprężenie' zawsze oznaczało coś więcej: otwarcie jednych wobec drugich, liberalizację i humanizację ustrojów politycznych. Otóż trzeba stwierdzić, że Stany Zjednoczone, które na szczęście nie krępowały się aby interweniować, i to ze skutkiem, na rzecz Żydów sowieckich, wykazują znacznie mniej gorliwości, kiedy chodzi o obywateli uciskanych przez mniej potężnych partnerów. Czechosłowacja ciągle przecież przeżywa czarne godziny ucisku i represji. W Belgradzie... osobistości jak najbardziej godne szacunku, patrioci bez skazy, są ofiarami prześladowań polityczno-sądowych

pod zarzutem 'tendencji separatystycznych'. A czy Polska pana Gierka oddycha swobodniej? Ba, chciałoby się wierzyć... Chciałoby się także wierzyć, że odprężenie nie sprowadza się jedynie do owocnej współpracy pomiędzy Państwami, tymi, jak je nazwał Nietzsche, 'zimnymi monstrami', ale że oznacza ono... nieco mniej smutku, mniej prześladowań, mniej 'krat dla prostego człowieka' we wszystkich krajach..."

Choć może sam Pan zwrócił uwagę na tę perłę publicystyki, powtórzyłem dokładnie, z szacunkiem dla wszystkich cudzysłowów, podstawowy fragment ze wstępniaka *Le Monde*'u. Poświęcam mu tyle uwagi, bo jest on niezwykle charakterystyczny dla hipokryzji, która — moim zdaniem — jest ostatnim ludzkim uczuciem do jakiego Zachód jest zdolny wobec „ciemnych typów" ze wschodu.

Cóż bowiem, proszę Pana, wynika z tych wywodów. Oto kilka refleksji, ich kolejność jest oczywiście przypadkowa.

Po pierwsze, jeżeli dla *Monde*'u wielkie zasady „nie mieszania się" pozostają absolutnie święte, to jak chce *Le Monde* sprawić, aby zmalał smutek i znikły „kraty dla prostego człowieka"? Breżniew ma się pokajać, pójść do spowiedzi? Tak sam od siebie, po prostu? Przecież jedyny przykład jaki *Le Monde* przytacza — to znaczy emigracja Żydów sowieckich — jest właśnie klasycznym przykładem ingerencji z zewnątrz w wewnętrzne sprawy ZSSR. Gdyby nie presja Kongresu, gdyby nie zwyczajny szantaż uzależniający przyznanie Rosji klauzuli najwyższego uprzywilejowania czyli ulg celnych, od zaniechania haraczu nakładanego na żydowskich intelektualistów, to nigdy by Rosja z tych haniebnych „krat" nie zrezygnowała. Nieważne, że być może cały ten haracz tylko dlatego został wymyślony, aby było z czego w razie właśnie takich presji rezygnować. Ważne, że sam Breżniew potwierdził skuteczność i legitymizm ingerencji amerykańskiej, zawiadamiając dwukrotnie Biały Dom o zawieszeniu haraczu i przekonując delegację senatu USA, że nic już nie powinno mącić przyjaźni.

Po drugie, co to znaczy, że odprężenie oznaczało dla Francji „coś więcej"? Co więcej? Kto pierwszy nazwał inwazję Czechosłowacji *accident de parcours?* Kiedy to Francja nalegała na „liberalizację i humanizację ustrojów politycznych"? Czy w czasie licznych spotkań de Gaulle'a i Pompidou z Breżniewem, Gierkiem itd.? Czy chciała swe humanizacyjne tendencje, to „coś więcej" wyrazić deportując lub obstawiając policją demokratycznych emigrantów politycznych na czas wizyty szefów ZSSR czy PRL w Paryżu?

Po trzecie, pisząc o interwencji USA na rzecz Żydów sowieckich, *Le Monde* wyraża żal, że nie interweniowały one w sprawie „prześladowanych obywateli mniej potężnych partnerów". Postaram się wyjaśnić ten fragment. Otóż, USA interweniowały w sprawie Żydów w Rosji, albowiem sprawili to sami Żydzi. Nie, proszę *Monde*'u, nie Żydzi z Ameryki, choć i to prawda, ale

przede wszystkim Żydzi z Rosji. To oni, a nie Francja, domagają się „humanizacji ustrojów politycznych" i szacunku dla prawa, a czynią to ryzykując własną, a nie redaktorów *Monde*'u skórą. Kto broni uciskanym Polakom czy Czechom domagać się interwencji Kongresu, kto broni przepotężnej Polonii amerykańskiej naciskać na Nixona z taką siłą z jaką zrobili to najpierw Żydzi z Rosji, a potem Żydzi z Ameryki, aby uzależnił on sprzedaż rafinerii, zakup wódki czy szynki, nie od wypuszczenia Żydów, bo to już mamy z głowy, a np. od ułaskawienia braci Kowalczyków czy zwolnienia tak absurdalnie haniebnie skazanych braci Czumów? Żydzi nie urządzają masowych wycieczek do ZSSR, a jeżeli robią interesy z ZSSR (a to jest prawda także), to nie za cenę milczenia. Trzeba zrozumieć nareszcie, że to nie Żydzi amerykańscy a Żydzi sowieccy wygrali wojnę z całą potęgą Związku Sowieckiego i że gdyby nie taka właśnie postawa, to żaden Kongres amerykański, ani *Le Monde* za nimi by się nie ujęli. Ktokolwiek mówi co innego, to zwyczajnie, delikatnie mówiąc, zawraca głowę.

Tak jak to właśnie — po czwarte i ostatnie — uczynił *Le Monde*. Pismo, które tak bardzo żali się, że Nixon z Kissingerem sprzedali cierpiących Polaków, Czechów itp. „obywateli prześladowanych przez słabych partnerów", odmówiło mianowicie wydrukowania choćby jednego głosu polemizującego z tekstem wywiadu, w którym p. Gierek, dostojny gość Francji, wykreślił marzec 1968 i w ogóle cały 1968 z nowożytnej historii Polski. I to mimo, że listów tych redakcja otrzymała sporo, że chodziło w nich właśnie „o prześladowanych obywateli słabszych partnerów". Nie muszę dodawać, iż co najmniej jeden z tych listów bardzo wyraźnie wskazywał, że nie chodzi tylko o Żydów, którzy „z własnej, według p. Gierka, woli opuścili Polskę", ale o Polaków, jak to wykazał epilog z grudnia 1970 roku.

Zapyta Pan zapewne dlaczego tak dużo piszę o *Le Monde*. Odpowiem, że dlatego, bo ta gazeta cieszy się na wschodzie znacznie większym autorytetem niż na zachodzie, że uchodzi u was za biblię, za wzór dziennika (co jest prawdą) i za wzór obiektywizmu (co nie jest prawdą). *Le Monde* jest dla was wszystkich wyrocznią, i dlatego jego niektóre twierdzenia a także i przemilczenia są szkodliwe.

Mniejsza o powody, dla których redaktor *Le Monde* postanowił nie „obalać krat dla prostych ludzi" w Polsce. Były to powody tak śmieszne, że nie warto o nich mówić, bo król okazałby się za nagi. Tylko więc kilka słów na zakończenie.

Pan zapewne regularnie czytuje Kisiela, którego niektóre przynajmniej felietony, jak i niektóre inne pozycje (Słonimski, Kijowski) z ostatniej strony *Tygodnika Powszechnego* stanowią potężny szaniec zdrowego rozsądku w PRL. Otóż, jak mi o tym ze względu na me stare koneksje doniesiono z Warszawy, Kisiel w jednym ze swych felietonów napisał, że *Le Monde* drażni go już prawie tak samo jak *Życie Warszawy*. Nie wiem o co poszło, nie czytuję już *Życia*. Ale chciałbym aby przekazał Pan Kisielowi, wraz z wyrazami zawiści, ten dowcip o zdradzonym mężu brzydkiej żony. Proszę Kisiela: *Le Monde* nie musi...

Szanowny Panie, nie wiem co Pan o tym wszystkim myśli, ale, znając Pański temperament, wiem że mi Pan odpowie.

Ściskam dłoń.

BRUKSELCZYK

Pisane 9 maja 1973 r.

P.S. Pisze Pan w swoim liście: „Nie podobał mi się artykuł o Olimpiadzie. Dlaczego to nie ma być Olimpiady? Tylko dlatego, że paru Arabom się tak zachciało?". Nieporozumienie. Po pierwsze, nie napisałem, że nie ma być Olimpiad, napisałem, że nie ma być olimpiad cynicznych handlarzy i prymitywnych politykierów. Po drugie, jeżeli uważałem, że należało przerwać igrzyska (ciągle tak uważam), to nie dlatego, że paru Arabów tak chce, a dlatego, że polała się krew ludzka. Nie, nie tylko dlatego, że żydowska, a krew w ogóle. Gdyby komando chorwackie zamordowało jedenastu Serbów, albo komando irlandzkie jedenastu Anglików, albo nie wiem jakie zwariowane inne komando zabiło jedenastu lekkoatletów polskich, to też bym napisał, że popełniono zbrodnię i że na mokrej od krwi murawie nie należy strzelać goli.

Albowiem dla mnie, ciągle jeszcze — i wbrew temu czego mnie uczono w latach 68-69 w Warszawie — liczy się nie ta krew co cieknie w żyłach, a liczy się krew przelana...

B.

NOWOŚĆ

WITOLD L. LANGROD

„LUDZIE, FETYSZE I KARTKI DO GŁOSOWANIA"

(Pamiętnik z Togo)

OFICYNA POETÓW I MALARZY
146, BRIDGE ARCH, SUTTON WALK, LONDON S.E.1.

181 stron i 15 ilustracyj
Cena 7 dolarów = 37 frs.

Do nabycia u wydawcy i w księgarniach polskich.

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

I tym razem — ponownie — muszę zacząć swój przegląd od święta. Zresztą już 40 lat temu wódz postępowej ludzkości subtelnie zauważył: „Żyć stało się lepiej, życie stało się weselsze". Nie wiem na ile lepsze, ale w każdym razie w pewnym sensie znacznie weselsze. Kwiecień i maj to świąteczne i wesołe miesiące dla Leonida Breżniewa.

„Głębokie zadowolenie" — pod takim tytułem przez całą pierwszą stronę *Izwiestia* (z 6 maja bież. roku) opublikowały artykuły pełne prawdziwej satysfakcji z powodu odznaczenia Leonida Iljicza Leninowską Nagrodą Pokoju. Artykuły te nadeszły do pisma ze wszystkich stron kuli ziemskiej, od wszystkich wielbicieli Breżniewa, którzy — jak się okazuje — istnieją na całym świecie. Święto. Albo — jak to określił zastępca naczelnego redaktora praskiego *Rudego Prawa* Zdenek Gorżeni — chwila „kiedy człowiekowi jest jasno na duszy...". Jasno było na duszy Czechom i Słowakom gdy przyjechał do nich Breżniew. Jasno na duszy całej ludzkości, gdyż Breżniew otrzymał wielką nagrodę.

W prasie sowieckiej co prawda nie wspomina się, że taką samą leninowską nagrodę pokoju — otrzymał już raz pierwszy sekretarz KC KPZS, i to także w przededniu wyjazdu do USA. Ale miało to miejsce w 1959 roku a sekretarzem był wtedy Nikita Siergiejewicz Chruszczow.

Jeśli jednak można mieć wątpliwości co do radości całego świata, to niewątpliwie Leonid Breżniew osobiście ma wszystkie dane aby się z tej nagrody cieszyć.

Plenum KC, które miało miejsce w kwietniu bież. roku, zaaprobowało politykę generalnego sekretarza i usunęło ze składu Politbiura dwóch jego poważnych przeciwników: Szelesta i Woronowa. Jak zwykle — i to już nikogo nie dziwi — nie powiedziano prawdy o zmianach w Politbiurze. W komunikacie podano, że Szelest i Woronow „przeszli na emeryturę". Przejście na emeryturę Szelesta, który skończył 64 lata i Woronowa, który

ma 62, byłoby niewątpliwie zrozumiałe, gdyby skład Politbiura znacznie się odmłodził. Ale na miejsce wyrzuconych przyszedł m.in. 70-letni Greczko, w składzie najwyższego sowieckiego organu władzy pozostał Arwid Pelsze, który skończył 74 lata, nie mówiąc już o tym, że i Breżniew, Kosygin i Podgorny są starsi od „przeniesionych na emeryturę". Można przypuszczać, że Woronow — kreatura Chruszczowa — który zrobił karierę jako „specjalista od hodowli owiec" nie miał poważniejszego poparcia w wyższych kręgach partyjnych i wyrzucenie go było łatwe. Z Szelestem sprawa była bardziej skomplikowana. Już od ub. roku rozpowszechniano pogłoski, że były I sekretarz ukraińskiej kompartii, wykorzystując nieobecność Breżniewa, zmusił Politbiuro do decyzji w sprawie interwencji w Czechosłowacji. No, ale te pogłoski były rozpowszechniane głównie dla korespondentów zagranicznych. Dla potrzeb wewnętrznych użyto bardziej poważnych oskarżeń. W kwietniowym numerze kijowskiego pisma *Kommunist Ukrainy* Szelesta napiętnowano za najgorsze dla komunisty (jeśli nie jest on Rosjaninem) przestępstwo: za nacjopartii, tj. Ukrainie, i przez cały ten czas prowadził gwałtowną walkę z liberalizmem i ze wszelkimi przejawami nawet najbardziej umiarkowanego nacjonalizmu. I nagle okazało się, że jest dziej umiarkowanego nacjonalizmu. I nagle okazał[illegible]ię, że jest on nacjonalistą, że w swojej książce „O! Nasza Sowiecka Ukraina" nie tylko ignoruje „sprzeczności istniejące w kapitalizmie", ale że — co jest bez porównania gorsze — idealizuje pseudodemokrację zaporoskiej Siczy i — główne przestępstwo! — przemilcza rolę Rosji, a potem ZSSR w historii rozwoju Ukrainy. Zapomina o tym, że to właśnie Rosja „uwolniła Ukrainę od obcej, tj. polskiej, niewoli". I aby definitywnie dobić byłego I sekretarza ukraińskiej kompartii oskarżono go o to, że w swej książce nie napisał ani słowa o „ogromnej pomocy okazanej ukraińskim komunistom przez Włodzimierza Iljicza Lenina". Po tym wszystkim zostało tylko jedno: przenieść Szelesta „na emeryturę" — co i zrobiono.

Miejsca wyrzuconych zajęli minister Obrony, marszałek Greczko, Minister Spraw Zagranicznych — Gromyko i przewodniczący Komitetu Bezpieczeństwa — Andropow. Po raz pierwszy od śmierci Berii szef tajnej policji wszedł w skład najwyższego organu kierującego krajem. Trudno bardziej wyraźnie oświadczyć, że zacieśnianiu związków z Zachodem, będzie towarzyszyć „umocnienie dyscypliny" wewnątrz kraju.

W składzie Politbiura nie było zmian od czasu usunięcia Chruszczowa w październiku 1964 roku. Obecne zmiany — i to jest niewątpliwe — umacniają pozycję Breżniewa, może on teraz bez obawy nie tylko realizować swoją politykę zbliżenia z USA, ale i spokojnie pojechać w odwiedziny do prezydenta Nixona, nie obawiając się o swoje krzesło. Nie należy jednak zapominać, że nawet Stalin nie był wieczny. Breżniew ma 67 lat i powstaje pytanie: a co potem?

Zbigniew Brzeziński w artykule „Kto będzie następcą Breżniewa?" — napisanym przed ostatnimi zmianami w Politbiurze, (*New Leader* z 19. 3. 1973) — posługując się wypracowaną przez siebie metodą — stwierdził, że jego zdaniem pozwala ona już dzisiaj ustalić przyszłego następcę. Prof. Brzeziński przypomina, że w połowie lat pięćdziesiątych wymienił Breżniewa w liczbie dwóch młodych działaczy partyjnych, na których należy zwrócić uwagę, a na samym początku lat sześćdziesiątych wymienił właśnie Breżniewa, jako najbardziej prawdopodobnego kandydata na najwyższe stnowisko. Metoda Zbigniewa Brzezińskiego składa się z pięciu punktów: 1) przyszły wódz wyłoni się z samej najwyższej czołówki partyjnej hierarchii tj. ze składu Politbiura i sekretariatu KC; 2) będzie on niewątpliwie o 10-12 lat młodszy od swego poprzednika; 3) będzie najprawdopodobniej Rosjaninem, lub zrusyfikowanym Słowianinem; 4) będzie człowiekiem łączącym zdolności polityczne z doświadczeniem w pracy w aparacie partyjnym; 5) w wypadku jeśli zmiana władzy nastąpi bez wstrząsów, przyszłym wodzem będzie ten, kto dysponuje najbardziej wpływowym stanowiskiem, a w wypadku poważnych politycznych niepowodzeń obecnego kierownictwa, przyszłym wodzem będzie ten, kto ubocznie i ostrożnie potrafił wyrazić swoją odrębną opinię.

Stosując tę metodę przy analizie biografii i charakterów członków góry sowieckiej hierarchii partyjnej prof. Brzeziński wytypował jako „faworytów" na stanowisko generalnego sekretarza KC Fiedora Kułakowa i Iwana Kapitonowa, a na stanowisko premiera Kiriłła Mazurowa, i Dymitria Polijańskiego. W wypadku jeśli Leonid Breżniew jeszcze przez dłuższy czas zachowa swoją władzę, najwięcej szans na zajęcie miejsca po nim ma — zdaniem prof. Brzezińskiego — Konstantin Katuszew.

Zmiany w składzie Politbiura, przeprowadzone w kwietniu, prawie niczego nie zmieniają w tej prognozie. Co prawda prof. Brzeziński, rozpatrując szanse Jurija Andropowa, zaznaczył że jest „tylko kandydatem na członka Politbiura". Teraz został on członkiem Politbiura. Możliwe, że będzie działał i inny „mankament": „stanowisko, które zajmuje — szef tajnej policji — czyni go podejrzanym w oczach kolegów". Do składu Politbiura w charakterze zastępcy członka wprowadzono także sekretarza leningradzkiego obwodowego komitetu Partii, Grigorija Romanowa, który, jak na kierowników sowieckich, jest młody, ma bowiem tylko 50 lat. A więc w ten sposób i on także znajduje się w liczbie „pretendentów". Ale to wszystko są spekulacje i rozważania przyszłości. Tymczasem Leonid Breżniew czuje się znakomicie i ze wszystkich sił organizuje kolejny — swój własny — „kult jednostki". Mówi się, że nie ma nic nowego pod słońcem, ale formuły organizujące kult sowieckich wodzów są na tyle zużyte, że zdawałoby się, iż po Stalinie, po Chruszczowie — wstyd ich używać. Nic podobnego. Znowu wystąpienia kończą się słowami: „pod kierownictwem Politbiura i *osobistym* towarzysza Breżniewa". Pierwszomajowe wystąpienie Breżniewa trwało 17 minut, ale w *Prawdzie* tekst przemówienia 11 razy był przerywany odnośnikiem: „Burzliwe, długotrwałe oklaski"; portrety członków Politbiura nie są już zamieszczane w porządku alfabetycznym — na pierwszym miejscu jest Breżniew. Cały ten bizantyjski ceremoniał w Związku Sowieckim jest przez wszystkich bezbłędnie odczytywany: pojawił się nowy wódz. Jego polityka, nie wywołująca obecnie sprzeciwów Politbiura, staje się własnością mas społecznych. Prasę sowiecką nagle jakby przełamało. *Prawda* zamieściła 12 (!) reportaży o Stanach Zjednoczonych, w których z zachwytem opisuje się indywidualne amerykańskie domy, komfort, szybką obsługę w restauracjach, świetne autostrady, gościnność mieszkańców. Znikła nagle Ameryka głodujących robotników, linczowanych Murzynów, faszystów w rządzie. *Litieraturnaja Gazieta* zamieszcza artykuł pod filuternym tytułem „Pepsi-cola? Można spróbować". Już w 1974 roku zakłady w Nowosybirsku zaczną produkować 20 milionów litrów orzeźwiającego napoju Pepsi-cola, którego koncentrat dostarczy USA. W artykule wyjaśnia się, że nie tylko obywatele sowieccy będą mieli przyjemność — jeśli napój się im spodoba będzie się go produkować w jeszcze większej ilości — ale cieszyć się będą również i Amerykanie. Nie właściciele Pepsi-cole, ale prosty amerykański obywatel. Okazuje się, że umowa o Pepsi-cola jest wygodna dla obu stron. Związek Sowiecki otrzymuje „orzeźwiający napój" w zamian za znaną w całym świecie rosyjską wódkę, którą Amerykanie znają tylko z nazwy (ich własna nazywa się Smirnoff). Z *Izwiestii* można się dowiedzieć, że został podpisany „największy w historii sowiecko-amerykańskich stosunków kontrakt handlowy". Pismo ocenia jego rozmiary na 8 miliardów dolarów. Ale tym razem, w przeciwieństwie do układu wódka-Pepsi-cola, pismo sowieckie nie precyzuje szczegółów kontraktu, który przewiduje dostawę do Związku Sowieckiego czterech zakładów nawozów sztucznych w zamian za gotową produkcję.

Hałaśliwa propaganda wokół „rozszerzenia", „pogłębienia", „rozwoju" sowiecko-amerykańskich stosunków handlowych jest prowadzona pod ścisłą kontrolą. Zadaniem propagandy jest stworzenie wrażenia, że realizuje się, lub będzie się realizowało, wymianę między równymi partnerami, aby nie pozwolić czytelnikom na zorientowanie się w polityce nastawionej na przekształcenie na długie lata Związku Sowieckiego w surowcową bazę USA. „Po wschodzącej" — taki tytuł ma artykuł O. Stroganowa, zamieszczony w *Izwiestiach* (z 25 kwietnia bież. roku) udowadniający, że Związek Sowiecki rozwija się „po wschodzącej linii". „Już drugi rok Związek Sowiecki jest największym w świecie producentem stali. Ze 126 milionami ton wyprodukowanych w 1972 roku wyprzedził znów USA, gdzie w tym samym czasie wyprodukowano 120 i pół miliona ton". Już w 1968 roku akademik Sacharow pisał w swoich znakomitych „Rozmyślaniach": „Doganiamy USA jedynie w niektórych starych 'tradycyjnych' działach, które w dużym stopniu straciły dla USA większe znaczenie (czarna metalurgia i in.)". Widocznie poza osiągnięciami

w dziedzinie metalurgii soweccy propagandyści nie mogą przeciwstawić niczego sukcesom przodujących krajów Zachodu.

Nie można jednak powiedzieć, aby niczego się nie robiło dla poprawienia sytuacji, dla wyjścia z kryzysu. W poprzednim przeglądzie pisałem o kolejnej „rekonstrukcji" aparatu: centralizacji — decentralizacji, koncentracji i rozdrobnieniu. W kwietniowym numerze pisma *Płanowoje Choziajstwo* zamieszczono artykuł o przygotowaniu zmian bardziej zasadniczych. Po raz pierwszy o przyszłej reformie rejonizacji ekonomicznej mówił Breżniew w grudniu 1972 roku w przemówieniu poświęconym 50-leciu ZSSR. Obecnie — oświadczył generalny Sekretarz — kiedy wszystkie republiki osiągnęły mniej więcej jednakowy poziom rozwoju, w przyszłym planie piętnastoletnim należy w pierwszym rzędzie brać pod uwagę interesy kraju jako całości, a nie interesy poszczególnych republik. Z artykułu w *Płanowym Choziajstwie* wynika, że projekt reformy jest już poważnie zaawansowany. Przewiduje się rozbicie 15 istniejących republik sowieckich na 7 planowych rejonów, bez zwracania uwagi na narodowe granice republik. Wysuwa się argumenty dla uzasadnienia celowości reformy gospodarczej. Nie należy jednak wątpić, że w tym projekcie polityczne zamiary grają również dużą rolę. Nowa rejonizacja jednym uderzeniem zniszczy wszystkie nadzieje na samodzielny rozwój republik, a przede wszystkim Ukrainy i krajów bałtyckich. Projekt przewiduje np., że wszystkie republiki bałtyckie, Białoruś, leningradzki i moskiewski obwód stworzą jeden rejon północno-centralny. Do południowego rejonu wejdą: Mołdawia, Ukraina, Gruzja, Armenia, i północno-kaukaski obwód RSFSR. Ponadto będzie stworzony rejon wołgo-uralski, kazachstański, środkowo-azjatycki, do którego wejdą wszystkie środkowo-azjatyckie republiki z wyjątkiem Kazachstanu (już zupełnie zrusyfikowanego) i daleko-wschodni.

Może właśnie w *tym* kontekście należy rozpatrywać zmiany na czołowych stanowiskach w republikach — szczególnie w Armenii. W ostatnich miesiącach kadry armeńskiego kierownictwa zostały znacznie zrusyfikowane: Arkadij Ragozin objął stanowisko przewodniczącego Komitetu Bezpieczeństwa, Rosjanin — Paweł Anisimow — stanowisko drugiego sekretarza KC, którym zawsze był Ormianin.

Za inną formę rusyfikacji można uważać zmiany nazw rejonów, miast, rzek i gór przeprowadzone w przyszłym dalekowschodnim rejonie. Wszystkie nazwy, które przypominały o przebywaniu tu kiedyś Chińczyków zostały starte z mapy. Osiedle Kietiuche — zostało nazwane Dalniegorskiem. Suczan — Partyzanckim, Lifudzin — Gornym itp. Zachowały swoje dawne nazwy tylko rzeki Amur i Ussuri, ale możliwe, że i na nie przyjdzie kolej.

Jak zwykle jednak zmiany w sowieckiej polityce narodowościowej widoczne są najlepiej w polityce antysemickiej. W ostatnich miesiącach jej charakter zaczął się zmieniać. Pojawianie się artykułów, mających jednakowe sformułowania w różnych gazetach i czasopismach, zawsze świadczy o zmianie dyrektyw, sumiennie przepisywanych słowo w słowo przez „dziennikarzy" i przez „uczonych". Ogromny artykuł Władimira Bieguna „Wtargnięcie bez oręża", zamieszczony w numerze 1 z 1973 roku pisma *Nieman* wychodzącego w Mińsku, zawiera zasadnicze tezy dotyczące problemu żydowskiego, zatwierdzone widocznie bardzo niedawno.

Przede wszystkim W. Biegun straszy. „Jednak im się udało..." — tak zatytułowany jest jeden z rozdziałów artykułu, poświęcony działalności „syjonistycznej agentury" w Polsce i Czechosłowacji. Bodajże jeszcze nigdy w sowieckiej prasie nie pisano tak szczegółowo o „wywrotowej działalności" syjonistów w Polsce w 1968 r. jak w tym artykule. Można z niego m.in. dowiedzieć się, że jednym z organizatorów wydarzeń marcowych w 1968 w Warszawie był „polityczny kameleon" Leopold Unger, sekretarz redakcji *Życia Warszawy*, a obecnie komentator brukselskiej gazety *Soir* i belgijski korespondent paryskich periodyków *Express* i *Kultura*, i to wszystko pod „pseudonimem Paul Matil", drugim zaś przywódcą syjonistów, który „wyprowadził na ulice Warszawy oszukaną i zdezorientowaną młodzież studencką" był — według W. Bieguna — Adam Schaff. Jeszcze dłuższy jest spis agentów syjonistycznych, którzy przygotowali „wydarzenia w Czechosłowacji", demoralizujące „uczciwych czechosłowackich komunistów i patriotów".

Te wypady w niedawną przeszłość Polski i Czechosłowacji były potrzebne W. Biegunowi dla ostrzeżenia sowieckich obywateli. Niebezpieczeństwo, które zagraża Związkowi Sowieckiemu, ściślej narodowi rosyjskiemu, polega na tym, że „agenci syjonistycznych organizacji starają się w ostatnich latach przeniknąć do Związku Sowieckiego i innych krajów socjalistycznych... Chcieliby umieścić się bezpośrednio na naszym terytorium i realizować swoje wywrotowe działanie od wewnątrz...".

Biegun twierdzi, że podobne próby miały już miejsce w przeszłości. Ma on na myśli przeszłość Rosji. Okazuje się, że już na początku XX wieku syjoniści starali się stworzyć „wyjątkowe prawa dla rosyjskiego Żydostwa, stworzyć w pewnym sensie państwo w państwie... które m.in. już istniało na przestrzeni szeregu stuleci na Białorusi, w Polsce i na Litwie".

W ostatnim numerze „naukowego" pisma *Waprosy istorii* (nr 3 z 1973 roku) Ł. Wostokow w artykule „Antynarodowa działalność syjonistów w Rosji" dosłownie powtarza główne oskarżenia W. Bieguna. „W maju 1917 roku — pisze Ł. Wostokow — syjoniści chcieli ni mniej ni więcej tylko stworzyć w ramach Rosji swoje własne państwo... plan ten miał na celu poderwanie państwowej suwerenności kraju". Ł. Wostokow pisze dalej: „Starając się przedstawić w fałszywym świetle życie Żydów w Rosji syjoniści sfarbrykowali mit o tym, że wszyscy Żydzi bez wyjątku byli prześladowani i poniżani, że zamknięte były dla nich wszystkie drogi do wykształcenia i zajmowania odpowiedzialnych stanowisk w aparacie państwowym". W rzeczywistości, dowiaduje

się sowiecki czytelnik, „byli Żydami: jeden z najbliższych doradców Mikołaja II — I. S. Bloch i urzędnik do specjalnych poruczeń przy premierze Szturmerze i F. Manasewicz-Manuiłow". Ale o tym wszystkim już pisał W. Biegun, demaskujący mit o tym, że Mikołajem II i cesarzową rządził Rasputin. W rzeczywistości Rasputinem kierował jego osobisty sekretarz Aron Simanowicz, którym kierowali najwięksi żydowscy geszefciarze...

Główną tezą sowieckiej propagandy antysemickiej jest myśl nie nowa, ale za to wypróbowana przez czas: Żydzi zniszczyli rosyjskie imperium z dwóch stron — podrywając tron i prowadząc działalność rewolucyjną. Specjalnością najnowszej kampanii antysemickiej staje się szerokie wykorzystanie rosyjskiej antysemickiej literatury z początku naszego wieku. Dopiero teraz stało się widoczne, że artykuł w *Biuletynie* sowieckiego poselstwa w Paryżu — o którym pisałem w poprzednim felietonie — za który redaktor *Biuletynu* stanął przed sądem i został skazany, artykuł którego tekst został zapożyczony z broszury niejakiego Rossowa, wydanej w 1906 roku — nie był przypadkiem.

Można przypuszczać, że w związku z narastaniem niezadowolenia w republikach narodowych, a specjalnie niezadowolenia związanego z mającymi nastąpić rewizjami granic i niezadowolenia wynikającego z pozwolenia Żydom na wyjazd ze Związku Sowieckiego, (dlaczego tylko Żydzi?!), coraz ściślejszy stanie się sojusz oficjalnej ideologii z czarnosecinną, nacjonalistyczną ideologią typu Sojuza Russkogo Naroda, — aż do ich zupełnego zespolenia.

Adam KRUCZEK

"POLONIA"

KSIĘGARNIA POLSKA W CHICAGO
2921 Milwaukee Ave., CHICAGO, Ill. 60618.

Czynna codziennie od 10-ej do 6-ej pp.
Posiada na składzie: książki i czasopisma polskie, polskie karty okolicznościowe i Dział Antykwariatu; przyjmuje książki do sprzedaży komisowej.

Skład Główny na Chicago wydawnictw Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte (pod Paryżem), m.in. paryskiej *KULTURY* i *ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH*.

Księgarnia przyjmuje prenumeraty na polskie czasopisma i wykonuje pocztowe zlecenia księgarskie.

Kraj

Ekonomiści krajowi o spożyciu w PRL

W ciągu ostatnich siedmiu lat wydane zostały w Polsce trzy książki na temat spożycia, które stanowią same w sobie, przynajmniej w dwu znaczeniach, przykład zmian w „ustawieniu się" do politycznych warunków. Pierwsze znaczenie, to podejście autora, obrazujące zamówienie społeczne, lub — szczególnie w przypadku trzeciej książki — zamówienie przez właścicieli Polski Ludowej. Drugie znaczenie, to podejście do oficjalnych statystyk i do blagi zawartej w tych statystykach. Oba te wątki przewodnie postaram się podkreślić w poniższych uwagach, opartych na owych trzech pracach.

Andrzej Hodoly

Chronologicznie pierwszą książką jest praca Andrzeja Hodoly pt. *Problemy spożycia w Polsce* (PWE, 1966, str. 387). Jest to ambitny podręcznik, raczej pedantyczny i nie odznaczający się polotem, ale obejmujący wszystkie główne problemy, które prawomyślny ekonomista uważał za wskazane omówić. Hodoly użył jedynie oficjalnych statystyk GUSu, bez najmniejszego wysiłku w kierunku niezależnego ich sprawdzenia. Tak więc politycznie praca ta wydaje się być wynikiem pełnego przechwycenia władzy przez grupę gomułkowską. Mimo to, wynikają z niej pewne interesujące fakty i szczegóły, które postaram się po krótce naświetlić w kilku punktach.

(1) Spożycie wzrastało najszybciej w okresie kiedy władza komunistyczna nie była jeszcze silnie ustabilizowana, tzn. do 1949 roku. Od 1950 roku nastąpiło silne zahamowanie tempa wzrostu spożycia.

(2) Marazm wzrostu spożycia w okresie planu sześcioletniego (1950-55) stworzył potrzebę sztucznych zapewnień o podnoszeniu się dobrobytu. Hodoly stwierdza, że „średnia płaca realna w 1955

roku była tylko o 13 % wyższa niż w 1950 roku, i to przy znacznym wpływie pracy w godzinach nadliczbowych. Był to skutek spadku płac realnych w latach 1951-1953, który nastąpił po krótkim okresie ich wzrostu" (str. 108-9). W przypisku autor tłumaczy, że wskaźnik 13 % wzrostu „korygował poprzedni szacunek GUS, według którego wzrost płac realnych w sześcioleciu miał wynosić 27,6 % (w stosunku do 1949 roku), a który wzbudzał powszechne niedowierzanie...". Należy tu dodać, że według planu, okres 1950-55 miał przynieść podniesienie stopy życiowej ludności o 55-60 % w porównaniu z 1949 rokiem, którą to cyfrę zmieniono trochę w późniejszej wersji planu na 50-60 %.

Korekta oficjalnej wersji osiągnięcia planu nie nastąpiła szybko. Hilary Minc, car gospodarki polskiej w okresie stalinowskim, bronił oficjalnej wersji przed aktywem partyjnym w grudniu 1955 roku. W lutym 1956 roku Włodzimierz Brus, znany ekonomista, ogłosił w *Życiu Warszawy* serię pięciu artykułów pod wspólnym tytułem „O płacach realnych w okresie Planu Sześcioletniego", w których bronił oficjalnych liczb jako powstałych „drogą możliwie skrupulatnych obliczeń", choć zredukował je do 26-27 % wzrostu. Przy końcu piątego artykułu redakcja *Życia Warszawy* zwróciła uwagę na dużą ilość komentarzy i pytań spowodowanych artykułami Brusa i wyraziła nadzieję, że będzie tych komentarzy więcej, ale później żadnego z nich nie wydrukowała. Mimo tej oficjalnej obrony za parawanem milczenia Brus był wyśmiewany przez ekonomistów, i w następnym swoim przyczynku do *Życia Warszawy*, w maju 1958 roku, w formie rozmowy z reporterem, dał wyraz swojemu uczuleniu na krytykę, gdy stwierdził w jednej z odpowiedzi: „Widzę, że znów jestem posądzany o lakiernictwo". Nawiasem mówiąc, cykl w którym umieszczono ten wywiad miał tytuł szczególnie udany: „Legendy i rzeczywistość". Tytuł ten długo na łamach *Życia Warszawy* nie pozostał.

Oficjalną liczbę wreszcie skorygowano, ale z umiarem. Umiar ten był nie tylko kwantytatywny — bo 13 % wzrostu płac realnych nie należy wcale przyjąć jako rzeczywiste osiągnięcie — ale i jakościowy. Tak np. Andrzej Karpiński w książce pt. *Zagadnienia socjalistycznej industrializacji Polski* (PWG, 1958) stwierdził, że „Mimo założonego w planie wzrostu płac realnych ludności o 40 %, w istocie nie osiągnięto w tym okresie odczuwalnego wzrostu płac realnych, a w porównaniu z 1950 rokiem płace realne niektórych grup ludności uległy pewnemu obniżeniu" (str. 7). Ten sam autor, w książce wydanej w sześć lat później, pt. *Twenty Years of Poland's Economic Development, 1944-1964* (Polonia Publishing House, 1964) już po prostu pominął ten niewygodny okres, prawdopodobnie aby nie osłabić zaufania do oficjalnych orzeczeń, a na pewno ponieważ Gomułka dzierżył już wtedy mocno i krótko cugle władzy. Można więc stwierdzić, że prawda zawarta w oficjalnych danych jest względna, i że zależy w dużej mierze od stopnia kontroli nad społeczeństwiem przez elitę władzy. [Patrz także poniżej, Markowski, punkt (6)].

Późniejsze losy Brusa, który podległ czystce w 1968 roku, dokumentują także, iż popieranie orzeczeń wiary komunistycznej nie stanowi rękojmi spokojnej kariery. Rozgrywki personalne (Brus był „oskarżony" m.in. o monopolizację nauk ekonomicznych) i między-frakcyjne wprowadzają w dziedzinie karier i karierowiczowstwa element dużej niewiadomej.

(3) Spożycie na głowę wzrosło oficjalnie w okresie 1956-60 o poniżej 25 %, która to liczba wydaje się wyolbrzymiać rzeczywiste osiągnięcie. Moje niezależne obliczenia wskazują na wzrost o 19 %[1].

(4) W okresie 1961-64 dynamika wzrostu spożycia na mieszkańca spadła do 15 % według jednej z tablic Hodoly'ego. Natomiast według innej jego tablicy, blisko ze spożyciem na mieszkańca spokrewniona przeciętna płaca realna zwiększyła się tylko o 8,1 % w gospodarce uspołecznionej, i o 7,1 % w produkcji rolniczej, w porównaniu z założonym w planie wzrostem o 23 % w okresie 1961-65. (Moje obliczenia wskazują na stopę wzrostu o 10 % na całe pięciolecie). Tak więc znowu, skoro ekipa rządząca raz już usadowi się dobrze przy władzy, zaczyna traktować płace realne i byt ludności po prostu jako główny amortyzator naprężeń w gospodarce — co stwierdził Czesław Bobrowski, i na co zgadza się Hodoly.

(5) Udział spożycia w dochodzie narodowym, który spadł raptownie w okresie stalinowskim, podniósł się w okresie odwilży i Października, i spadł znowu, chociaż powolnie, w okresie ustalonej gomułkowszczyzny. Czechosłowacja w latach 1950-63 była pod tym względem w szczęśliwszym od Polski położeniu, wykazując wyższy udział spożycia w dochodzie narodowym. Tak więc ekipa polskich władców gospodarczych gotowa była dążyć do wzrostu ekonomicznego drogą większych wyrzeczeń przez ludność aniżeli miało to miejsce w bogatszej od Polski Czechosłowacji.

(6) Kraje komunistyczne wykazują dużą amplitudę wahań w przyroście stopy życiowej z roku na rok, w odróżnieniu od krajów kapitalistycznych, w których wahania te są mniejsze. Wynika to z traktowania stopy życiowej w Polsce po macoszemu, z wyjątkiem okresów w których Partia czuje się niepewnie. Tak więc następują czasem nagłe poprawy, a po nich znowu okresy marazmu stopy życiowej. W okresie 1954-64 wzrost spożycia wykazywał czasem wyraźną tendencję spadkową.

(7) Wskaźnik wzrostu dochodów realnych na jednego zatrudnionego jest jeszcze niższy aniżeli wskaźnik wzrostu na jednego mieszkańca — jak wynika to z danych na okres 1937-60. Jest

1. „Zmiany w stopie życiowej w Polsce", *Kultura*, 1966, nr 9.

to spowodowane zmianami w strukturze demograficznej i wyższą partycypacją ludności w pracy zarobkowej na skutek uaktywnienia ekonomicznego ludności. Warto tu zauważyć, że dochody realne pracowników umysłowych na jednego zatrudnionego spadły w tymże okresie o około 25 %.

Kazimierz Ryć

Zupełnie odmienny charakter ma praca Kazimierza Rycia pt. *Spożycie a wzrost gospodarczy Polski, 1945-1970* (KiW, 1968, str. 357). Wydana w okresie fermentu roku 1968, książka ta wykazuje indywidualność, większy krytycyzm i umiejętność wykorzystania obliczeń, niezależnych od oficjalnie zatwierdzonych. Ta ostatnia cecha prawdopodobnie walnie przyczyniła się do wycofania książki z półek księgarskich zaraz po jej wydaniu, lub też — co wydaje się mniej prawdopodobne — do rozchwytania jej z tychże półek w całym nakładzie 1.500 egzemplarzy — takim samym jakim był nakład książki Hodoly'ego. Wynik w każdym razie był ten sam: książka Rycia jest nie do nabycia, a wznowienia jej nakładu „nie przewiduje się".

(1) Na podstawie książki Rycia obliczyć można, że, podczas gdy płace realne wzrosły między 1946 a 1949 rokiem o 58 %, to nawet w tym ostatnim roku były one o 15 % niższe od płac realnych w 1938 roku. Przedwojenne płace osiągnięte zostały dopiero w 1957 roku.

(2) Szybki wzrost spożycia w okresie do 1949 roku uzależnia Ryć m.in. od wykorzystania „akumulacji prywatnej oraz prywatnej przedsiębiorczości dla celów odbudowy" kraju. Ryć podkreśla rolę prywatnych przedsiębiorców w zagospodarowaniu Ziem Zachodnich i dodaje, że „przeprowadzone na szeroką skalę w 1949 roku wypieranie prywatnego przemysłu (oraz wcześniejsze wypieranie prywatnego handlu) dokonane metodami administracyjnymi [tzn. przez biurokratyczne represje] przyczyniło się do przedwczesnego — naszym zdaniem — zrezygnowania z wykorzystania wszelkich możliwych środków na cele odbudowy" (str. 47). Już na podstawie przytoczonego cytatu, tak jak i z poprzedniego punktu, czytelnik może się łatwo domyśleć dlaczego książka Rycia jest nie do nabycia w księgarniach. Więcej dowodów na jej niepożądaność z punktu widzenia aparatu partyjnego przytoczę poniżej.

(3) Pisząc o porównywaniu zamierzeń i osiągnięć planu sześcioletniego Ryć zauważa, że „W sferze zagadnień konsumpcji odczuwa się dotkliwą lukę w danych statystycznych na okres planu. Zaniechano badań budżetów rodzin robotniczych i pracowniczych. Nikt nie jest w stanie odtworzyć wskaźnika kosztów utrzymania. W wyniku tych przyczyn podstawowe dane odnośnie do produkcji i spożycia można otrzymać jedynie drogą szacunku" (str. 59-60). Wyniki własnych obliczeń podaje Ryć w następującej tablicy:

Niektóre wskaźniki planu sześcioletniego
(1949 = 100)

Wyszczególnienie	*Plan na 1955 r.*	*Wykonanie 1955 r.*
Dochód narodowy (wytworzony i podzielony)	212	175
Inwestycje ogółem	240	236
Zatrudnienie	160	156
Spożycie na 1 mieszkańca	150 — 160	130 — 144
Płace realne	140	104 — 113

W dziedzinie wzrostu spożycia Ryć przychyla się do przyjęcia liczby 30 % raczej aniżeli 44 %. Z danych powyższych wynika, że wzrost spożycia, w moim przekonaniu przeceniony[2], nastąpił głównie na skutek powiększenia ilości zarobkujących, raczej aniżeli na skutek podwyższenia płacy którą każdy z zarobkujących otrzymywał.

(4) Ryć podkreśla wpływ bardzo wysokiego udziału akumulacji w dochodzie narodowym na obniżenie postępu w dziedzinie spożycia. Środki, które obrócone były na inwestycje i powiększenie inwentarza, odebrane zostały z produkcji dóbr spożycia.

(5) Autor krytykuje wskaźniki spożycia ponieważ ukrywają one pewne rzeczywiste zmiany. Mówi „o małej przydatności ogólnego wskaźnika wzrostu spożycia dla badania wzrostu poziomu życiowego ludności" za okres 1950-55. Omawiając wzrost płacy realnej, szacowany przez niego na ok. 4 % za cały okres planu sześcioletniego, Ryć odrzuca wskaźnik wynikający z oficjalnych danych jako nieprzydatny do określenia rzeczywistego wzrostu płacy realnej. Tak więc Ryć wykazuje wobec oficjalnych statystyk dużą sceptyczność.

(6) Okres planu 1956-60 miał przynieść podniesienie spożycia z dochodów własnych o 45,5 %, natomiast przyniósł on wzrost o 35,5 %. „Pozostałe spożycie" wzrosło szybciej aniżeli przewidywał plan. Spożycie to składa się głównie z tzw. spożycia zbiorowego, które omówił dokładnie, choć raczej ostrożnie, Michał Winiewski w książce pt. *Fundusze spożycia społecznego a stopa życiowa ludności* (KiW, 1969).

Płace realne w 1960 roku spadły poniżej ich poziomu z poprzedniego roku. Podniesienie stopy inwestycji w 1959 roku przyczyniło się walnie do tego spadku.

(7) Plan pięcioletni 1961-65 nie spełnił oczekiwanego wzrostu produkcji dóbr spożycia, w wyniku czego „Spożycie w tym okre-

2. Sam otrzymałem wskaźnik wzrostu spożycia na okres planu sześcioletniego wynoszący ok. 17 %. (*Kultura*, 1966, nr 9).

sie miało wzrosnąć o 30,6 %, w tym spożycie indywidualne o 33,1 %. W rzeczywistości spożycie wzrosło o około 28 %, w tym spożycie indywidualne o 25 %" (str. 194). Według moich obliczeń liczby te są znowu wygórowane, ponieważ między 1960 a 1964 spożycie na osobę w moim przekonaniu wzrosło o zaledwie 10 %.

(8) Tak jak i w poprzednich okresach, nieosiągnięcie planu wzrostu spożycia w 1961-65 spowodowane było przekroczeniem zamierzeń w sferze akumulacji. Drugim powodem niewykonania planu wzrostu spożycia było według Rycia deformowanie informacji oddolnych przesyłanych organom nadrzędnym, co utrudnia dobre planowanie, i co szczególnie doprowadza do rozpraszania inwestycji i do „powstawania rozbieżności pomiędzy planowanymi a rzeczywistymi kosztami obiektów inwestycyjnych" (str. 303). Rozbieżności te są często bardzo poważne, a wynikiem ich jest powstawanie „wąskich gardeł" w produkcji i konieczność przesunięć w planie inwestycyjnym — z kilkoma niepożądanymi skutkami, odbijającymi się negatywnie na rozwoju spożycia, tak pod względem jakości produkowanych towarów, jak ich asortymentu, jak i pod względem ilościowym. Ryć poświęca dużo uwagi błędom, które wynikają z systemu planowania w Polsce i wykazuje jak poważne straty związane są z tym systemem[3].

Oczywiście, dowody te nie polepszyły sytuacji autora i jego książki, i należy się jedynie dziwić, że cenzura tę ostatnią puściła do druku, choć „błąd" ten najwyraźniej szybko naprawiono.

Reasumując, książka Rycia jest żywa, porusza odważnie drażliwe tematy, wyciąga logiczne wnioski i nie cofa się przed krytykowaniem błędów wypływających z praktyki komunistycznej gospodarki w Polsce. Poza zasięgiem systemu komunistycznego książka taka stanowiłaby źródło otwartych dyskusji i — prawdopodobnie — reform w systemie planowania. W kraju rządzonym przez monopartię książka ta natomiast jest po prostu najwyraźniej wycofana z księgarni i potraktowana jako niebyła. Oto jeden ze sposobów marnotrawstwa spowodowanego przez monopol na środki ogólnego przekazu oraz przez mit o tym że „Partia się nie myli".

Stanisław Markowski

Przeszedł grudzień 1970 roku, przeszedł Gomułka. Problemy spożycia przedostały się na czołowe miejsce w polityce gospodarczej, ale jednocześnie nowy włodarz Peerelu umocnił się w

3. Ciekawa dyskusja na ten temat wywiązała się na łamach periodyku *Co-existence*, wydawanego przy uniwersytecie Glasgow, między Januszem G. Zielińskim z tegoż uniwersytetu („Planners' Growth Priorities and System Remodelling", lipiec 1971) a Janem Mujżelem z uniwersytetu łódzkiego („Planners' Preferences and Social Needs", listopad 1972).

swojej pozycji. Wynikiem tej sytuacji jest słowne podkreślanie znaczenia spożycia, oraz rzeczywiste relegowanie go znowu do drugorzędnej roli. Wynikiem ubocznym jest książka Stanisława Markowskiego pt. *Spożycie w Polsce Ludowej* (Instytut Wydawniczy Centralnej Rady Związków Zawodowych, 1972, str. 167). Adresatem jej są najwyraźniej działacze związków zawodowych, dla których stanowi ona wygodną kopalnię danych, gruntownie odkadzonych od jakiejkolwiek nieprawomyślności. Już sam wstęp nadaje ton reszcie pracy. Spożycie określa autor jako dziedzinę,

> „w której popełnione błędy pociągają za sobą szczególnie ujemne skutki dla gospodarki narodowej i społeczeństwa.
>
> Błędy te mogą polegać na niedocenianiu potrzeb konsumpcyjnych ludności i dążeniu do równoważenia powstających dysproporcji gospodarczych wyłącznie drogą ograniczania możliwości poprawy spożycia. Odmiennym, lecz również błędnym stanowiskiem jest wysuwanie nadmiernych, sprzecznych z obiektywnymi prawami ekonomicznymi postulatów zwiększenia spożycia kosztem przyszłego rozwoju gospodarki narodowej" (str. 3).

A więc, spożycie jest ważne, ale nie tak znowu ważne, i w ogóle trzeba się Partii słuchać, bo tylko ona może właściwie interpretować „obiektywne prawa ekonomiczne". Autor najwyraźniej stara się tak ustawić, byle nie pod wiatr.

Z ostatniego rozdziału dowiadujemy się, że lata 1971-75 dadzą poważne przyspieszenie wzrostu spożycia z dochodów osobistych ludności, o 39 %, „wobec 27 % uzyskanych w latach 1966-1970". Osobiście życzę ludności Polski spełnienia planu na obecną pięciolatkę, ale w te 27 % wzrostu, które Markowski dostrzegł w ubiegłej pięciolatce, po prostu nie wierzę. Znowu przypomina mi się te 27 % wzrostu w okresie sześciolatki, o których losach doniosłem powyżej w związku z książką Hodoly'ego [punkt (2)]. Tym razem jednak nie należy się spodziewać sprostowań. Ekipa gierkowska najwyraźniej zdecydowała się nie podważać wiary w oficjalne dane statystyczne, który to fakt podkreśliłem w związku z moją recenzją *Rocznika Statystycznego 1971*, pierwszego wydanego już za Gierka[4].

(1) Materiał znajdujący się między okładkami książki Markowskiego znaleźć można łatwo w *Roczniku Statystycznym* GUSu. W powierzchownie zmienionych warunkach politycznych powracamy więc do epoki Hodoly'ego, do okresu bezkrytycznego głoszenia oficjalnej prawdy, z komentarzami, które ograniczone są do tłumaczenia tej prawdy. Dane statystyczne Markowskiego kończą się na 1970 roku, w którym spożycie obniżyło się w relacji do dochodu narodowego do 72 %, czyli do dolnego poziomu osiągniętego w 1953 roku, w szczytowym stadium stalinizmu. [Patrz punkt (5) w recenzji z Hodoly'ego].

(2) W okresie 1955-70 udział spożycia indywidualnego w spożyciu ogółem powoli spadł na korzyść spożycia zbiorowego. Wy-

4. *Kultura*, 1972, nr 5.

kazuje to postępującą socjalizację życia i zwiększoną zależność standartu życiowego od usług oddawanych przez państwo oraz od wypłat transferowych, jak np. na renty starcze. W związku z tym, Markowski zdobywa się na jedną ze swoich mylnych uwag, zawartą zresztą w formie tendencyjnie wartościowującej:

> „Mimo szybkiego rozwoju świadczeń socjalnych w niektórych europejskich krajach kapitalistycznych znaczenie dochodów z tych świadczeń w budżecie rodzin pracujących nie jest tam duże. Natomiast w świecie socjalistycznym dochody pozapłacowe ze źródeł społecznych odgrywają stosunkowo dużą rolę" (str. 23).

Przytoczona opinia oparta jest na wierze w pewne komunistyczne uogólnienia, i wydaje się sprzeczna z odczuciami i doświadczeniami ludzi żyjących na Zachodzie. Ale Markowski wie o Zachodzie najwyraźniej lepiej od ludzi tam mieszkających.

(3) Na temat zmian w cenach Markowski podaje czytelnikowi podobne *credo:* „W gospodarce socjalistycznej możliwości powstania inflacji są ograniczone, albowiem rozwój ekonomiczny ma charakter planowy". *Roma locuta,* inflacji nie ma. Natomiast „napięcia inflacyjne" mogą zaistnieć „wskutek błędów popełnianych w polityce ekonomicznej" (str. 66). A znowu z drugiej strony, bo autor gdy trzeba widzi wiele — czasem sprzecznych — stron w zagadnieniach, „w okresach przyspieszania wzrostu gospodarczego", najwyraźniej nie określonego jako błąd w polityce ekonomicznej, „Społeczeństwo musi płacić spadkiem siły nabywczej pieniądza (tzw. deprecjacją) za szybkie uprzemysłowienie kraju. Jest to cena, jaką trzeba płacić za wyrwanie się z zacofania gospodarczego" (str. 69). A więc, spadek siły nabywczej pieniądza, który jest oznaką inflacji, ale który tutaj nie jest nazwany inflacją, jest w socjalizmie jedynie ceną płaconą za rozwój ekonomiczny. Cenę tę określa Markowski przez szacunek, „że w latach 1956-1970 koszty utrzymania przeciętnej rodziny pracowniczej wzrosły o ok. 40 %. Wskaźnik ten obniżał więc o 2 % średniorocznie wartość realną szybko rosnących w omawianym piętnastoleciu dochodów ludności. W ostatecznym rachunku płaca realna w okresie 1956-1970 wzrosła o ok. 53 %". Ostatnia liczba jest znowu przesadzona, ale do tego każdy mający do czynienia z oficjalnymi danymi powinien przywyknąć.

(4) Autor podaje jednak, że oficjalna liczba określająca szybkość inflacji nie pozostaje bez wad:

> „Należy ... podkreślić, że zarówno w obliczeniach przeprowadzonych przez GUS, jak i urzędy statystyczne innych krajów nie jest rozwiązana dotychczas sprawa obliczeń zmiany kosztów utrzymania w wyniku wycofywania artykułów tańszych i wprowadzania na ich miejsce artykułów droższych, bez uwzględnienia faktycznego popytu na artykuł tańszy i droższy. Podobnie wskaźnik kosztów utrzymania nie uwzględnia zmian w jakości wyrobów (np. poprawy lub pogorszenia konstrukcji, wytrzymałości, estetyki i innych cech użytkowych wyrobu) przy utrzymaniu ceny na nie zmienionym poziomie" (str. 51-52).

Ponieważ zjawiska te występowały w Polsce nagminnie w kierunku ujemnym, oficjalna miara wzrostu kosztów utrzymania stanowi wyraźne zaniżenie szacunku rzeczywistego wzrostu.

(5) „W ustroju socjalistycznym — dowiadujemy się od Markowskiego — celem produkcji nie jest maksymalizacja zysku, lecz zaspokojenie potrzeb społeczeństwa" (str. 84). Dziwne jest, że w ustroju kapitalistycznym, w którym produkcja nastawiona jest na zysk, potrzeby społeczeństwa zaspakajane są lepiej aniżeli w ustroju socjalistycznym.

(6) W odniesieniu do historii Brusa [patrz Hodoly, punkt (2)], Markowski podaje, że płace realne w okresie 1950-53 *spadły* w przeciętnym rocznym tempie o 3,7 %.

(7) Książka zawiera wygodne, choć bezkrytyczne, streszczenie dyskusji nad modelem spożycia, prowadzonej w latach 1968-70[5]. W dyskusji tej Hodoly zachował niski profil, i uwagi jego były nacechowane dużą ostrożnością, podczas gdy Ryć wniósł w nią własne niezależne opinie.

(8) W rozdziale na temat barier wzrostu spożycia Markowski wymienia następujące czynniki hamujące ten wzrost: (a) Bariera surowcowa, związana z ograniczonymi zasobami i możliwościami produkcyjnymi kraju. (b) Niewystarczające w stosunku do aktualnych potrzeb zdolności produkcyjne przemysłu, dodając złowrogo „których przezwyciężenie wymaga znacznych nakładów inwestycyjnych". (c) Zbyt wolne rozszerzanie wachlarza produkowanych towarów, zwłaszcza towarów nowoczesnych. (d) Bariera typu organizacyjnego związana zwłaszcza z niedociągnięciami aparatu dystrybucyjnego. Autor pomija możność przezwyciężenia szczególnie trzeciej bariery przez wzmożenie roli handlu zagranicznego. Bardziej zasadniczo, Markowski nie zastanawia się nad wadami systemu planowania w Polsce, którym to wadom Ryć [punkt (8)] przypisuje walną rolę w ograniczaniu wzrostu spożycia. Podejście Markowskiego jest tu więc formalistyczne, pozbawione wnikliwości i — oczywiście — sterujące daleko od czegokolwiek co można by posądzić o krytykę ustroju.

Książka Markowskiego kontrastuje wyraźnie z książką Rycia. Jest ona nawrotem do „kazionnych" stwierdzeń, apologetycznych omówień i do stanowiska „niewychylania się". To zaś z kolei potwierdza spostrzeżenie, że w kraju nastąpiło zaprowadzenie „porządku", „błagonadiożności" intelektualnego „gleichszaltowania". W tego rodzaju warunkach, odbijających ostro od intelektualnego fermentu okresu odwilży przed i po Październiku, trudno spodziewać się niezależnych ocen, rzetelnych analiz, tarcia umysłów. Następuje chóralna nuda, z małymi wariantami na temat jak można zmienić sposób uderzenia młotkiem w gwóźdź. Ważniejszych spraw omawiać się nie będzie, nie będzie nawet głosów pytających czy gwóźdź jest potrzebny. Będzie gierkowszczyzna.

5. Dyskusję tą omówiłem w *Soviet Studies,* Apr. 1971.

Refleksje nad osobistą niezależnością naukowców

Wreszcie pozwolę sobie na osobistą refleksję. Omówione trzy prace wykazują różnice w podejściu ich autorów: od ostrożniactwa Hodoly'ego, przez odwagę i wnikliwość Rycia, do popierania władzy przez Markowskiego. Wydawałoby się, że kariery autorów są zdeterminowane, tak jak w biurokracji urzędniczej, stopniem ich objawionej użyteczności dla elity władzy. Wydawałoby się, że pozornie drobna różnica między orzeczeniem „27 %" a „4 %" lub „0 %" wzrostu płac realnych może ludzi wygodnie urządzić w życiu, lub też może ich zniszczyć. A jednak tak nie jest. Znam ekonomistów polskich którzy, zachowując uczciwość i niezależność intelektualną, zarobili sobie na poważanie kolegów i dosłużyli się zadowalających stanowisk. Z drugiej strony, przykład Brusa nie jest odosobnionym dowodem na stwierdzenie, iż lojalność wobec władzy nie stanowi rękojmi na beztroską karierę.

Sprawa ta nie jest prosta, bo gdyby taką była, można by znaleźć łatwy przepis na „robienie kariery", kosztem małych lub większych ustępstw, dobrego „sprzedania się", drobnego lizusostwa. Pozwolę sobie wymienić pewne czynniki komplikujące tę sprawę, może dla krajowego czytelnika oczywiste. (a) Różnice w zdolnościach osobistych na pewno grają pewną rolę w determinacji indywidualnych karier życiowych. Zwykle zdarza się, że ludzie zdolniejsi posiadają większą pewność siebie i stąd zdobywają się łatwiej na wypowiadanie własnych osądów, niedyktowanych z góry. Mimo utrzymania swej niezależności od elity władzy, ich zdolności dają im dostateczną podstawę do kariery naukowej.

(b) Zainteresowania naukowców są różnorakie. Ogólnie biorąc, im bardziej techniczne są zainteresowania, tym większa wydaje się asekuracja, że niepopularne poglądy nie wpłyną ujemnie na karierę. Istnieje tu jednak masa komplikacji, jak na przykład ucieczka do pola ekonometrii ludzi już „spalonych", a więc ludzi, którzy znaleźli się już na czarnej liście, mimo że teraz zajmują się wysoce techniczną dziedziną, lub wpływ niepopularnych poglądów na pozycje naukowca w wydziale czy na uczelni, wśród równie technicznie zaangażowanych kolegów.

(c) Światopoglądy ludzi podlegają zmianie: ludzie nastawieni krytycznie mogą się zmienić w neutralnych lub sympatyków — co im w karierze zapewne nie przeszkodzi, podczas gdy dawni apologetycy systemu mogą zarazić się zgubnymi dewiacjami lub mogą nawet wpaść w apostazę. Brus w latach sześćdziesiątych popierał oparcie się na systemie rynku, co zmniejszyłoby sferę podlegającą planowaniu, był w awangardzie grupy dążącej do zniesienia „czysto marksistowskiego" podejścia do obliczania dochodu narodowego, stał się umiarkowanym liberałem, rozumiejąc na pewno dobrze, iż stanowisko takie jest politycznie niebezpieczne. Zachowywał się więc, sądzę, z pewną odwagą. Z całą pewnością przysposobił sobie tym stanowiskiem wrogów.

(d) Im naukowiec wyżej dojdzie w swojej hierarchii, tym więcej ma wokół siebie zawistnych ludzi, czekających na sposobność ataku. Z wyżyn łatwo jest spaść, i stąd pewni ludzie decydują się nie szukać błyskotliwych karier aby w zamian za to mieć poczucie większego bezpieczeństwa.

(e) Jednocześnie, im wyższa jest pozycja naukowca, tym bardziej musi się on angażować w głównych problemach dnia, które to problemy stają się przeważnie politycznymi. Prowadzi to zazwyczaj do utożsamiania się z jedną lub drugą fakcją polityczną — lub, w Polsce, raczej partyjną — i stanowi to niebezpieczeństwo w wypadku porażki danej grupy.

(f) Przynależność do takiej czy innej fakcji może zaistnieć tak na poziomie ogólno-krajowym, jak i na poziomie danej katedry, wydziału czy uczelni. W tym drugim znaczeniu istnieją duże analogie między sytuacją naukowców w Polsce a sytuacją naukowców gdziekolwiek indziej, np. w Stanach Zjednoczonych. W tym sensie publikacje czy też wypowiedzi są jedną rzeczą, zupełnie inną natomiast — i często decydującą — sprawą jest kto mówi czy pisze, i kogo on reprezentuje. W Stanach Zjednoczonych obserwowałem kilkakrotnie sytuacje w których nie było ważne co dany naukowiec powiedział lub napisał, a za to rzeczywistą wagę miało kogo on reprezentował, z kim stworzył „klikę". Nie ma powodów sądzić by w Polsce było inaczej. Wiadomo, że jest tak też w Rosji.

Muszę tu zaznaczyć, że omawiam tu czynniki wpływające na kariery naukowców w krótkim okresie czasu. W dłuższych okresach koligacje partyjne, frakcyjne, czy osobiste tracą na wadze, a rzeczywisty wkład naukowy staje się podstawową determinantą pozycji, lub raczej renomy naukowca. Ale w dłuższym okresie czasu, jak mawiał John Maynard Keynes, wszyscy stajemy się umrzykami. Kariera osobista jest kwestią krótkiego okresu czasu.

(g) Jest możliwe, iż pewne niepopularne wypowiedzi, jeżeli mają praktyczne zastosowanie lub jeżeli mogą doprowadzić do pewnych ulepszeń, są tolerowane wewnątrz kierownictwa administracyjnego systemu, mimo że zostają jednocześnie tępione lub wycofywane z szerszego obiegu. Autorów ich uznaje się wtedy za mimo wszystko pożytecznych, choć zarazem za politycznie niebezpiecznych. Przeto z odpowiednim kagańcem pozwala im się żyć. I odwrotnie, pewne panegiryki i służalcze płaszczenia kierownictwo partyjne uważać może za wygodne, pochlebiające partyjnemu lub osobistemu *ego*, ale jednocześnie za jałowe i — na dłuższą metę — nudne, a szczególnie nudne, jeżeli pochodzą one od tej samej osoby. Dlatego wartość ich autorów na rynku nabywców może mieć tendencje do dewaluacji, co autorom w karierze pomagać nie może. Nie wszyscy posiadają zdolność

sprzedawania się za dobrą cenę tak długo, jak robił to Ilya Erenburg.

Reasumując, trudno jest określić czy omówione powyżej prace oznaczają, że ich autorzy mają nadzieję na taką czy inną karierę. Dobrze jest, że istnieją w Polsce Rycie, pewne jest, że będzie ona zawsze miała swoich Markowskich, nieuniknione jest także że dużo będzie w niej bezbarwnych Hodolych. Tak do Zachodu jak i do Polski zastosować można powiedzenie amerykańskie że *„It takes all kinds of people to make this world"* — czyli w wolnym tłumaczeniu: „Świat składa się z najróżniejszych ludzi".

Bogdan MIECZKOWSKI

Wznowienia

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 222 — ALEKSANDER SOŁŻENICYN

KRĄG PIERWSZY

★

Wydanie drugie

Dwa tomy str. 704. **Cena I/II F. 60 (dol. 12,50; £. 5,25)**

◆

TOM 228 — ALEKSANDER SOŁŻENICYN

ODDZIAŁ CHORYCH NA RAKA

Wydanie drugie

Str. 480. **Cena F. 40 (dol. 8,50; £ 4.30)**

Straty kultury polskiej

Antoni Szałowski

W 66-tym roku życia zmarł w Paryżu Antoni Szałowski, jeden z najwybitniejszych kompozytorów polskich starszego pokolenia. Wychowanek Konserwatorium Warszawskiego, pogłębiał Szałowski swe studia u Nadii Boulanger w Paryżu, gdzie też się definitywnie osiedlił. Jego bogaty dorobek obejmuje liczne kompozycje symfoniczne — Uwertura, Symfonia, Partita, 3 Suity Symfoniczne, balet „Zaczarowana Oberża", Koncert Fortepianowy, Koncert Skrzypcowy — oraz kameralne i solowe. Wśród nich 3 Kwartety Smyczkowe, Trio na instrumenty dęte, Sonata Fortepianowa i mnóstwo mniejszych utworów. Przeważna część dorobku Szałowskiego znajduje się w katalogach wielkich wydawnictw w Paryżu, Londynie i Nowym Jorku, jedynie nieliczne utwory wydane zostały w kraju.

R. P.

Pokolenie kompozytorskie które dorastało w Polsce w okresie międzywojennym — ściślej u przełomu lat dwudziestych i trzydziestych — dojrzewało z natury rzeczy w cieniu wielkiej indywidualności Karola Szymanowskiego. Jego przemożny wpływ kierował pierwszymi krokami w karierze artystycznej licznych kompozytorów, którzy dopiero znacznie później poszli własnymi, mniej lub więcej indywidualnymi, drogami. Z perspektywy czasu widać, że były to lata ożywczego, twórczego fermentu. Dokonało się wówczas wyzwolenie muzyki polskiej spod wpływów niemieckich, głównie Ryszarda Straussa, które tak mocno ciążyły jeszcze na twórczości kompozytorów „Młodej Polski" przed pierwszą wojną światową. Sam Szymanowski przeżył w pierwszych latach powojennych głęboką ewolucję i szukał punktu wyjścia dla swych nowych zamierzeń w folklorze ludowym, przede wszystkim podhalańskim i kurpiowskim. Późna twórczość

Szymanowskiego — począwszy od „Mazurków", „Pieśni Kurpiowskich" i „Harnasi" — wskazywała nam wszystkim nową drogę poprzez nawiązanie do oryginalnej muzyki ludowej. Nic dziwnego, że po „Harnasiach", z ich porywającą siłą ekspresji muzycznej, zaroiło się w muzyce polskiej od prób folklorystycznych. Prawie wszyscy młodzi weszli wówczas w kilkuletni okres epigonizmu po-harnasiowego.

Antoni Szałowski był bodaj jedynym kompozytorem z grupy startującej w tym czasie, który oparł się zdecydowanie wszelkim pokusom folklorystycznym, jedynym, który nie poszedł na lep względnie łatwego epigonizmu Harnasi i Mazurków Szymanowskiego. Oparł się nie dlatego, aby uważał tę drogę za fałszywą — ale dlatego, że posiadał odmienny typ talentu i inwencji, typ, który trudno było pogodzić ze stylizacją ludową. Zresztą wkrótce po zakończeniu studiów w Konserwatorium Warszawskim wyjechał Szałowski do Paryża i tak się złożyło, że spędził tam całą resztę swego życia — ponad 40 lat pracy twórczej. Nie potrafię już dziś powiedzieć, czy to niechęć Szałowskiego do związania się z tendencją folklorystyczną, panującą wówczas w kraju, przyśpieszyła jego wyjazd do Paryża — czy też, odwrotnie, osiedlenie się na Zachodzie uratowało go od przesadnego związania się z muzyką ludową. W każdym razie z pilnej obserwacji ówczesnej muzyki zachodniej wyniósł Szałowski niezmiernie zdrowe, rzeczowe podstawy swojego stosunku do muzyki. W latach kiedy większość jego kolegów tonęła jeszcze w folklorze i zawiesistych sosach gęstej, krzykliwej instrumentacji — spod pióra Szałowskiego wychodziły już utwory przejrzyste, krótkie, pełne wdzięku i umiaru, o wzorowych proporcjach formalnych i nacechowane świeżością inwencji, jaką dać może tylko młodość.

Jednym z pierwszych jego utworów paryskich była słynna „Uwertura", grywana nieskończoną ilość razy na wszystkich wielkich estradach symfonicznych świata, dzieło błyskotliwe, lakoniczne, istny fajerwerk orkiestrowy, w którym każda nutka jest idealnie na swoim miejscu w absolutnej zgodzie z zamierzeniami kompozytora.

I od tej pory w ciągu pracowitych czterdziestu lat szedł Szałowski uparcie swą własną drogą. W kołach muzycznych miał duży mir. Szanowano jego znakomite rzemiosło, nieomylne wyczucie formy, a nawet jego odrębną postawę estetyczną, z upływem lat coraz odleglejszą od radykalnych prądów nurtujących muzykę dzisiejszą. Nie brak było oczywiście i krytyk. Niektórzy zarzucali mu że się powtarza, że poszczególne komponenty jego techniki kompozytorskiej — harmonika, forma czy instrumentacja — nie rozwijały się, że nie było w jego muzyce żadnej skłonności do eksperymentu, do szukania nowych dróg. Innymi słowy, miano do niego pretensje że był taki, jaki był, że nie był inny. Były to zarzuty niezupełnie poważne. Psychika artysty, jego estetyka i warsztat są na ogół znacznie bardziej skomplikowane, aniżeli nam się to zwykle wydaje. Olbrzymią zaletą Antoniego było, że znał doskonale swoje granice, wiedział nieomylnie do czego jego gatunek talentu i inwencji się nadaje. W ciągu całego swego życia twórczego szedł jedynie za podszeptem instynktu, który go nigdy nie zawodził i który kazał mu się trzymać utartych szlaków i kanonów przekazanych przez tradycję.

Była w tej postawie pewna odwaga intelektualna, która kontrastuje żywo z obrazem jaki przedstawia dzisiejsze środowisko kompozytorskie, goniące za wszelką cenę za eksperymentem, nie zawsze najlepszej próby. Nawiasem mówiąc, dzisiejsze odrzucenie wszystkich tradycyjnych dyscyplin muzycznych — przede wszystkim harmonii i formy — oraz sprowadzenie muzyki do roli oderwanych plam dźwiękowych zawieszonych całkowicie arbitralnie w czasie, jest przede wszystkim rezygnacją z elementarnych wymagań logiki muzycznej i stanowi zgrabne, wygodne ominięcie trudności i wysiłku. Pisanie muzyki pozbawionej formy i zorganizowanego porządku dźwięków jest rzeczą względnie łatwą w porównaniu z komponowaniem tą techniką, jaką przekazała nam tradycja od najstarszych klasyków do Schönberga i Weberna. Szałowski stawiał sobie w gruncie rzeczy zadania ambitniejsze i trudno sobie nawet wyobrazić ile trudu poświęcał na wyszlifowanie niektórych drobnych utworów kameralnych, które w słuchaniu wydają się nam kwintesencją prostoty, lekkości i łatwości.

W przeciwieństwie do dzisiejszego młodego pokolenia kompozytorskiego, którego ideałem jest muzyka pojmowana jako integrująca idea ekspresyjna, Szałowski po prostu zestawiał ze sobą interwały i współbrzmienia, budował za każdym razem przedmiot sztuki zamknięty w sobie i związany żelazną logiką przebiegu. Trawestując Mallarmé można by powiedzieć, iż nigdy nie zapominał o tym, że muzykę robi się za pomocą realnych dźwięków, a nie za pomocą abstrakcyjnych idej, choćby najgłębszych.

To zdrowe, jedynie słuszne wyczucie muzyki, oparte na najpierwotniejszych elementach, niesie oczywiście ze sobą pewne niebezpieczeństwa. Nie uniknął ich i Szałowski. Przedmiotem jego największej troski był zawsze rezultat czysto dźwiękowy. W potocznym pytaniu czy jakiś utwór „brzmi dobrze", tkwi zwykle dbałość o użycie każdego instrumentu w najlepszej części jego skali, dbałość o bogactwo palety instrumentalnej, o niezawodną rękę w mieszaniu kolorów. W swoim świadomie ograniczonym zakresie był Szałowski mistrzem w tej dziedzinie. Ale w pracy kompozytora są momenty, w których zamierzenie twórcze wykracza poza ramy realnego brzmienia ograniczonego możliwościami wykonawczymi. Historia muzyki zna legion wielkich nazwisk kompozytorów, dla których samo brzmienie nie było najważniejszym imperatywem. Wystarczy wspomnieć choćby wielkie dzieła Bacha z ostatnich lat jego życia — Kunst der Fuge lub Musikalisches Opfer — czy też traktowanie orkiestry przez

Brahmsa, pozornie niezgrabne, niezręczne, odbiegające daleko od tego co potocznie uważa się za „dobre brzmienie".

Tu warto wspomnieć, że w przeciwieństwie do Niemców, kompozytorzy francuscy — od Berlioza do Ravel'a — dbali zawsze najbardziej o czysty wyraz dźwiękowy muzyki, o zmysłowy kształt brzmienia. Może dlatego utarło się wśród muzykologów polskich mówić o Szałowskim, jako o kompozytorze zachowującym rzekomo francuskie tradycje jasności, przejrzystości i doskonałości formy. Jest to sąd dość powierzchowny, bez głębszego pokrycia. Jeśli chodzi o tzw. „lekkość francuską", to trzeba by się chyba cofnąć do klawesynistów z XVIII wieku, bo od romantyzmu Berlioza aż po eklektyzm Cezara Franck'a muzyka francuska żeglowała raczej pod znakiem wyjątkowo masywnego brzmienia i skomplikowanych, zagmatwanych form. Natomiast to, co łączy Debussy'ego i Ravel'a z Couperin'em i Rameau, to właśnie ich dbałość o sensualny, czysto dźwiękowy wyraz muzyczny. Jeśli by tylko o to chodziło, to Szałowski był istotnie przywiązany do tych tradycji, ale po swojemu, spontanicznie. Nie słyszałem z jego ust nigdy słów jakiegoś wyjątkowego zachwytu nad tymi mistrzami i nie wydaje mi się, aby miał od nich wiele skorzystać. A zresztą, jeśli by nawet zgodzić się, że w muzyce Antoniego są pewne składniki, które nasuwają myśl o związkach z francuskimi tradycjami jasności, umiaru i prostoty formalnej, to trzeba by też zwrócić uwagę, że ten fakt nie jest pozbawiony wymowy raczej smętnej: bo wynikałoby z tego, że Szałowski usiłował zachować przy życiu pewne właściwości i cechy, od których sami Francuzi odeszli już dość dawno i — jak się wydaje — definitywnie. Nie wydaje mi się, aby należało podkreślać ten aspekt twórczości zmarłego artysty.

Myślę, że trzeba go brać po prostu takim, jakim był. Pisał muzykę, która młodym, wychowanym na prądach dzisiejszych, może się wydawać konserwatywna, przebrzmiała, anachroniczna. Ale pisał ją w sposób doskonały, z talentem i inwencją, które pozwalały mu uniknąć wszelkich koncesji, słabości i owych „pustych miejsc", których normalnie nie potrafią uniknąć nawet kompozytorzy bardzo wielkiego formatu. Niektórzy zarzucali mu, że powtarzał stare formuły lub własne pomysły z lat młodości, że nie był oryginalny. No i cóż z tego, skoro powtarzał się w sposób twórczy, ożywiając zawsze stare formy nową treścią. Czy sztukę tworzy się jedynie nowością koncepcji i realizacji? Prawdziwa oryginalność polega przecież na zobiektywizowaniu treści i formy, a nie na przesadnym forsowaniu własnej indywidualności. Historia muzyki, podobnie jak historia sztuki, zna twórców którzy rewolucjonizowali środki wyrazu, ale zna też i takich, którzy używali wyłącznie środków wykształconych przez swoich poprzedników i nie byli przez to wcale mniejsi...

Dlatego nie obawiam się o przyszłość muzyki mojego zmarłego przyjaciela. Kiedy zaczynał swą karierę kompozytorską przed z górą czterdziestu laty, panował w muzyce neo-klasycyzm Strawińskiego, „nowa rzeczowość" Hindemitha, a w Polsce folklor odkryty przez Szymanowskiego. Szałowski skorzystał wprawdzie — jak i wszyscy jego rówieśnicy — z lekcji Strawińskiego, ale nie związał się bliżej z żadnym z tych kierunków. Od początku stanął na uboczu w myśl słusznie rozumianej zasady, że wygodniej obserwować rwący potok stojąc na brzegu, aniżeli tkwiąc po szyję w głównym nurcie. Od tej pory przeminęło wiele różnych haseł i kierunków artystycznych, przeszła fala serializmu i techniki dwunasto-tonowej, ale te wszystkie zmiany nie musnęły nawet twórczości Antoniego. Od początku do śmierci robił zawsze tylko to, co uważał za właściwe i robił tak, jak umiał. Nie dbał zupełnie o to, co robią i co powiedzą inni.

Niespodziewany cios Opatrzności przerwał tę bogatą twórczość niejako wpół taktu. Przyszli krytycy wyłowią zapewne jakąś nić Ariadny łączącą liczne utwory symfoniczne, kameralne i solowe, jakie zostały w spuściźnie Szałowskiego. Ale wątpię, aby udało się jego twórczość podzielić na jakieś okresy czy domeny wpływów. Bo Szałowski był zawsze sobą i pod względem stylistycznym nie zmieniał się z upływem lat. Jego muzyka — w której poczucie umiaru i proporcji jest najwyższą wartością — nie jest ani modernistyczna, ani rewolucyjna. Nie ma w niej jakiejś wyrafinowanej drogi rozwojowej, ale nie ma też momentów słabszych, wątpliwości, załamań, powolnego dojrzewania nowych idej. A jest za to imponująca dojrzałość, spokój mistrzostwa i kształt artystyczny, który nas zawsze wzrusza i ujmuje. Tego typu muzyka zniesie zapewne lepiej próbę czasu, aniżeli wiele dzisiejszych okrzyczanych rewelacji muzycznych.

Spiritus flat ubi vult... Szałowski był artystą irracjonalnym, spontanicznym, dalekim od jakiejkolwiek spekulacji intelektualnej. Przypuszczalnie nie zastanawiał się nad tym, dlaczego komponuje tak, a nie inaczej i zapewne nie potrafiłby sprecyzować wszystkich składników stylistycznych swojej sztuki. Nie dawał nigdy żadnych komentarzy do swych utworów i nie zajmował się ich propagandą i reklamą. W czasach kiedy artystom niezmiernie trudno zachować niezależność wewnętrzną i uchronić się od tendencji stadnych był Szałowski dumnym *outsider*'em, uprawiającym samotnie swój ogród — być może niezbyt wielki, ale na pewno własny. A już to samo stanowi bardzo wiele.

Odejście tego bezkompromisowego artysty stanowi ciężki cios dla tych wszystkich, którym był bliski i którzy byli świadkami jego wieloletniego borykania się z losem. Ale jest jego muzyka, bujny dorobek całego życia, dorobek który pozostanie trwale w historii muzyki polskiej. Zająć się nim, zgromadzić liczne utwory drukowane i rękopisy znajdujące się u różnych wydawców, opracować je krytycznie i umożliwić ich częstsze wykonywanie — oto zadanie, które podjąć powinni obecnie nasi młodzi muzykolodzy. Bo pozycja Antoniego Szałowskiego w kalejdoskopie muzyki polskiej jest bardzo mocna. Właśnie taki jaki był, był nam niezmiernie potrzebny i nikt go nie potrafi zastąpić.

Roman PALESTER

Wolna trybuna

Niemoc filozofii czy filozofia niemocy

(NA MARGINESIE OSTATNIEJ KSIĄŻKI LESZKA KOŁAKOWSKIEGO)

Bywają książki, z których osoba autora jest nieusuwalna. Taką jest z pewnością ostatnia książka Leszka Kołakowskiego, *Obecność mitu*. Być może sam autor życzyłby sobie, aby jego książkę „brać poważnie" to znaczy rozważyć jej treść i na tej tylko podstawie sądzić o opiniach autora. Choć żądanie takie byłoby całkiem słuszne i choć postaram się wziąć je przynajmniej częściowo pod uwagę, nie mogę się powstrzymać od przeprowadzenia na *Obecności mitu* tej samej operacji, którą Kołakowski ustawicznie przeprowadza na tym, co ma stanowić treść jego książki. Odmawia on mianowicie merytorycznej dyskusji nad prawdą lub fałszem tych przekonań, które określa jako „mityczne", gdyż, jak twierdzi, samo pojęcie prawdy i fałszu w znaczeniu klasycznym jest również wytworem mitycznym i koncentruje swoją uwagę na wykryciu i eksplikacji potrzeb, których owe mityczne przekonania mają być wytworem i zaspokojeniem.

Niechże więc i mnie będzie wolno zauważyć, iż duża część tego, co Kołakowski pisze w swej ostatniej książce, musi zostać wytłumaczona jako funkcja pewnych potrzeb, których zarówno geneza jak i opis mogą się okazać dla czytelnika interesujące. Nie mam przez to zresztą zamiaru deprecjonować niewątpliwych zalet *Obecności mitu* i zredukować jej wartości do statusu dokumentu historycznego. Indywidualność Leszka Kołakowskiego w powojennej kulturze polskiej nie ulega najmniejszej wątpliwości, bez względu na liczne zastępy jego wielbicieli i naśladowców. Indywidualność ta jest zresztą widoczna na każdej stronie jego książki, zarówno w postaci niezwykle charakterystycznego sposobu

myślenia, przepełnionego błyskotliwą inteligencją, zmysłem krytycznym i zdolnością uchwycenia wielostronności każdego zagadnienia, jak i w postaci jego niezwykle charakterystycznej polszczyzny, która denerwuje, zastanawia, doprowadza do pasji i... czaruje zarazem. Sam język Kołakowskiego, z jego neologizmami, archaizmami, przestawioną składnią, byłby ciekawym tematem do osobnego artykułu, zarówno ze względu na osobę autora jak i na jego wpływ na warszawskie środowisko intelektualne lat sześćdziesiątych.

Odłóżmy jednak tę sprawę na kiedy indziej i wróćmy do właściwego tematu, a raczej sprecyzujmy ów temat naszych rozważań. Trzy pytania nasuwają się w sposób niemal oczywisty przy lekturze *Obecności mitu:*

1. Jaka jest merytoryczna wartość rozważań Kołakowskiego w jego ostatniej książce?

2. Jaka jest geneza jego poglądów i jakie potrzeby one zaspokajają?

3. Jakie są konsekwencje przyjętego przezeń stanowiska, zarówno w sferze produkcji kulturalnej jak i w sferze politycznej?

Będąc mniej niż Kołakowski pod wrażeniem filozofii pozytywistycznej, jak też dysponując niestety mniejszą niż on zdolnością strukturalizowania materiału, muszę zaniechać powabnej taksonomii i rezygnując z całkiem ścisłego rozgraniczenia trzech powyższych pytań, prosić czytelnika o wyrozumiałość, jeśli odpowiedzi na nie będą się czasem przeplatać.

◆

Obecność mitu nie sposób zrozumieć jako samowystarczalną całość, gdyż filarem, na którym się ona opiera, jest pewne pojęcie nauki jako narzędzia praktycznego przystosowania się człowieka do otoczenia, w którym żyje on i pracuje. Tą podporą rozważań nad ludzką twórczością mitologiczną jest argument pozytywistyczny, który stanowił przedmiot poprzedniej książki Kołakowskiego, pt. *Filozofia pozytywistyczna,* wydanej w Warszawie w roku 1966[1]. Choć to nie lektura Hume'a czy późniejszych „pozytywistów" wyrwała Kołakowskiego z „dogmatycznej drzemki", w jakiej pogrążył go system zwany marksizmem, lecz raczej brutalna oczywistość faktów społecznych lat pięćdziesiątych, powtórna prawdopodobnie lektura pozytywistów dostarczyła mu teoretycznej podstawy zarówno do odrzucenia jego dawnych poglądów jak i do ugruntowania jego obecnego scep-

1. Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Biblioteka „Omega".

tycyzmu. W konkluzji owej poprzedniej książki Kołakowski wydaje się przystawać na pozytywistyczne rozumienie nauki, związane ze słynnym kryterium sprawdzalności empirycznej jako fundamentu sensowności zdań naukowych. Odrzucając tradycyjną definicję prawdy jako *adequatio rei et intellectu,* ze względu na fakt jej rzekomego uwikłania w nieprzekraczalne trudności związane z koniecznością przyjęcia pewnej ontologii, która przypisuje byt rzeczywistości niepostrzegalnej w doświadczeniu (tzw. „rzeczy same w sobie"), pozytywiści stwierdzają, iż zdania są naukowe (tj. sensowne) tylko wtedy, gdy mogą zostać potwierdzone lub sfalsyfikowane przez doświadczenie. Oznacza to, iż jedyną funkcją nauki, która stanowi o jej sensowności, jest zdolność przewidywania zdarzeń, które jeszcze nie nastąpiły. Co prawda Tarski uprawomocnił używanie terminu „prawda" w znaczeniu pozornie podobnym do klasycznego, jednakże legitymacja ta — jak powiada Kołakowski — „nie zmienia ... sytuacji, dotyczy bowiem stosunku między znakiem językowym i elementami doświadczenia, nie przesądzając i nie podejmując pytania o sens metafizyczny doświadczenia samego"[2].

Kołakowski odczytał całościowy sens pozytywizmu w duchu pragmatystycznym, tj. takim, który odmawia sensowności absolutnemu rozróżnieniu pomiędzy teorią i praktyką. W ostatecznym rachunku jedyną funkcją nauki jest jej zdolność funkcjonowania jako narzędzie „ujarzmiania" natury lub — by użyć terminu bardziej „naukowego" i mniej przepełnionego ładunkiem metafizycznym czy też, jak woli Kołakowski, „mitologicznym" — biologicznego przystosowania gatunku. Taka pragmatystyczna interpretacja nauki pasuje zresztą Kołakowskiemu ze względu na jej zgodność z tymi pozostałościami marksizmu, które uznawał on jeszcze nie tak dawno w swym artykule „Karol Marks i klasyczna definicja prawdy"[3]. Że znaczna część (jeżeli nie większość) pozytywistów odrzuca tę interpretację, nie martwi specjalnie Kołakowskiego, gdyż, jak twierdzi on, „czyha" ona na pozytywistów „mniej wstrzemięźliwych w zapytywaniu". Co więcej, wstrzemięźliwość ta „nie zbiega się bynajmniej z radykalizmem pozytywistycznym, ale jest połowicznością pozytywistycznego stanowiska"[4].

Przyjąwszy takie kryterium naukowości, Kołakowski staje wobec kłopotliwego problemu: Co zrobić z całą tą sferą ludzkiej działalności, która nie tylko wydaje się nieusuwalna, lecz wręcz

2. *Filoz. poz.*, str. 230.

3. Opublikowanym w *Studiach Filozoficznych*, 1959, nr 2 i przedrukowanym w książce *Kultura i fetysze*, PWN, Warszawa 1967.

4. *Filoz. poz.*, str. 231.

przeciwnie, wydaje się stanowić to, co specyficznie ludzkie w człowieku, to co różni go jakościowo od gatunków biologicznie niższych i co ludziom wrażliwym na doświadczenie historyczne wydaje się najbliższe? Chodzi tu już nie tylko o to, co zwykle określa się jako twórczość mitologiczną czy o religię, lecz o filozofię, jeśli zawiera ona metafizykę, o etykę, historiozofię, znaczną część psychologii, ba, nawet o odpowiednio głęboko pojętą sztukę i literaturę. „Pozytywistyczna krytyka" — pisze Kołakowski[5] — „jest tedy nieodzowną 'animalizacją' wysiłku poznawczego", „aktem odmowy wobec 'rozumu' ", ponieważ redukuje to, co zwykło się uważać za racjonalność człowieka, do wyszukanej formy odruchu warunkowego. Odmawiając prawdzie wartości transcendentalnej, przekreśla ona możliwość wszelkiej pewności apodyktycznej i odmawia istnienia czystej teorii, wiedzy, której funkcją jest samorozumienie człowieka oraz jego rozumienie świata metafizyczne jako zwykłe błędy, paplaninę, która jest rezultatem ta. Część pozytywistów odrzuca po prostu wszystkie problemy pomieszania z poplątaniem. Wszyscy niemal pozytywiści, nawet ci, którzy jak Carnap pozostawiają pewną rację bytu metafizyce, są w gruncie rzeczy w stosunku do jej losów wrodzy lub co najwyżej obojętni. Kołakowski jest jednak, po pierwsze, jednym z tych, którzy „dali się złapać" niegdyś na jej lep i mechanizm tego „opętania" go zastanawia. Po drugie, jest on również zbyt wrażliwy kulturowo, aby nie zauważyć, iż głębia filozofii nie może być *po prostu* błędem; jak niegdyś Kant w swojej krytyce tradycyjnej metafizyki, tak teraz Kołakowski twierdzi, iż u podstawy każdego dostatecznie wielkiego błędu musi leżeć jakaś *realna* przyczyna, coś co błędem nie jest, lecz co może (i w pewnnych sytuacjach musi) się nim stać.

Rozwiązanie tego problemu trwałości prób samozrozumienia i zrozumienia świata, które proponuje Kołakowski, jest następujące: Ludzie potrzebują koniecznie wiary, postrzebują jej właściwie również biologicznie, gdyż tylko ona potrafi przenosić wartości nie dające się racjonalnie uzasadnić, a jednocześnie będące koniecznym warunkiem życia społecznego, bez którego nasz gatunek przestałby istnieć. Potrzeba ta jednak, choć biologiczna, jest również specyficznie ludzka, rodzi się bowiem ze specyficznie ludzkiej sytuacji, którą nazwać należy egzystencjalną. Potrzeba mitu nie rodzi się z faktu, iż nauka nie posunęła się jeszcze dosyć daleko, aby rozwiązać problemy, które są dla nas istotne i w celu rozwiązania których produkujemy różne „bajki". Nie, potrzeba mitu jest w stosunku do rozwoju nauki niemal zupełnie autonomiczna (zupełna autonomiczność jest pojęciem z zakre-

5. *ibid.*, str. 235.

su mitologii), bowiem sam fakt ludzkiej skończoności jest równoznaczny z lękiem, obawą i cierpieniem. Sytuacja ta jest specyficznie ludzka, gdyż lęk, obawa i cierpienie w znaczeniu egzystencjalnym związane są z samoświadomością, którą tylko my w tym świecie posiadamy i ów „odruch warunkowy", który jest w stanie nas przynajmniej częściowo uspokoić (tzn. działalność mitotwórcza), różni się jakościowo od odruchów nieświadomych. Dlatego też pisze Kołakowski[6]:

„Dla mitologii odnaleźć można nie tylko miejsce wyznaczone potrzebami trwania gatunkowego, lecz również źródło tkwiące w potrzebie samookreślenia świadomości zdenaturalizowanej. Podwojenie świadomości — nieuchronny korelat kultury — stwarza ... radykalną samowiedzę własnej różności wobec natury, nieprzynależności mojej do jej porządku...

„Jednakże 'być wrośniętym' w byt, który mnie przekracza — potrzeba taka wydaje się nieusuwalna; opuszczenie przedrefleksyjnej integracji w naturze nie może być przyjęte jako sytuacja nieodwracalna, oznacza bowiem zgodę moją na to, że jestem absolutem. Zgody tej udzielić nie mogę w dobrej wierze, tj. nie mogę w dobrej wierze uznać, że jestem Bogiem. Nie mogę siebie uznać za wszechmocnego w porządku wartości, wiedząc na pewno, że nim nie jestem w porządku bytu. Niezdolni do przywrócenia sobie spontanicznej bezpośredniości w kontakcie z naturą, zniewoleni jesteśmy szukać integracji w odwrotnym kierunku; utraciwszy korzenie świadomości własnej w naturze, staramy się dla natury znaleźć korzenie, które pozwolą upodobnić ją do świadomości, tj. wyposażyć ją w ład mityczny".

Innymi słowy, choć Kołakowski zgadza się w zasadniczych punktach z opisem sytuacji ludzkiej przez tradycję egzystencjalistyczną, stara się on równocześnie pokazać, że nie można w dobrej wierze zajmować tego stanowiska, które Sartre nazywa „dobrą wiarą". To pogrobowe zwycięstwo Pascala oznacza właśnie dla Kołakowskiego, owego specjalisty od herezji, nieuchronną konieczność mitu. Mit ma zatem motywy, ale nie ma racji; „nie potrzebuje ich — lecz nie dlatego, że mieć nie może; przeciwnie: nie może ich mieć, bo nie potrzebuje. Odniesienie nasze do mitu nie jest bowiem poszukiwaniem informacji, ale samoumiejscowieniem w stosunku do obszaru, który doświadczany jest tak, iż jest warunkiem (nie logicznym lecz egzystencjalnym) naszego przywierania do świata i do wspólnoty ludzkiej..."[7].

Metafizyka, ów kamień obrazy zdrowego rozsądku, jest natomiast „szukaniem racji dla mitu", a zatem *błędem,* który polega na tym, iż pojęcia racji, ograniczonego do pola empirycznego doświadczenia, używa się w rejonach zupełnie odrębnych. Dopóki jednak nie przeprowadzi się „krytyki" ludzkiego rozumu,

6. *Obecność mitu,* str. 115-6.
7. *ibid.,* str. 61.

która odrębność tę wydobędzie na jaw i odpowiednio ograniczy stosowalność różnych pojęć, błąd ten musi być popełniany.

◆

Podjęcie wyczerpującej dyskusji zagadnień poruszonych przez Kołakowskiego w *Obecności mitu* musiałoby prowadzić do napisania drugiej książki, znacznie prawdopodobnie przekraczającej rozmiarami książeczkę Kołakowskiego. Moje obiekcje wobec merytorycznej strony *Obecności mitu* postaram się więc podsumować za pomocą kilku kategorii, stanowiących jedynie sam szkielet, schemat, który powinien właściwie zostać wypełniony konkretnymi analizami.

1. Bardzo ważnym punktem w książce Kołakowskiego jest jego odrzucenie wszelkich pretensji, jakie mogłaby mieć logika, do bycia zbiorem poznań absolutnie prawdziwych, nieempirycznych i zarazem odnoszących się do jakichś rzeczywistych przedmiotów. Bo też gdyby się takie pretensje okazały uzasadnione, to możliwość radykalnego empiryzmu zostałaby automatycznie przekreślona, jako że istniałby absolut rozumu, zupełnie nieredukowalny do empirii, adaptacji gatunku itp.

Otóż wbrew temu, co pisze Kołakowski, żadna z tych cech logiki nie da się zanegować. Nie można bowiem ani pokazać, że logika jest zbiorem zdań analitycznych, dyktowanym przez konwencje dotyczące rozumienia słów języka potocznego czy też naukowego, ani też pokazać, iż jest ona zbiorem zdań *a posteriori,* czyli empirycznych. Również nie rozumiemy w ogóle, co mogłaby znaczyć ewentualna nieprawdziwość sądów logicznych. Co najciekawsze, większość tych prawd zawdzięczamy samym pozytywistom.

a) Aby pokazać, iż logika jest zbiorem zdań analitycznych, należałoby wypowiedzieć owe konwencje, na mocy których zdania te są prawdziwe. Jak wiadomo jednak, sama definicja sądów analitycznych na gruncie języka naturalnego nastręcza niezwykłych trudności, zakłada ona bowiem, iż wiemy, co to znaczy, że dwa słowa są równoznaczne, a to z kolei zakłada, iż wiemy, co to jest znaczenie, niezależnie od desygnacji i od sposobu posługiwania się danymi słowami (bo to ostatnie jest tożsame z analitycznością)[8]. Tak długo jak istniała nadzieja na całkowitą formalizację logiki i matematyki, można się było jeszcze łudzić, iż ilość owych konwencji potrzebnych do konstrukcji tych nauk

8. Dla pełniejszego omówienia trudności związanych z pojęciem analityczności, por. W. V. Quine, „Two dogmas of empiricism" w: *From a Logical Point of View,* Harvard University Press, 1953.

jest skończona i że można będzie zbudować język sztuczny, w którym te konwencje by obowiązywały. Po zapoznaniu się z twierdzeniem Gödla, trzeba tę nadzieję porzucić, gdyż niesie ono za sobą fakt nieskończonej ilości konwencji, co jest oczywiście absurdem[9].

b) Aby pokazać, że logika jest zbiorem zdań empirycznych, należałoby wskazać na te fakty, do których się ona odnosi oraz pokazać możliwe instancje falsyfikujące prawa logiczne. Absurdalność tej koncepcji jest właściwie oczywista, jeżeli nie zastosujemy wariantu psychologistycznego, który zmienia zupełnie sens tych praw. Nawet jednak wówczas nie bylibyśmy w stanie zrozumieć na czym polega owo gatunkowe ograniczenie ważności praw logicznych, skoro *ex definitione* nie potrafimy wykroczyć poza granice naszego gatunku. A zatem sama redukcja logiki do psychologii jest bezpodstawna, jeśli ma być prawdą empiryczną (jako prawda nieempiryczna jest ona po prostu absurdalna).

c) Możliwość ewentualnego zastąpienia naszej logiki przez jakąś inną jest zupełnie niezrozumiała, bo prawdziwa różność owej nowej logiki oznaczałaby jej nieprzetłumaczalność na język naszej logiki. Z powodów powyżej podanych (w punkcie *a*) nie można by jej również wprowadzić za pomocą przedstawienia jej aksjomatów, jeśli miałaby ona być dostatecznie bogata, by naszą logikę zastąpić. Jednakże wówczas ta nowa logika nie daje się w ogóle precyzyjnie *pomyśleć* (nie na darmo zwiemy prawa logiki prawami myślenia).

d) Uniwersalność praw logiki (rozumianych jako nieanalityczne) jest zupełnie nie do pogodzenia z ich instrumentalnością, gdyż nie do pomyślenia jest narzędzie (odruch), które daje się użyć do wszystkiego.

2) Koncepcja nauki empirycznej jako czystego narzędzia przystosowania biologicznego nie daje się porządnie wypowiedzieć. Po pierwsze, należałoby w miarę precyzyjnie sformułować owo słynne kryterium sprawdzalności jako wymiernika sensowności zdań naukowych. Jak wiadomo ze związanych z tym przygód Carnapa, jest to praktycznie niemożliwe, gdyż nauka nasza zawiera wiele pojęć i twierdzeń, których sens empiryczny nie da się wykazać a które wydają się nieeliminowalne. Wraz z coraz luźniejszą formulacją tego kryterium, znaczenie jego staje się coraz bardziej niejasne i jego sens empiryczny coraz bardziej wątpliwy.

9. W związku z tym problemem, por. tegoż autora „Truth by convention" i „Carnap and logical truth" w: *The Ways of Paradox and Others Essays*, Random House, 1966.

Po drugie, sens twierdzenia o redukowalności nauki do statusu odruchów warunkowych ma bardzo swoisty charakter, graniczący z błędnym kołem. Twierdzenie to mówi bowiem między innymi, że samo nie ma właściwie sensu w mocnym znaczeniu tego słowa i że nie jest ono prawdziwe w klasycznym rozumieniu. Jest ono nie tyle informacyjne co użyteczne i choć stara się równocześnie informację z użytecznością utożsamić, mówi tylko, że taka identyfikacja jest sama użyteczna. Co prawda opiera się ono wszelkim argumentom racjonalnym, ale tylko dlatego, że ich w ogóle nie słucha. Gdyby chciało słuchać choć przez chwilę i nie udawać stołu, przyznałoby tylko, że ma jakieś *znaczenie*, a to zaś równałoby się z jego zagładą. Husserl wyłożył ten argument bardzo dobrze, choć może przeceniał jego skuteczność (był on już znany w starożytności).

3. Sam fakt prowadzenia przez Kołakowskiego analizy fenomenologicznej mitu przyznaje tego ostatniego sensowność i jest nie do pogodzenia z naturalistycznym redukcjonizmem. Do tej tezy wrócimy jeszcze poniżej. Na razie zwróćmy tylko uwagę na fakt, że pojawienie się dualizmu: świadomość bezpośrednia — świadomość zapośredniczona i ich powtórna synteza jest po prostu powtórzeniem w wersji Kołakowskiego owego mitu upadku człowieka i mitu pierwotnej szczęśliwości. Fundamentalność i absolutność tego dualizmu była wiele razy podważana, między innymi przez Kanta i Hegla z jednej i Marksa z drugiej strony. Kołakowski, o ile chce uniknąć owej wizji manichejskiej, o której wspomina w konkluzji *Filozofii pozytywistycznej*[10], broni w swej pracy naturalistycznego wariantu marksistowskiego, podczas gdy pomija właściwie zupełnie wariant pierwszy. Wariant drugi jest pewną wersją utrzymania rzeczy samych w sobie, podczas gdy wariant pierwszy wychodzi z założenia, iż obecność ludzka w świecie jest do tego stopnia nieeliminowalna, iż, jak to Kołakowski sam kiedyś zauważył, „można powiedzieć, że w całym wszechświecie człowiek nie potrafi odnaleźć studni tak głębokiej, by, pochylając się nad nią, nie odkrył na dnie swojej własnej twarzy"[11]. W takim jednak przypadku dualizm samowiedzy i natury nie jest niczym absolutnym. Co więcej, naturalistyczna redukcja samowiedzy jest przedsięwzięciem zupełnie beznadziejnym, gdyż u swych podstaw zakłada tej ostatniej nieredukowalność. Redukcja taka, posiadając charakter dyskursywny, byłaby równoznaczna z np. logicznym dowodem, że nic logicznie dowieść nie można. Zastąpienie słowa „transcendental-

10. *Filoz. poz.*, str. 234-5.

11. „Karol Marks i klasyczna definicja prawdy" w: *Kultura i fetysze*, str. 80.

ny" poprzez „egzystencjalny" w sformułowaniu „warunek transcendentalny" nic właściwie tu nie załatwia. A zatem kultura ludzka wydaje się być owym absolutem, którego istnienie Kołakowski odrzuca. Jest to również (z racji jej samoodniesienia, czyli refleksyjności) struktura stanowiąca o racjonalności ludzkiej egzystencji.

4. W związku z powyższym sytuacja cierpienia, spowodowanego przez ludzkie wyobcowanie z natury i tej ostatniej wobec nas obojętność, przestaje być tak fundamentalna, jak to Kołakowski przedstawia, a staje się coraz bardziej *pretensjonalna.* W takim jednak przypadku owa nieusuwalność mitu staje się równie niefundamentalna, choć można się zgodzić na jego *praktyczną* nieusuwalność.

5. Kołakowski ułatwia sobie niezwykle zadanie pokazania niemożliwości podania racji dla mitu, tj. niemożliwości metafizyki, poprzez krytykowanie wyłącznie jej dogmatycznej postaci przedkantowskiej, uwikłanej w pojęcie absolutu transcendentnego. Pomijając prawie zupełnie wariant transcendentalności absolutu, a raczej przyjmując go bez wyraźnego przyznania, osłabia on znacznie swój argument, jako że *Krytyka czystego rozumu* została już raz napisana i wydana w roku 1781. Jedynym wariantem rozwiązania transcendentalnego, który Kołakowski rozważa, jest dosyć słaby wariant Husserla. Jednakże, jak zobaczymy jeszcze później, i tu krytyka jego wydaje mi się mało przekonywująca, gdyż Kołakowski od egzystencjalistycznie zabarwionej fenomenologii nigdy się nie uwolnił.

◆

Wydaje mi się, iż dosyć tych czysto profesjonalnych polemik i żeby nie zanudzać dalej czytelnika, dobrze będzie skoncentrować się na bardziej przystępnych problemach poruszonych w drugim i trzecim z postawionych na początku pytań. Problemy te, choć prawdopodobnie mniej ważne w terminach absolutnych, mogą się okazać o wiele bliższe przekrojowi polskiego pisma, które od lat stara się dzielnie wystawić diagnozę tak trudnemu pacjentowi jak Polska popaździernikowa. Niechże więc tych parę uwag, dotyczących dominującej sylwetki polskiego intelektualisty owego okresu, zostanie potraktowane jako skromny wkład w ocenę życia intelektualnego owych czasów. Jeśli jednak uwagi poniższe wydadzą się komukolwiek zbyt nie *fair,* aroganckie lub zgoła bezczelne, chciałbym zaznaczyć od razu, iż jestem w pełni świadomy faktu, że porywam się na człowieka, którego zasługi w pełni uznaję i szanuję. Byłem niegdyś jego studentem i poczytuję to sobie za zaszczyt. Polemika, którą chcę z Kołakowskim prowadzić nie ma być polemiką osobistą lecz filozoficzną i polityczną w szerokim rozumieniu tego słowa. Jeśli oskarżam go o złą wiarę, to używam tego terminu w sensie filozoficznym i jak najdalszy jestem od przyrównywania owej złej wiary do cynizmu czy hipokryzji. Jeśli pojawia się sprawa rozrachunku z przeszłością, to chodzi wyłącznie o rozrachunek intelektualny, jestem bowiem zupełnie przekonany, iż rozrachunek osobisty w kategoriach czysto moralnych został przez Kołakowskiego przeprowadzony już dawno i z wielką godnością. Co więcej, należałoby zaznaczyć, iż osoba Leszka Kołakowskiego była tyle razy atakowana z pozycji, z którymi wystrzegam się jak jak ognia jakiejkolwiek wspólnoty, że, jak gdyby własne, chcę przytoczyć tu słowa Benjamina Constant, które napisał on, będąc zmuszonym zaatakować Rousseau: *„J'éviterai certes de me joindre aux détracteurs d'un grand homme. Quand le hasard fait qu'en apparence je me rencontre avec eux sur un seul point, je suis en défiance de moi-même; et pour me consoler de paraître un instant de leur avis ... j'ai besoin de désavouer et de fletrir, autant qu'il est en moi, ces prétendus auxiliaires*[12]".

Obecność mitu jest wyznaniem braku wiary. Ale równocześnie jest ona wyznaniem szczególnym, bowiem stara się przekonać nas jednocześnie, iż wiara, której brak Kołakowskiemu, jest niczym więcej niż właśnie wiarą. Kołakowski argumentuje przeciw pozytywistycznej redukcji wszelkiej działalności pozanaukowej jako jeszcze jednej formie mitu, wyrażającej „akt wiary wymierzonej przeciwko wierze w Rozum"[13]. Sam równocześnie przeprowadza on jednak redukcję innego rodzaju, redukcję wszelkiej działalności pozanaukowej do z gruntu nieracjonalnego obszaru „potrzeb" egzystencjalnych. Kołakowski unika zwykłego, wulgarnego psychologizmu w opisie zjawisk kulturowych tylko za pomocą nieco bardziej wyszukanego psychologizmu transcendentalnego, zastępując czysto empiryczne rozważania psychologistyczne zapożyczonymi argumentami fenomenologicznymi. Zamiast tłumaczenia genetycznego *sensu stricto,* stara się on opisać zawartość intencjonalną mitu, nie rezygnując jednocześnie z redukcji jego sensu. Jednakże postawa taka jest zasadniczo niemożliwa, psychologizm transcendentalny to tyle co krzywe koło (marginesowo dodajmy, iż ta nazwa popaździernikowego klubu intelektua-

12. „De la liberté des anciens comparée à celle des modernes" (1819), przedrukowane w *Cours de la politique constitutionelle* (1872) II, 549. Cyt. za Hannah Arendt, *The Human Condition,* University of Chicago Press, 1958, str. 79.

13. *Obecność mitu,* str. 48.

listów warszawskich, którego Kołakowski był, o ile się nie mylę, wybitnym członkiem, wydaje mi się niezwykle charakterystyczna i znacząca[13a]). Podstawą bowiem wszelkiego argumentu transcendentalnego jest założenie *sensu* działalności ludzkiej, sensu, który raz przyjęty, jest zupełnie nieredukowalny. Słowo „potrzeba", które służy Kołakowskiemu do przeprowadzenia owej redukcji, jest najzwyczajniej w świecie mylące, gdyż z chwilą przyjęcia jej *sensowności,* z chwilą przyznania, iż daje się ona intencjonalnie (tj. rozumiejąco!) wyinterpretować, potrzeba owa przestaje być potrzebą biologiczną czy też *naturalną.* Tam gdzie pojawia się sens, odpada bezpowrotnie możliwość jego redukcji. Sceptycyzm może być tylko radykalny, pozytywizm, który zakłada istnienie sensu nie może się utrzymać, bowiem — jak sam Kołakowski przyznaje — jego istota polega na redukcji prawdziwości do statusu przydatności adaptacyjnej gatunku, a zatem do negacji nie tylko wszelkiej transcendencji, lecz również wszelkiej transcendentalności. Przyznanie człowiekowi samowiedzy jest równoznaczne z dopuszczeniem możliwości racjonalnej (a nie „mitycznej") samointerpretacji. Dlatego też nie bez powodu wszelki pozytywizm boi się jak ognia owego słowa „świadomość" i stara się je jak zły sen wyeliminować. Trzeba uczciwości tak wielkiego człowieka jak Hume, żeby w tej sytuacji przyznać, iż nie jest się w stanie do końca fenomenu tego zredukować.

Jeśli jednak nie da się sensu wyeliminować, jeśli nie da się zredukować pojęcia znaczenia do zjawisk empirycznych, to próba redukcji mocnego (klasycznego) sensu prawdziwości jest również skazana na niepowodzenie. Jej podjęcie może być tylko wynikiem konfuzji lub wynikiem złej wiary. O to pierwsze Kołakowskiego nie posądzam, czyniąc mu tym samym niezbyt przyjemny komplement przypisania mu złej wiary. Jako na jeden z jej przykładów możemy wskazać na fakt karykaturalnego przedstawienia metafizyki przez Kołakowskiego, który zajmuje się jedynie jej postacią przedkantowską i pomija rzetelną dyskusję wariantu transcendentalnego, obecnego np. w filozofii Hegla. Przyczyn i skutków tej to właśnie złej wiary chciałbym się starać doszukać.

13a. Cały sens tej uwagi marginesowej opiera się na rozumieniu słowa „krzywe" w zwrocie „krzywe koło" jako znaczącego tyle co „ułomne", „nie okrągłe", czyli w znaczeniu takim, które nadaje całemu wyrażeniu sens sprzeczności. Tak chyba należy je rozumieć, bowiem w przypadku rozumienia słowa „krzywe" w jego znaczeniu geometrycznym cały zwrot staje się pleonazmem i znika pointa owej charakterystycznej nazwy. Gdybym jednak mylił się co do intencji tego, kto ją wymyślił, proszę zamienić po prostu wyrażenie „krzywe koło" na „kwadratowe koło" i nie brać uwagi marginesowej pod uwagę. Nie zmienia to faktu, iż czuję się trochę głupio, robiąc dowcipy, które trzeba tłumaczyć.

Filozof usiłuje nas przekonać, iż w dosłownym znaczeniu filozofia nie ma *sensu,* usiłuje nam podać wersję filozoficzną zdroworozsądkowego poglądu, iż filozofia jest wynikiem pewnej patologii, swego rodzaju wynaturzenia, a jednocześnie stara się nadać swoistą godność, swego rodzaju patos, tej chorobie, poprzez ukazanie jej koniecznego charakteru. Postawa ta, pomijając jej merytoryczną niesłuszność, jest wręcz zabójcza, paraliżująca; reprezentuje ona, jak mawia mój przyjaciel, ideologię apostazy kulturowej. Bo też zastanówmy się przez chwilę nad jej konsekwencjami. Człowiek, który wzniósł się na wysokości tej doktryny, nie może więcej zajmować się filozofią *sensu stricto,* bowiem sens *Obecności mitu* pokazuje zupełną beznadziejność wszelkiego wysiłku twórczego jako działalności racjonalnej. Filozofia *(czyli* metafizyka) jest jedynie szukaniem racji dla mitu. Jeżeli istnieje jakiekolwiek znaczenie tej działalności, to jedynie jako przedłużenie działalności mitotwórczej, ponieważ sens, który przypisuje ona sobie na poziomie świadomości, jest raz na zawsze przekreślony. Powtarza się tutaj ów stary symptom filozoficznej wiary, która każe twierdzić każdemu systemotwórcy, iż jego system jest ostateczny, iż filozofia się skończyła. U Kołakowskiego jednak jest ów symptom *złą wiarą,* bowiem, po pierwsze, odmawia on swym poglądom godności systemu i, po drugie, nie wierzy on (zupełnie zresztą konsekwentnie), iż owej filozoficznej działalności mitotwórczej kładzie rzeczywiście kres — odmawia on jej tylko na przyszłość godności *filozofii.* Tak więc zapowiada on nową formę krytyki filozoficznej, którą można by przyrównać do krytyki literackiej bez literatury. Krytyka taka, krytyka fundamentalnie nieproduktywna (tj. zarówno nie zapobiegająca powtarzaniu się błędu jak i nie zapowiadająca nowej poprawności), staje się w konsekwencji poglądów Kołakowskiego nowym absolutem filozofii. „Uświadomiony" filozof przestaje być filozofem, nie może on już w dobrej wierze filozofować, może co najwyżej w złej wierze krytykować.

Ale może powie Kołakowski, lub raczej jakiś jego mniej inteligentny wyznawca, że filozofia nie przestanie przez to istnieć, że nie będzie nigdy owego „narodu kulturalnego bez metafizyki", którego obawiał się niegdyś Hegel. Zostanie jej odebrana godność prawdziwości, ale pozostanie jej zarówno trwanie jak i jej funkcja wewnątrzkulturowa czy też kulturotwórcza. Tak, to prawda, ale będzie to „filozofia frajerów", jej funkcja będzie osłabiona, czyniąca całą kulturę drugorzędną, pozbawioną umysłów pierwszej klasy. Żaden bowiem umysł pierwszorzędny, wyposażony w niezbędny dla filozofii zmysł krytyczny, nie będzie w stanie się nią zająć (ani też jej wierzyć) w dobrej wierze. Zła zaś wiara rodzi złych filozofów. Alternatywa niemocy filozofii

jest niezwykle ponętna, gdyż naszą własną niemoc usprawiedliwia. Czyż jednak nie staje się przez to filozofią niemocy?

Sytuacja powyżej opisana nie jest zresztą ograniczona do filozofii. Wspomnieliśmy już o analogii do literatury. Pokrewieństwo filozofii i literatury jest od dawna stwierdzone, rzadko jest jednak właściwie rozumiane, bowiem nieprawdą jest, że filozofia układa bajki, a prawdą jest, iż literatura mówi prawdę. Bez tego założenia *bona fide* literatura jest zupełnie niemożliwa. Jeśli kiedykolwiek załamie się to przekonanie, jeśli pisarze zaczną pisać bajki (i to jeszcze bajki bez morału), nie pozostanie nam nic innego niż zła literatura i *mala fide* krytyka literacka. Znowu więc trafiamy na ową „bogato ozdobioną świątynię bez Przenajświętszego Sakramentu", by jeszcze raz zacytować słowa Hegla, owego *whipping boy* wszystkich, którzy go nie czytali. Sytuacja sztuki w tym modelu nie wydaje się być odmienna, możemy sobie jednak chyba oszczędzić powtarzania argumentów przytoczonych wcześniej.

Choć pod adresem filozofa zarzut niezauważenia czy też pominięcia milczeniem — a żadne pominięcie nie jest całkiem nieumyślne i nieintencjonalne (co nie jest *nota-bene* potwierdzeniem a zaprzeczeniem Freuda) — owej *differentiae specificae* filozofii jest prawdopodobnie najpoważniejszy, niewiele mniej poważnym jest zarzut przeoczenia istoty mitu i religii przez autora książki o micie. Choć bowiem zauważenie analogiczności tego przeoczenia z poprzednimi wymaga nieco więcej finezji, nie przestaje być ona faktem. Aby spostrzeżenie to uczynić wystarczy zwrócić jeszcze raz uwagę na sposób, w jaki Kołakowski analizuje treści religijne jako przedmioty intencjonalne. Powtarza się tu mianowicie ta sama sytuacja co w przypadku filozofii — treść mitu zostaje rozpoznana jako *sensowna,* poddająca się analizie fenomenologicznej. Tym samym jednak jest zupełnie niemożliwe do wykluczenia pytanie o jej prawdziwość lub fałszywość. Nie jest tak, jakoby to tylko *subiektywne* przeświadczenie o prawdziwości religii było nieusuwalne, jakoby przeświadczenie to opierało się jedynie na psychologicznym (empirycznym) fakcie niemożliwości wierzenia w coś bez wierzenia równocześnie w tego czegoś prawdziwość. Zjawisko to ma charakter transcendentalny, ponieważ to, w co się wierzy, jest całością *sensowną.* Kołakowski przyznaje to *nolens volens* z chwilą, gdy traktuje przedmiot wiary jako przedmiot intencjonalny. Musi się on więc zdecydować, czy zamierza wyrzucić prawdę, czy też swój naturalistyczny pozytywizm. Choć *tertium non datum,* autor *Obecności mitu* chce uniknąć tej decyzji przez odmówienie prawomocności husserlowskiemu rozróżnieniu pomiędzy aktem a jego treścią i powołuje się na fakt odrzucenia przez egzystencjalistów fenomenologicznej *epoché.* Trudno oczywiście nie przyznać, iż ów husserlowski zabieg „brania w nawias" jest czymś sztucznym; obiekcja ta nabiera jednak sensu wyłącznie wobec wyznawców fenomenologii. Faktem natomiast pozostaje, iż nawet zaprzeczenie absolutnego rozróżnienia treści i aktu nie może prowadzić do pochłonięcia treści przez sam akt, bez popadnięcia w beznadziejność błędnego koła sceptycyzmu. Sceptycyzm ten nie jest postawą niemożliwą, jest nawet tak opancerzony, iż nie można go nigdy wykorzenić, jest jednak postawą kulturowo samobójczą. Toteż Kołakowski nie przyjmuje jego wersji radykalnej, bo wówczas to, co robi w swojej książce, byłoby po prostu absurdem. Z chwilą jednak, gdy staje się ów sceptycyzm niekonsekwentny, tj. z chwilą gdy przestaje milczeć, jeżeli przywiązuje jakiekolwiek *znaczenie* do swoich słów (na przykład mówi o treściach intencjonalnych) i nie traktuje swoich wypowiedzi na równi ze zwykłym odruchem warunkowym, zostaje on natychmiast wplątany w sytuację bez wyjścia.

Z drugiej jednak strony, jeśli absolutne rozróżnienie między treścią i aktem nie daje się utrzymać, nieuchronną konsekwencją jest ostateczne pochłonięcie aktu przez treść. Być może konsekwencja ta, choć niewygodna, jest nieunikniona. Nie oznacza ona jednak konieczności zupełnej eliminacji „materii" ani też husserlowskiego idealizmu. Pozostaje jeszcze wersja heglowska, której Kołakowski w swej pracy nie poruszył, jest to bowiem teren zakazany dla tych, którzy poparzyli się na doktrynie pewnego przedstawiciela heglowskiej lewicy (co, jak już wspomniałem, jest tylko potwierdzeniem ich złej wiary). Wersja ta być może (powtarzam: być może!) załatwiła ten problem bez całkowitej eliminacji „materii".

Jeśli jednak nieredukowalność sensu zawartości religii pozostaje w mocy wbrew wszelkim zakusom naturalistycznego monizmu, analiza Kołakowskiego okazuje się zafałszowywać fundamentalny charakter zjawisk religijnych. Albowiem więziotwórcza moc religii nie jest wówczas wynikiem absurdalności życia ludzkiego, lecz jest funkcją jej uczestniczenia w wysiłku *poznawczym,* odkrywającym *realność* ludzkiej wspólnoty. Tak więc owe próby, które, czy to wierząc w możliwość poznania czysto dyskursywnego, interpretowały religię i mitologię jako „niedoskonałą" filozofię (Hegel), czy też możliwość tę odrzucając, rozumiały je jako pozadyskursywne objawienie prawdy (Schelling), lepiej ujmowały istotę tych zjawisk niż Kołakowski.

Ostatnim wreszcie i może najbliższym naszemu losowi obszarem, w którym przyjęcie pozycji Kołakowskiego staje się zabój-

cze, jest płaszczyzna życia politycznego. Jednym z „usprawiedliwień" (jeśli w ogóle można użyć w jego języku takiego wyrażenia), jakie prokuruje Kołakowski działalności mitotwórczej, jest funkcja społeczna mitu jako przenosiciela wartości niezbędnych w życiu wspólnoty, choć tak samo „urojonych" ze względu na ich moc *racjonalnego* oddziaływania jak „urojoną" jest funkcja poznawcza mitu. Nigdzie może tak jak tu zła wiara, obecna w *Obecności mitu,* nie rzuca się w oczy. Tutaj bowiem Kołakowski odwołuje się po prostu do obskurantyzmu jako spoidła koniecznego dla gatunkowego przetrwania człowieka. Obskurantyzm, który mam na myśli, to nie tradycja w rozumieniu konserwatyzmu po prostu, elitaryzmu po prostu (idee te są mi samemu bardzo bliskie), lecz konserwatyzmu *mala fide* i elitaryzmu *mala fide.*

Nie bądźmy jednak niesprawiedliwi. Ostre sformułowania użyte powyżej stosują się do koncepcji Kołakowskiego z pozycji mu *zewnętrznych;* w samej jego pozycji zawarte są one jedynie *implicite.* Kołakowski twierdzi wprawdzie, iż wszelkim wartościom odmówić należy statusu prawdziwości, nie twierdzi on jednak, iż popieranie wartości tradycyjnych jest w ramach jego poglądów świadomym popieraniem kłamstw i błędów, które zapewniają wygodę zarówno tym, którzy w nie wierzą, jak i tym, którzy zdają sobie sprawę, iż są one tylko błędami, lecz łatwowierność tłumu wykorzystują. Nie, Kołakowski twierdzi jedynie, że status prawdziwości ideom tym, czy raczej mitom, nie przysługuje w taki sposób, iż określenia „prawdziwy", i „fałszywy", „oszukańczy", „błędny" itp. w ogóle nie dają się do nich sensownie stosować. Popieranie więc tradycji, choć odmawia się jej jakiejkolwiek prawdziwości, nie jest bynajmniej popieraniem obskurantyzmu, jako że odmawia się jej w ogóle statusu poznawczego. Co więcej, można by nawet powiedzieć, że tradycja *qua* tradycja jest przydatna technologicznie, gdyż pomaga przetrwaniu gatunku ludzkiego, który bez społeczności musi zginąć równie niechybnie jak pszczoły pozbawione ula czy mrówki pozbawione mrowiska. Tradycja pełni, według Kołakowskiego, taką samą rolę, jaką pełnią wśród pszczół i mrówek wrodzone im instynkty dziedziczone, które pozwalają im budować ule czy mrowiska. Mówienie w takim wypadku o prawdziwości czy fałszywości tradycji nie ma w ogóle sensu. Co więcej, tradycja *qua* tradycja, a raczej zdanie „Należy popierać tradycję dla niej samej", jest nawet w ograniczonym zakresie prawdziwe w znaczeniu naukowym, które Kołakowski uznaje.

Przy przyjęciu tych naukowych jedynie kryteriów, obrona jakichkolwiek wartości staje się jednak z punktu widzenia Kołakowskiego *praktycznie* niemożliwa, bowiem co innego jest stwierdzić, iż poszanowanie tradycji jest pożyteczne ze względu na zachowanie się gatunku, a co innego, że należy starać się ten gatunek zachować. Oczywiście może się Kołakowski powołać na to, iż dążenie każdego gatunku do samozachowania jest po prostu faktem, jednakże to właśnie wytrąca mu z ręki wszelki argument w walce z czymś tak specyficznie ludzkim jak nihilizm, tj. z wszelkim zachowaniem *świadomie* prowadzącym do zagłady gatunku. Albowiem na gruncie czysto biologicznym żyć można chcieć, ale nie można nikogo o powinności tej chęci przekonać. Rzeczą znaną są przykłady zupełnie poprawnych z punktu widzenia naturalistycznego argumentów (por. np. de Sade), które odwołują się do faktu, iż zachowanie gatunku jest przyrodzie zupełnie obojętne. Również w przypadku, w którym ktoś dąży *nieświadomie* do zagłady gatunku, sytuacja nie jest wiele lepsza, gdyż jeśli tylko ludzie są dostatecznie głupi, aby pozwolić głupocie nad sobą zapanować, jedyną odpowiedzią naturalisty jest, iż gatunek ludzki był słabo przystosowany. Nie chcę bynajmniej przez to twierdzić, że naturalista skazany jest na fatalizm, lecz że wartość, jaką z czysto naukowego punktu widzenia przypisuje on tradycji, może być tylko utylitarna, podczas gdy już sama czynność robienia tego co użyteczne może być rozumiana jedynie jako fakt, a nie jako powinność.

Jednakowoż, jak staraliśmy się poprzednio wykazać, sam fakt prowadzenia przez Kołakowskiego fenomenologicznej analizy twórczości mitycznej, odsłaniania jej zawartości intencjonalnej, świadczy o połowicznym charakterze jego redukcjonizmu naturalistycznego. Poprzez fakt uznania *implicite* sensowności ludzkiej działalności mitotwórczej. Kołakowski nie jest w stanie konsekwentnie zanegować klasycznego pojęcia prawdziwości i w ostatecznym rachunku prawdziwości lub fałszywości tego, co tradycja intelektualna czy religijna przekazuje. Istnieje oczywiście cały zakres *zachowań* przekazywanych przez tradycję, których uzasadnienie może się obyć bez wykraczania poza naukowe (tj. empiryczno-utylitarne) uzasadnienie. Tu chodzi nam jednak o tradycję, która wykracza poza system nieświadomych odruchów warunkowych, mianowicie o system wartości moralnych, wierzeń religijnych czy też przekazów związanych ze zdobyczami filozoficznymi danej tradycji. W tej sytuacji jednak, jak już wielokrotnie zauważyliśmy, można przyjąć dwie jedynie postawy: albo wszelkiej sensowności temu systemowi odmówić i zredukować go również do roli nieświadomych odruchów warunkowych, albo zrezygnować z odmawiania mu wartości prawdziwościowej (logicznej). Unikanie tego wyboru jest właśnie złą wiarą, o którą Kołakowskiego posądzam.

W świetle powyższego wyboru stoją przed Kołakowskim dwie możliwości: Pierwsza to zupełnie poniechać przekonywania *sensu stricto* co do wartości przekazywanych przez tradycję i je siłą lub nie siłą narzucać, bo oczywiście nie można bez hipokryzji nikogo przekonywać, iż ma uznawać wartości tradycyjne *qua* wartości, gdy istnieniu rzeczywistych, tj. prawdziwych, wartości się przeczy. Jednakże gdy wartości przestają być uznawane *qua* wartości, ich moc wiążąca mogłaby się opierać jedynie na przekonaniach naukowych. Znaczyłoby to jednak tyle, co powiedzieć komuś: „Wierz w to, a jednocześnie nie musisz być przekonanym, że to, w co wierzysz, jest prawdą". Polecenie takie nie zgadza się niestety ze zwykłym faktem psychologicznym, wiążącym wiarę z przeświadczeniem o prawdziwości tego w co się wierzy. Dlatego też słusznie Kołakowski popiera tradycję jako niezbędną ze względu na konieczną obecność wartości *qua* wartości w życiu zbiorowym, jednakże staje się on wówczas bezbronny wobec *narzucania* wartości.

Druga możliwość to uznać możliwość uzasadniania wartości, a zatem zrezygnować z przekreślania możliwości podania racji dla „mitu". Odmowa przyjęcia tej drugiej alternatywy, bez pełnego przyjęcia tej pierwszej, jest właśnie złą wiarą. Nie chcemy zgodzić się na sytuację, w której jesteśmy bezsilni wobec przemocy, a jednocześnie negujemy, iżbyśmy posiadali wobec niej rzeczywistą broń w postaci racji moralnej i prawdziwego argumentu. Szczególnie wobec sytuacji reżymu, który zerwał już z retoryką nihilistyczną i stara się zaprowadzić nowy ład za pomocą próby utworzenia nowej tradycji, wobec najgorszych form nowoczesnego konserwatyzmu lewicowego, wobec nowoczesnych prób wprowadzania religii państwowo-narodowej, jesteśmy bezsilni.

To, co pozostało nam jeszcze do pokazania, to że przyjęcie tej drugiej możliwości (podania racji dla tradycji) nie wyklucza prawdziwego konserwatyzmu. Konserwatyzm taki odwołuje się do tradycji jako *mądrości* danej wspólnoty, w dosłownym znaczeniu słowa „mądrość". Uznaje on czysto teoretyczną możliwość oparcia społeczeństwa na przesłankach zupełnie racjonalnych i dyskursywnych, przesuwa ją jednak bezustannie w przyszłość jako *utopię,* tj. system idealny, którego realizacja jest niemożliwa, czy to ze względów praktycznych, czy też bardziej zasadniczych, związanych z nieeliminowalnością pewnych czynników uniemożliwiających realizację ideału. Jeśli nie wierzy on w ogóle w utopię, to przynajmniej uważa, iż tradycja objawia mu zasady *prawdziwe.* Tak czy inaczej, nie popiera on oszustwa, gdy odwołuje się do tradycji jako praktycznego sposobu przekazywania wartości, ponieważ, nawet gdy jest świadomy braku właściwego uzasadnienia tych wartości w samej tradycji, wie, że wartości te są z innych nieco względów prawdziwe lub też dopuszcza przynajmniej możliwość ich prawdziwości i uzasadnienia. Konserwatyzm taki nie jest więc oszustwem, bowiem nie popiera żadnych wartości, o których uważa, iż mogą być fałszywe lub nie być wartościami w ogóle. Przyznaje jedynie, że opanowanie przez wszystkich członków danej społeczności właściwego, tj. racjonalnego, uzasadnienia tych wartości nie jest warunkiem koniecznym funkcjonowania społecznego. Obawia się również fałszywych pretensji pozornego rozumu bardziej niż rozumnej bezpretensjonalności tradycji[14].

◆

Łatwiej jest przyznać, że było się w błędzie koniecznym niż niekoniecznym, tzn. łatwiej jest powiedzieć, że błąd, który się popełniło polegał jedynie na tym, iż przyznawało się mu status prawdziwości, a nie na tym, że się prawdy nie zauważyło. Łatwiej jest przeprowadzić ze sobą rozrachunek, gdy jednym z jego rezultatów jest równoczesne wytrącenie wszelkich argumentów z ręki swoich przeciwników. Wydaje mi się, że to właśnie uczynił Kołakowski. Różni się on od większości rozczarowanych komunistów i od większości swoich wielbicieli tym, że zrobił to w sposób inteligentny i pełen finezji i tym samym wniósł istotny wkład do polskiej i może nie tylko polskiej kultury. Finezja i inteligencja jego sprawiły, iż ludzie w podobnej do niego sytuacji słusznie zostali jego wielbicielami. Nie zmienia to, a raczej potwierdza fakt, że nie zdołał uczynić więcej niż zostać ich najwybitniejszym w Polsce przedstawicielem. A była to grupa ludzi, którzy po krótkiej chwili październikowego zapału zmuszeni zostali do przypatrywania się ze związanymi rękami całkowitej degrengoladzie życia społecznego w Polsce. Starali się jej przeciwdziałać, wykazywali nieraz dużo odwagi osobistej w tej działalności, a już nie najmniej sam Kołakowski. Jednakże nie mogli wiele uczynić i ponieśli bolesną klęskę, bo rąk związanych niegdyś przez fałszywą wiarę, sami nie potrafili sobie rozwiązać. Aż do owej lawiny, która po raz któryś z kolei położyła kres jakiejkolwiek ciągłości życia społecznego w Polsce, pozostali

14. Należałoby tu oczywiście również pokazać, iż konserwatyzm tak pojęty nie podejmuje się nigdy tworzenia tradycji *qua* tradycji, tj. świadomego wprowadzania elementów niezupełnie racjonalnych przy jednoczesnym przekonaniu o możliwości ich racjonalnego uzasadnienia (mam na myśli np. religię państwową). Pokazać to byłoby stosunkowo proste, lecz nie jest to związane bezpośrednio z naszym tematem.

oni w czystym i patetycznym nieraz stanie niewiary, która podszyta była zawsze złą wiarą.

Chciałbym zakończyć tę polemikę pewnym akcentem osobistym, za którego patetyczność z góry przepraszam czytelnika. Wydawać by się mogło, iż winię Kołakowskiego za to, że mnie z Polski wygnano. Nie ma nic dalszego od prawdy. Szanuję go i podziwiam i jestem zupełnie świadomy, iż zarówno jego jak i mnie z Polski wygnali ci, którzy mu do pięt nie dorośli, ci którzy oznaczają się nie złą wiarą, lecz wręcz głupotą i hipokryzją. Byli nimi i ci „nowi", którzy własnymi rękami tę naszą ekspatriację przeprowadzili, i ci ze „starego" ładu, którzy o swojej niechęci do nowego zapomnieli natychmiast, gdy się stara i nowa obłuda zaczęły pokrywać. Ani do jednych, ani do drugich nie należy Kołakowski. Jeśli podejmuję z nim dziś, niejako na gruzach, obecną polemikę, to jedynie z nadzieją, że należy ona do początków atmosfery, która doprowadzi do tego, iż będziemy mogli znowu żyć i pracować tam, gdzie obaj należymy.

Andrzej RAPACZYŃSKI

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI
Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Książki

Dziennik Bertolda Brechta

W połowie lutego obchodzono w obydwu państwach niemieckich 75-lecie urodzin zmarłego latem 1956 roku, znakomitego dramaturga Bertolda Brechta, poety, prozaika i reżysera. Miłośnikom nowoczesnego teatru nie potrzeba objaśniać tajników twórczości autora „Opery za trzy grosze", „Kaukaskiego kredowego koła" czy „Matki Courage". Dzieła Brechta wytrzymały próbę czasu. Na Zachodzie można nawet obserwować renesans sztuk niemieckiego pisarza. Ale w danym wypadku nie chodzi ani o relację na tematy teatrologiczne ani też o sprawozdanie z przebiegu i treści niedawnych uroczystości jubileuszowych ku czci Brechta. Chodzi natomiast o Brechta jako kronikarza wielu ważnych wydarzeń politycznych, społecznych i kulturowych, jego spostrzeżeń i refleksji na przestrzeni jakżeż obfitego w dramatyczne wypadki okresu — od połowy lat trzydziestych do połowy lat pięćdziesiątych.

Przypomnijmy, że Brecht wkrótce po dojściu Hitlera do władzy opuścił Niemcy i udał się na emigrację. Przez Pragę, Zurych, i Paryż dotarł wraz z żoną i dwojgiem dzieci najpierw do Danii, gdzie osiadł na kilka lat i nadsłuchiwał co się dzieje w Niemczech. Z tych obserwacji powstało dzieło „Strach i nędza Trzeciej Rzeszy", którego premiera odbyła się w 1937 roku w Paryżu. Przeczuwając niepewność losu państw sąsiadujących z Niemcami opuścił Danię, by po krótkim pobycie w Finlandii — będąc w posiadaniu wizy amerykańskiej — przejechał szybko Związek Sowiecki i z Władywostoka udał się do Kalifornii, gdzie przeżył czas wojny. Dlaczego Brecht, przekonany marksista, nie obrał azylu w Moskwie, wynika niedwuznacznie ze stronic dziennika, który wydano obecnie w Niemczech Zachodnich z okazji 75-lecia

jego urodzin. Treść zapisków Brechta wyjaśnia również powody, dla których dziennik ukazał się drukiem na Zachodzie a nie we Wschodnim Berlinie, gdzie Brecht po powrocie z Ameryki osiadł na stałe i działał przez wiele lat w oparciu o własny teatr, słynny „Berliner Ensemble".

Osobliwy to dziennik, odtworzony w dwóch grubych tomiskach i w trzecim cieńszym, zawierającym wyjaśnienia i uwagi*. Jest to właściwie notes roboczy, pisany co prawda nieregularnie, ale obejmujący wkładki i wycinki z prasy, szkice, ilustracje, jednym słowem *collage* myśli, refleksji i asocjacji. Brecht nazwał to dzieło „Arbeits-journal" czyli „Dziennik roboczy" i pod tym tytułem ukazało się ono drukiem; zamieszczono wszystko, z wyjątkiem dwóch bardzo intymnych wypowiedzi, tak jak — podobno — tego chciał Brecht. Jego towarzyszka doli i niedoli, Helene, zdeponowała co prawda cały „Dziennik" w Akademii Sztuk Pięknych we Wschodnim Berlinie, ale na wszelki wypadek zrobiła też fotokopie, które złożyła jednocześnie w Moskwie i w USA.

Piszącemu nieznane są precedensy podobnego typu dzienników — chyba z wyjątkiem Józefa Czapskiego, który od lat prowadzi skrzętnie diariusz nieomalże w identyczny sposób, z tą chyba różnicą, że może sobie pomagać własnymi rysunkami czy szkicami.

Na przeszło tysiącu stronicach przewijają się najrozmaitsi ludzie, z którymi Brecht się stykał. Głównie są to starzy przyjaciele z Niemiec: niezależny teoretyk marksizmu Korsch, pisarze — Feuchtwanger, Henryk Mann; kompozytorzy — Eisler i Dessau; aktorzy — Kortner, Bergner; uczeni — Adorno i Horckheimer. Do nich dochodzą nowi znajomi: Chaplin, Laughton, Georg Grosz, Schoenberg, Klemperer. Z nimi łączy Brechta przyjaźń, natomiast o Tomaszu Mannie i Emilu Ludwigu wyraża się jak najgorzej.

O emigracji niemieckiej Brecht pisze z niechęcią. Ironizuje często na temat jej złudzeń i nadziei. Już 19. 2. 1939 roku porównuje naród niemiecki z plebsem rzymskim, który będąc pauperyzowany, dawał się łatwo używać do wojen zaborczych. A robotnicy? Wiele zyskali na skutek likwidacji bezrobocia, a przecież wiadomo, że wojna — to nie bezrobocie. Reżym hitlerowski buduje potężny, zracjonalizowany przemysł w kraju politycznie obezwładnionym i prowadzi „politykę pokojową". Intelektualiści, według Brechta, są bezradni.

* Bertold Brecht: *Arbeit-Journal*, 1938-1955, Suhrkamp Verlag, 1973, Frankfurt/Main.

O Związku Sowieckim

Ale i względem Związku Sowieckiego nie żywi Brecht iluzji. Pod datą „styczeń 39" zapisuje: „Również Kolcow aresztowany w Moskwie, mój ostatni kontakt rosyjski w tamtą stronę. Nikt nic nie wie o Tretiakowie, który jest rzekomo „szpiegiem japońskim", nic o Neher, której przypisują, że z ramienia swego męża prowadziła machinacje trockistowskie w Pradze. Reich i Asia Lacis przestali do mnie pisać. Grete nie otrzymuje odpowiedzi od swych znajomych na Kaukazie i w Leningradzie. Bela Kun, jedyny z polityków którego znałem, też aresztowany. Meyerhold utracił swój teatr, pozwolono mu podobno reżyserować operę. Wydaje się, że literatura i sztuka zasrane, a teoria polityczna zeszła na psy i że istnieje coś w rodzaju urzędniczo propagowanego, cieniutkiego, bezkrwistego humanizmu proletariackiego. W oficjalnym artykule jakiś Woskreseński („Teoria Lenina i Stalina o zwycięstwie socjalizmu triumfuje w Związku Sowieckim") podaje na przykład jako teorię Stalina: „Obumieranie państwa następuje poprzez jego wszechstronne umacnianie"... O politycznej „demokracji" nie można się niczego dowiedzieć oprócz frazesów. Zupełnie nic nie wie się o społecznych formach organizacji produkcji".

W lutym 1939 Brecht kpi sobie z marksistowskich krytyków literackich — których zresztą nazywa „Lukacs' ami" — zwalczających formalizm: „Według tych marksistów rzecz się ma oto tak: realiści burżuazyjni reprezentowali niepełny realizm, no i hołdowali przesądom. Usuńmy to, a wszystko będzie w porządku. Ich poglądy zostaną zaakceptowane i na nowo uporządkowane. Marks — to Ricardo wyposażony w słuszne wnioski. Szołochow — to Balzak uwolniony od końskich okularów. W rzeczywistości Szołochowowie nie mają nic z balzakowskiego materializmu (owej dziwnej mieszaniny romantyki, głodu faktów, manii szperacza, spekulacji itd.) lecz o ileż więcej końskich okularów. Również sugestie studiowania realistów burżuazyjnych są całkowicie formalistyczne, gdyż nie łączą się z ich precyzyjną krytyką".

Już po napaści Niemiec na Polskę Bertold Brecht zapisuje w dzienniku pod datą 9. 9. 39 następujące refleksje: „Wielką konsternację u wszystkich proletariuszy spowodował oczywiście pakt niemiecko-rosyjski. Komuniści z miejsca twierdzili, że chodzi tu o budzący respekt przyczynek Związku do sprawy pokoju. Jednakże wkrótce potem wybuchła wojna, a Hitler uzasadniał w proklamacjach, że prowadzi wojnę właśnie dzięki temu paktowi. Możliwe, że Związek uważał, iż mocarstwa zachodnie nigdy nie będą się biły o Polskę. Dziś, na ósmy dzień, hipoteza ta nie

została jeszcze obalona. W rzeczywistości Związek wraz z Polską byłby obecnie osamotniony, gdyż Zachód nie walczy. Możliwe, że Polska nie stawiałaby oporu. Zatriumfowałaby koncepcja Chamberlaina (należy Hitlera skierować przeciwko Związkowi). Obecnie jednak Polska może być pobita bez powszechnej wojny, a Polska leży na wschodzie, nie na zachodzie. Związek w oczach proletariatu światowego naznaczony jest strasznym stygmatem pomocy faszyzmowi — najdzikszej i najbardziej wrogiej robotnikom formy kapitalizmu. Myślę, że nie można nic więcej powiedzieć nad to, że Związek ratuje siebie za cenę pozostawienia światowego proletariatu bez haseł, bez nadziei i pomocy".

W dziesięć dni później Brecht notuje:

„Zaiste po napoleońsku odbyła się inwazja sowiecko-rosyjska w Polsce. Nie poprzedziła jej żadna propaganda wojenna, żadne przygotowanie „społeczeństwa", nie było żadnych posiedzeń Rad, które by coś postanowiły, czy na coś zezwoliły. Rząd wydał rozkaz. Zebrania w całym kraju powitały rozporządzenie. Komunikaty nastrojono na narodową nutę... Dyplomatyczne względy? Ogromny kraj — zanim ogromna armia wyruszy w pochód — słyszy tylko to, co kapitalistyczna Europa ma usłyszeć. Tekst jest taki, jakby go zrewidował Hitler".

A dwa dni później następuje nowe rozmyślanie:

„Gadanina, którą się wszędzie słyszy, że partia bolszewicka gruntownie się zmieniła, jest doprawdy niesłuszna. Nieszczęściem jest raczej to, że się właśnie nie zmieniła. Wciąż jeszcze, po dwu dziesiątkach lat sprawowania władzy, naród rosyjski służy jej za „dźwignię" do rozmaitych rzeczy. Armia Czerwona wykazuje teraz wyraźnie ten charakter. Może to jest rewolucja światowa, wprowadzona w ruch przy pomocy tej dźwigni, a może nawet nie to. Wciąż jeszcze nie decyduje lud, masa, proletariat, a tylko rząd decyduje za lud, masę, proletariat. Wydaje się, że Stalin nie jest w stanie rozpocząć wojny rewolucyjnym sposobem, jako wojny ludu, jako akcji proletariackiej, jako wojny masowej (co byłoby skonkretyzowaniem wojny totalnej). Tak czy inaczej, nie ma on narodu za sobą, zaś naród jeszcze tego nie rozumie. Z największą uwagą należy teraz oczekiwać spotkania w Polsce armii czerwonej z armią brunatną".

W dniu 5 grudnia 39 roku Brecht snuje refleksje innego już rzędu: „W gazetach mieszczańskich można znaleźć następującą koncepcję: Stalin jest gotów pójść razem z Hitlerem na walkę przeciwko mocarstwom zachodnim. Dyktatura w obydwu krajach ograniczyłaby się do funkcji zbliżenia obydwu narodów z odmiennymi ustrojami, a jednocześnie przeszkodziła bliższemu kontaktowi, którego sobie obydwa systemy nie życzą. Oczywiście, obydwaj partnerzy muszą się stale wzajemnie zabezpieczać. Niektórzy wyrażają to tak: powstałaby pierwsza faza postępu, gdyby „kapitalizm państwowy" i „socjalizm państwowy" wspólnie podzieliły między siebie formalno-demokratyczny, formalno-liberalistyczny świat. Inna koncepcja, z którą się spotykam mówi: Stalin ubezpiecza się jedynie przeciwko zwycięzcom w imperialistycznej wojnie światowej. Oczywiste, że jedna koncepcja może przejść w drugą".

Wojna z Finlandią

Po agresji sowieckiej na Finlandię Brecht zapisuje 10. 12. 1939 roku: „Dwa hasła rządu sowieckiego po inwazji w Finlandii brzmią: 1) Finnowie weszli na pograniczne tereny rosyjskie, czyli dokonali agresji; 2) Proletariat fiński ma być wyzwolony. Niemcy mówią o „naturalnej ekspansji wielkiego mocarstwa". To, że potrzebne jest hasło Nr 1 tłumaczy jak bardzo Rosjanie są daleko od możliwości wysuwania haseł dialektycznych. Muszą uciekać się do prymitywnych udramatyzowań rzeczywistości. Układ z fińskim rządem ludowym, mianowanym przez rząd sowiecki, przekreśla pogląd, że robotnicy i chłopi fińscy mogą zamienić wolność narodową na wolność społeczną; służy on jako argument, ale jako taki jest słaby. Wciąż jeszcze widocznie działa zasada, iż przy wojnach napastniczych i prewencyjnych rządy oddalają się od swych ludów, zaś przy wojnach obronnych zbliżają się do nich".

Refleksje na temat fiński Brecht kontynuuje zapisując m.in. pod datą 1. 1. 1940: „Polityka zagraniczna ZSSR jest polityką zagraniczną państwa, w którym odbywa się budowa elementów socjalistycznych, nie jest natomiast socjalistyczną polityką zagraniczną. Pochód fiński, skierowany na cele wojskowe, może doprowadzić do wyzwolenia fińskich proletariuszy spod panowania burżuazji, ale cele socjalistyczne służą jedynie celom militarnym i są przez nie regulowane. ZSSR byłby chyba zadowolony, gdyby mógł osiągnąć cele wojskowe bez środków społecznych. Ale na skutek wojny ogromna część robotników została zmuszona do sojuszu z burżuazją. Również rosyjskie hasła dotyczące podbicia Zachodniej Ukrainy — jakoby przez to „powiększy się terytorium socjalistyczne Europy, a zmniejszy kapitalistyczne" — są na wskroś formalistyczne i wyrażają pozbawiony skrupułów oportunizm w chwili, gdy o to wszystko toczy się jeszcze wojna. Jak można twierdzić, że wyzwolenie kilku milionów chłopów, żyjących dotychczas w Polsce, wzmacnia sektor socjalistyczny, jeśli zostało to okupione takimi sojuszami, jak sojusz z faszystowską kliką w Niemczech (nawet nie z niemiecką burżuazją). Sojusz

Stalina z Hitlerem... nie wzmacnia proletariatu niemieckiego w stosunku do burżuazji. U podstaw jego leżą wielkie błędy polityczne, które można wytłumaczyć tylko sytuacją wewnętrzno-rosyjską".

Od czasu do czasu Brecht zapuszcza się w gąszcz tematów ideologicznych. 29. 1. 1940 roku pisze np. w związku z lekturą esejów Szweda Ljungdala: „Dialektyczny obraz świata", że pracę tę można określić jako mądrą i wstrzemięźliwą, ale widzi braki, które wywodzą się z tych samych źródeł, a mianowicie że „dialektyka Hegla pochodzi nie z realnej historii, lecz z historii filozofii", i że u Marksa nie jest pokazana w funkcji, „lecz jako czynnik tworzący obraz świata". Następnie Brecht zaznacza: „mimo tego cóż to za rozkoszne dziełko w porównaniu z *Historią bolszewików*. Autor tej historii jest jednocześnie zrozumiały i niejasny: rąbie zdania jak siekierą, a właściwie pisze brednie. Rewolucje wynikają tam z metafizyki, odbywają się, bo stare ustępuje nowemu, a nie do odparcia jest tylko to, co powstaje i rozwija się. Wszystko zależy od wszystkiego i ewolucja odbywa się wspaniałymi skokami. Nowe jest oczywiście jakościowo lepsze".

Bolszewizm i faszyzm

W związku z artykułami niemieckiego emigracyjnego marksisty, Karla Korscha, który bardzo wcześnie zerwał z dogmatyzmem leninowsko-stalinowskim, Brecht 27. 10. 1941 roku formułuje refleksje na temat podobieństw między komunizmem a faszyzmem: „W pewnym sensie występują podobieństwa pomiędzy wielkimi prądami: faszyzmem i bolszewizmem, które — zgodnie z tendencjami gospodarki planowej — stworzyły nowe autorytatywne organizmy państwowe; podobieństwa są silniejsze niż różnice. Na przykład wszechmocne partie, działające zarówno w parlamentach jak też przy pomocy cywilnych formacji paramilitarnych, rewolucyjne formy, hierarchie, systemy policyjne, roczne plany gospodarcze, metody propagandy, militaryzacja młodzieży, mity, sztywne ceny, fale terroru itd., itd.".

Na str. 367 utrwalony został zapis o stosunku Brechta do Lenina, datowany 25. 1. 1942 roku: „Zawsze interesowały mnie relacje naocznych świadków wystąpień Lenina. Niektórzy usiłują jego awans z 'nieznanego emigranta' na 'czerwonego cara' zromantyzować w ten sposób, że przejaskrawiają jego rzekomą 'mierność' w Szwajcarii; ale istnieje wiele dowodów, że kiedy już nawet mieszkał na Kremlu, mimo to pozostał 'skromnym'. Wydaje się, że to nie wielkie czyny doprowadziły do takiego zagęszczenia, które wywołałoby wrażenie wielkości. Jego współpracownicy byli mniej pod wrażeniem jego osobowości, czerpali natomiast więcej doświadczeń z jego działalności. To, że często miał rację, dodawało widocznie wagi jego radom, które potrafił umotywować. Jego inteligencja nie miała w sobie nic nadludzkiego, był to autorytet przydatności. Lenin był funkcjonariuszem i dowiódł, że potrafi funkcjonować".

Sporadyczne kontakty Brechta z twórczością artystyczną w Związku Sowieckim nasuwają mu stale smutne wnioski. Świadczy o tym zapis z 16. 11. 1942 roku: „Czytam dramat sowiecki *Ruza Firest* Konstatine Finn'a; rzadko spotkać można takie lakiernictwo, jak w tym naturalizmie. Obóz partyzantów w gąszczach leśnych przypomina nieco Fra Diavolo lub Cyganów z *Carmen*. Rozbrajający obraz armii niemieckiej, przedstawionej na wzór rosyjski: major, który przemawia jak feldfebel i jego lejtnant, który jest jednocześnie nazistą i politrukiem. Konflikty wynikają głównie z przeciwieństw pomiędzy drętwą mową wszystkich Rosjan, a „elementami indywidualizmu" („towarzyszu Komisarzu melduję, że zlikwidowałem mojego kanarka"). Miejmy nadzieję, że upadek świata według Borchardta jest tylko upadkiem literatury. Płakać się chce obserwując jak się ta literatura męczy, aby się proletariat mógł w niej przejrzeć". Frapująca jest uwaga z 10. 12. 1942 o książce Trockiego: „Czytam z wielką przyjemnością małą książkę Trockiego o Leninie, wydaną w 1924 roku". Stosunek Brechta do Stalina uwydatnia się na marginesie lektury pracy Borysa Suwarina z 1935 roku pt. *Staline — aperçu historique du bolchévisme*. Notatka na ten temat nosi datę 19. 7. 1943. „Przeczytałem wstrząsającą książkę Suwarina o Stalinie. Przemiana zawodowego rewolucjonisty w biurokratę, całej rewolucyjnej partii w kastę urzędniczą nabiera w związku z faszyzmem nowych aspektów. Małomieszczaństwo niemieckie, próbując stworzyć kapitalizm państwowy, wypożycza sobie pewne instytucje (wraz z ideologicznym materiałem) od rosyjskiego proletariatu, który usiłuje stworzyć socjalizm państwowy. Socjalizm widzi w faszyźmie swoje wykrzywione oblicze, ale bez żadnej jego cnoty, natomiast ze wszystkimi przywarami".

16. 9. 1943 roku Brecht zajmuje się znowu sprawami sowieckimi: „Czytam o sporach między sowieckimi historykami na temat wielkich pisarzy przeszłości; czy należy Szespira czy Tołstoja traktować jako apologetów ich klas społecznych, czy ludzkości? Lifszyc i Nuzimow piszą dość krwiożerczo. Lenin wypowiedział się już o Tołstoju, więc jak Nuzimow śmie? Słychać wołanie o publiczny proces, aby postawić kropkę nad oskarżeniem Szekspira o to, że był jakoby pismakiem arystokracji. Właściwych badań nie ma, lub mają charakter procesu. Ton jest

przerażająco bezwartościowy, złośliwy, autorytatywny i służalczy zarazem. Widocznie nie jest to atmosfera, w której mogłaby się rozwijać żywa, wojująca, bujna literatura. W rzeczywistości nie ma żadnej wybitnej książki, natomiast mają znaczenie kiczowate powieści, jak na przykład Aleksieja Tołstoja; nie ma też dramatu, nie ma żadnej postaci dramatycznej, ani komicznej, ani tragicznej, ani osiągnięć językowych, żadnej jakości filozoficznej w jakiejkolwiek sztuce i to przy bardzo dobrym teatrze...".

W późniejszym okresie Brecht rzadko wraca do spraw sowieckich, dopiero 24. 3. 1947 roku reaguje na pierwsze symptomy żdanowszczyzny: „Czytam Żdanowa *O pomyłkach pewnych sowieckich czasopism literackich*. Takich środków używają zwykle intelektualiści jako balsamu na swoje wyrzuty sumienia, gdy zdecydowali się przyjąć posadki. Przy dyktaturze proletariatu literatura traci funkcję pobudzania myśli. Nie działa impulsywnie jak przy żywiołowym rozwoju środków produkcji w systemie burżuazyjnym; przy gwałtownej likwidacji monopolu oświaty powstaje pewnego rodzaju *vacuum:* przez pewien okres czasu literatura (jeśli jest kontynuowana jako zawód) znajduje się w konfrontacji z głodem oświaty, odczuwanym przez niewykształcone masy. Jej zazwyczaj zaawansowane metody, wyznaczone przeciwieństwem pomiędzy siłami produkcyjnymi a sposobem produkcji z ery burżuazyjnej, stają się na „wolnym rynku" z jednej strony przedmiotem korupcji, cenzury policyjnej, oraz cenzury smaku, z drugiej strony jednak stanowią jedyny rezultat rozwoju, wobec czego nie można z nich rezygnować. Przemieniając natychmiast rewolucję burżuazyjną w rewolucję proletariacką Związek Sowiecki zmusił żyjących postępowych pisarzy do skoku, w którym kilku z nich złamało karki, lub co najmniej połamało nogi. W Rosji Kiereńskiego taki np. Erenburg stałby się światową postacią literacką. To co dla Majakowskiego było wolnością, dla wielu pisarzy było stanem ciężkiego przymusu. Zemścili się na Majakowskim".

W późniejszym okresie nie ma już zasadniczych refleksji o Związku Sowieckim lub o jego polityce kulturalnej. Tylko w dniu 4. 11. 1953 Brechta zapisuje króciutkie hasło o aktualnej lekturze: „Bucharin: ekonomia rencisty".

O Niemczech, Chinach i Polsce

Niekiedy autor dziennika snuje myśli o Niemczech. W związku z lekturą książki James Boswella, Brecht notuje w czasie wojny swój pogląd na kraj ojczysty: „Dziwne, jakie tam są typy ludzi, bez żadnego kształtu, z wyjątkiem tych na prowincji —

surowych i niecywilizowanych. A Niemcy mają prowincję bez żadnej stolicy! Zbyt szybkie wtłoczenie w formy ogólnonarodowe spowodowało utratę wszelkiego umiaru. Jeśli się szuka środowiska do dramatu, to w rzeczywistości nie ma tam nic interesującego lub szczególnie ukształtowanego — brak miast, których nazwa brzmiałaby wielkością lub poezją. Dopiero obecny reżym stworzył przerażające kulisy. Zaczyna powiewać ponurą poezją wokół bagnisk z ich łagrami, a władcy nadają miastom Nadrenii cechy szekspirowskie; nawet Monachium dzięki karczmom browarowym, z których wystartował pierwszy pucz, dzięki Feldherrenhalle i Brunatnemu Domowi, łajdackiemu przetargowi o Czechy — nabrało jakiegoś znaczenia. Późno wkraczają Niemcy na scenę jako naród, ale za to jaki naród!".

12. 9. 1944 Brecht pisze: „Niecierpliwość lewicy w sprawie robotników niemieckich jest zrozumiała. Jednak marksiści winni wiedzieć co wyznacza sytuację rewolucyjną. Wykazał to przykład Węgier, Włoch, Hiszpanii, Chin, czyli czego może dokonać banda nikczemników, wyposażona w nowoczesną broń, pojazdy mechaniczne, systemy policyjne; a w wypadku Niemiec chodziło przecież o proletariat osłabiony złudzeniami i kryzysami gospodarczymi".

W związku z przygotowaniami do konferencji zwycięskich mocarstw w sprawie niemieckiej, Brecht pisze 3. 8. 1945: „'Deutschlandplan' konferencji poczdamskiej. Najważniejsze, że ma być przywrócona jedność ekonomiczna i polityczna... Rząd robotniczy mogliby wprowadzić jedynie Rosjanie, gdyby to oni sami rozgromili Niemcy hitlerowskie, ale nawet i wówczas byłoby bardzo trudno, aby się z tego rozwinął socjalizm".

Czytając „Das deutsche Stanislawski's Buch" Brecht zapisuje 15. 9. 1947 roku: „... Godny uwagi jest fakt, jak doskonale i w nieskazitelny sposób Niemcy potrafili zakonserwować system postępowej burżuazji rosyjskiej z czasów carskich. Pośród proponowanych zadań (wymyślonych sytuacji) nie znalazłem żadnego przykładu walk klasowych. Osobliwy to realizm. Propaguje się wypracowany kult 'realności'. Dotyczy to głównie subiektywnych odruchów, które poprzez ćwiczenia typu patriotycznego, oraz przy pomocy autosugestii są wypracowane i chronione przed wpływami świata ościennego. Nigdzie nie proponuje się obserwacji, choćby tylko w formie samoobserwacji. Świat ościenny odbija się wyłącznie w jednym *sensorium*. Instynkty, psychiczne reakcje przymusowe itd., nigdy nie podlegają badaniom".

Po wyjeździe z Ameryki i pobytach w Austrii i w Szwajcarii Brecht po latach wygnania wraca do Niemiec i osiada we wschodniej części Berlina, pod okupacją sowiecką. Oto pierwsze wrażenia, zapisane 27. 10. 1948 roku: „Berlin — szkic Churchilla

według idei Hitlera. Berlin — kupa gruzów niedaleko Poczdamu. Ponad zupełnie niemymi ruinami ulic huczą po nocach transportowe samoloty mostu powietrznego". (Jest to w czasie sowieckiej blokady zachodniego Berlina — alianci zaopatrują miasto drogą lotniczą — przyp. Red.).

A oto wrażenia z teatru we wschodnim Berlinie pod datą 11. 11. 1948 roku: „Na scenie, na wszystkich próbach panuje dziwna atmosfera — brak stosunku do ważności problemów, tak jakby Hitler odebrał Niemcom stosunek do dramatu... Przefrymarczono stosunek do podwójnej gry, a subtelność powędrowała do lombardu".

Na początku 1949 roku Brecht znajduje się w konflikcie z biurokracją. W związku z tym notuje 6. 1. 1949: „po raz pierwszy czuję tutaj śmierdzący oddech prowincji".

Ostatni zapis, dotyczący spraw NRD, znajdujemy pod datą 7. 7. 1954 roku: „Kraj ten wciąż jeszcze jest niesamowity. Niedawno przyjechałem do Buckow z młodymi ludźmi z dramaturgii; siedząc wieczorem w pawilonie — podczas gdy oni pracowali czy też rozmawiali ze sobą — wpadło mi nagle do głowy, że przed dziesięciu laty wszyscy trzej — niezależnie od tego co mojego czytali, gdybym się znalazł wśród nich — bez namysłu wydaliby mnie Gestapo".

Zagadnienia chińskie interesowały Brechta od dawna. Znajduje to wyraz na wielu stronach pamiętnika, szczególnie jeżeli chodzi o filozofię chińską i pomysły dramatyczne.

Zwycięstwo chińskich komunistów pobudza go do zapisania 18. 1. 1949 roku następujących proroczych słów: „W ciągu wszystkich tych tygodni utrwala się w mózgu zwycięstwo komunistów chińskich, które zupełnie zmieni oblicze świata. Jest to dla mnie problem stale wszechobecny; zajmuje mi kilka godzin dziennie". A 20. 1. 1949 zapisuje: „Tłumaczę Mao Tse-tunga *Myśli przy przelocie nad Wielkim Murem*.

Abstrahując od zreferowanych na początku refleksji na temat sojuszu Stalin-Hitler, mało jest w pamiętniku Brechta mowy o sprawach polskich. Po Powstaniu Warszawskim, 22. 12. 1944 roku, Brecht notuje: „W sprawie polskiej reakcjoniści znaleźli popularne i stałe jabłko niezgody. Bez takiego jabłka trudno robić politykę. Churchill grozi, że jeżeli go Roosevelt opuści w Grecji, to on opuści swych polskich sojuszników. Lewica jest skonsternowana. Powstanie w Warszawie, które było uzbrojone i na początku dopingowane przez Rosjan, później — kiedy zaczął rządzić reakcyjny Bór — zostało potraktowane na zimno (można przypuszczać, że z punktu widzenia strategii rosyjskiej, powstanie wybuchło przedwcześnie i zmarnowało cenną pomoc, po to aby londyńscy właściciele Polski mieli pretensję). Lewica mówi

obecnie, że Rosjanie bali się w Polsce podobnych trudności jakie Anglicy mają w Grecji, to jest trochę tak jakby robiło różnicę czy nóż, którym się je rybę, jest trzymany w prawej czy w lewej ręce".

Przy końcu dziennika, który w latach pięćdziesiątych staje się coraz bardziej sporadyczny, znajdujemy pod datą „maj 1955" wrażenia z podróży do Warszawy. Architektura stolicy polskiej nasuwa Brechtowi pewne dygresje na temat budownictwa socjalistycznego: „Koncepcja linearna naszego budownictwa jest godna krytyki. Harmonia nie zależy od regularności. Gdzież są dziedzińce, krzywe uliczki, skrzyżowania budynków, gdzie jest kontrast, gdzie nieprzewidziane niespodzianki, gdzie specyfika bloku, pozwalająca na utrwalenie go w pamięci, przyciągająca na przestrzeni lat? Pozwalamy wyrastać naszym dzieciom w geometrii, w jednostajnych oborach".

Prócz tego znajduje się krótki zapis rozmowy z prof. Infeldem: „Infeld wypytywany o Einsteina. Podkreśla osamotnienie Einsteina; Infeld: „Musimy dziś mówić cicho, moja żona umiera w sąsiednim pokoju. Einstein nie nadaje się do dramatu — nie ma partnera. Z kim mu Pan każe rozmawiać? — Mnie jednak interesuje pewna ankieta o stosunkach w Polsce, którą Einstein miał dać fizykowi Nathanowi, jadącemu do Warszawy".

O polityce kulturalnej komunistów

Tu i tam rozrzucone są w pamiętniku uwagi o polityce kulturalnej reżymu komunistycznego, oczywiście w pierwszym rzędzie wschodnio-niemieckiego. Rzadziej, ale ciekawie, myśli o kolegach na Zachodzie przeciwnego mu kierunku światopoglądowego. Na wiadomość o aresztowaniu pisarza amerykańskiego, Ezry Pounda, Brecht zapisuje 20. 11. 1945 roku: „Ezra Pound został aresztowany we Włoszech i mają go tutaj przywieźć jako zdrajcę. Coś z feudalnej godności unosi się ponad nimi wszystkimi: George Kipling, d'Annunzio, Pound. W każdym razie postacie historyczne — nie do znalezienia na jarmarkach, raczej w świątyniach, z dala od targowisk".

Jesienią 1949 roku Brecht reaguje na walkę reżymów komunistycznych z formalizmem. Oto notatka z 12. 10. 1949: „Szermierze walki z formalizmem wojują często przeciwko nowym i pełnym wdzięku formom, podobnie jak brzydkie gosposie domowe, które piękno i staranie o piękność bez skrupułów denuncjują jako kurewstwo (i symptomy syfilisu)".

W 1950 roku mistrz wyraża swój pogląd na urzędową politykę w dziedzinie sztuki: „Jeśli dochodzi się do planowania sztu-

ki, to należy postępować bardzo ostrożnie. Technik sztuki — a takich potrzeba — nie można rozwiązywać łatwo z pozycji funkcji społecznych. Od ludzi zastraszonych nie można oczekiwać dzieł doskonałych — a dzieła doskonałe są potrzebne... Podrzucać problemy artystom, to znaczy naganiać owce lwom. Czym mniej się będzie mówiło o stylach — tym lepiej. I dla pozyskiwania artystów lepiej udawać, że się ich nie rozumie (nawet jeśli się chce od nich uczyć), niż ich atakować. Chęć uwodzenia sztuki — to tak jak stosunek miłosny; ale tak samo jak w akcie miłosnym nie wolno używać ostrych słów".

BERLIŃCZYK

Zygmunt Waliszewski (1897-1936)

W końcu ub.r. ukazała się nieduża książeczka o Zygmuncie Waliszewskim, pióra jego żony Wandy*.

36 lat minęło od śmierci Waliszewskiego, miałby dziś lat 75, umarł nie dożywszy czterdziestki.

„Podobno zaczął rysować, kiedy pierwszy raz wziął ołówek do ręki. Przestał, kiedy przestał żyć. Urodził się tylko dla malarstwa i tylko dla malarstwa mógł żyć". (W.W., str. 24).

O trwałości jego spuścizny świadczą wydawnictwa jemu poświęcone, jak *Album* opracowany przez Macieja Masłowskiego, z jego wyczerpującą przedmową (Warszawa 1962, wyd. *Arkady)* oraz ostatni w czasie *Album* bogato ilustrowany biało-czarnymi i kolorowymi reprodukcjami ze słowem wstępnym młodszego kolegi Jerzego Wolffa (Warszawa 1969, wyd. *Ruch)*, a także wstępy do jego wystaw, artykuły okolicznościowe, wspomnienia.

Pobudką do napisania wyżej wspomnianej książki, bezpośredniej, rzeczowej relacji, była chęć sprostowania nieścisłości i legend, które się zakradły do biografii Waliszewskiego, zwłaszcza opublikowanie w *Nowej Kulturze* wyjątku z autobiograficznej powieści Konstantego Paustowskiego („Skok na Południe"), wyjątku poświęconego Waliszewskiemu.

Autorka tego „portretu", z zawodu muzyczka, sądów o malarstwie unika, chociażby z tego względu, że o malarstwie Zygmunta pisali i piszą kompetentni znawcy, podjęła się po dłuższym wahaniu tej pracy, sądząc, że ona powinna dać obraz

* *Wanda Waliszewska o Zygmuncie Waliszewskim*. Wyd. Liter., Kraków 1972.

człowieka taki, jakim był, jego postawy życiowej, jego walki z chorobą i niedostatkiem, jego pracy twórczej, jego trudu dnia codziennego.

„... Chcę to zrobić — czytamy — na tyle wyczerpująco, na ile starczy mi pamięci [...], chcę, o ile to możliwe, wycofać się z pola widzenia i zostawić Waliszewskiego, bo to *on* jest, *on* działa i mówi" (str. 23-24).

Rzetelność tego świadectwa, opartego na bezbłędnej pamięci, wierność prawdzie i walor tej wierności, ścisłość zapisu, wolnego od idealizacji i czułostkowości, stanowią o znaczeniu książki.

Autorka podaje na wstępie fragmenty swego listu do Konstantego Paustowskiego, oraz ustępy odpowiedzi adresata. Paustowski nie znał osobiście Zygmunta, ale dużo słyszał o nim przez żonę, siostrę artysty i chętnie zgodził się na wprowadzenie zmian do swej niewydanej jeszcze autobiografii.

Wandę uraził zwłaszcza, użyty przez Paustowskiego, termin *kariera.*

„Czy ktokolwiek, rozważa autorka, znający Zygmunta, użyłby w związku z nim słowa *kariera,* słowa tak mu nienawistnego w treści i tak zupełnie nie realizowanego i nie zrealizowanego w jego życiu..." „Zygę" — czytamy dalej — „cechowała zdecydowana i niezłomna postawa moralna. Nie miał też w sobie nic z Don Kiszota (do którego porównał go Paustowski), nie walczył z wiatrakami. Jeżeli walczył o co, to o dobre malarstwo i uczciwość w sztuce" (str. 13).

„Nie zależy mi wcale na powodzeniu — oświadczył kiedyś Zygmunt — ale chciałbym, żeby za pięćdziesiąt lat ludzie mogli jeszcze patrzeć z zainteresowaniem na moje obrazy" (str. 37-38).

Waliszewska nie wdaje się w polemikę z Wolffem, co do jego opinii o malarstwie męża, rozważa jedynie ubocznie pogląd autora słowa wstępnego, jakoby Zyga „bawił się sztuką".

„Ani się nie bawił — pisze, ani nie chciał bawić nią innych. Sztuka — malarstwo, to była jedyna sprawa, dla której żył. Była to przy tym ciężka praca [...] w pocie czoła, pełna nieraz okresów zwątpienia i depresji, ale nieustannie dążąca do osiągnięcia jedynego celu życia — dobrego malarstwa" (str. 17).

Nie ma w tej relacji żadnego brązownictwa, poznajemy ze słów autorki bardzo trudny w pożyciu charakter artysty, jego impetyczne reakcje w dyskusjach o malarstwie, wybuchy furii, aż do inwektyw rzucanych w twarz przeciwnikowi, potrzebował poza tym tego ścierania się poglądów, tych burzliwych dysput w gronie kolegów, gotów zresztą przeprosić każdego, kogo uprzednio uraził kategoryczną odprawą.

Każdy asymiluje pewną część wiedzy, pewne znajomości nauki lub sztuki jemu potrzebne. Zygmunt podświadomie, ale konsekwentnie, nie przyjmował czy nie umiał przyjąć do wiadomości szeregu dziedzin poznania, niekoniecznie przydatnych mu jako malarzowi. Stąd mnóstwo niesamowitych luk w zakresie podstanowych wiadomości na codzienny nawet użytek.

Nie mógł skończyć nawet średniej szkoły, nie będąc w stanie uporać się z arytmetyką, przepychany z klasy do klasy, w czwartej zrezygnował. Tajemnicą był dla niego kalendarz, podobnie, jak zegarek, nie umiał się nim posługiwać, będąc jednak bardzo punktualnym pytał wciąż o godzinę, zawsze gotów na długo przed danym terminem. Błądził również w kolejności pór roku i był bezradny wobec problemów ortografii, nie mówiąc i nie pisząc poprawnie żadnym językiem. Dzieciństwo i najmłodsze lata spędził na Kaukazie w środowisku rosyjskim i ten język był mu chyba najbardziej swojski, polski przetykał rusycyzmami, trochę słów niemieckich, przyswojonych od bony Niemki, garść słów francuskich, nabytych ze słyszenia we Francji, to był kapitał porozumiewania się z każdym, kto go zainteresował. W piśmie wyrażał się celnie i obrazowo, ilustrując listy winietami kwiatów i zwierząt, przy zupełnym lekceważeniu ortografii, po francusku pisał fonetycznie, podobnie też pisał nazwiska francuskie.

Ta specyficzna „niewiedza" Zygmunta, bawiła jego najbliższych i wzruszała zarazem, bo sam niewiele sobie z tego robił i zawsze umiał sobie poradzić korzystając z pomocy przyjaciół, a luki kalendarzowo-ortograficzne wypełniał niezwykle rozległą wiedzą malarską, zaczynając od techniki a kończąc na historii sztuki. Historię malarstwa, życiorysy mistrzów, aż do najdrobniejszych szczegółów, niektóre epoki, jak renesans i malarstwo francuskie XIX wieku, znał na wyrywki. Podobnie pewne okresy historii, pewne zjawiska literackie, kochał się w epoce napoleońskiej, znał mitologię, biblię, czytał z zachwytem Cervantesa (stąd jego pełna fantazji i humoru seria gwaszów „Przygody Don Kiszota"), kochał Szekspira, unosił się nad Balzakiem (stąd portret pisarza, którego oryginał ofiarował Boyowi), później pokochał Conrada — i ten cały fantastyczny konglomerat jego prywatnej wiedzy był skarbem, z którego czerpał tematy do swoich uczt, Dian, Wener, Don Kiszotów, Balzaków, tancerek, modelek. Wiedzę swoją nabywał na własnych, improwizowanych drogach, wiedziony intuicją i pragnieniem poznania.

Z kart relacji Wandy poznajemy, nie tylko osobowość artysty, ale też człowieka, dotkniętego ciężką niemocą, przezwyciężaną i znoszoną bohatersko: „... nikt w jego obecności — czytamy — nie myślał w ogóle o tym, co musiał przeżywać człowiek o tak żywiołowym temperamencie, szybki, jak odrzutowiec, ruchliwy, jak wiatrak, rodzaj *perpetuum mobile* w ludzkim ciele, zmuszony do posługiwania się fotelem na kółkach".

Nie mówił o swoim kalectwie, utratę nóg uważał za sprawę prywatną i nie rezygnował, mimo trudów i kosztów, z zebrań towarzyskich, odwiedzania kawiarni, gdzie spotykał kolegów, seansów filmowych, reżyserii amatorskiego teatru, którego próby przeciągały się do późnych godzin w nocy.

Kiedy się dowiedział, już po amputacji obu nóg, że lewa ręka jest też zagrożona, oświadczył spokojnie i rzeczowo: „Jeżeli

mi amputują lewą rękę, trzeba będzie pomyśleć, jak przytwierdzić paletę do poręczy fotelu, a gdybym miał utracić i prawą, to trzeba będzie mnie otruć" (str. 24).

Po wydaniu tej dyspozycji pojechał do kina. Nie dożył tej ostateczności; do końca, do nagłej śmierci na atak sercowy nie wypuścił z rąk palety, pędzla, ani ołówka.

Ostatniego dnia życia szkicował projekt gobelinu na wystawę światową w Paryżu, przedstawiał Sobieskiego pod Wiedniem, temat zapożyczony z obrazu Matejki, którego tak bezapelacyjnie zwalczał, jako malarza. Przygotował też duże płótno do nowej wersji Diany z Akteonem.

◆

Szczególną troską ostatnich dwudziestu lat życia Waliszewskiego była matka, osoba chora nerwowo i pełna urazów. Kochał ją, ale żyć z nią nie umiał, toteż jej samotność i oddalenie nękało go do tego stopnia, że latem 1936 roku przedsięwziął karkołomną podróż z Krakowa w głąb Małopolski Wschodniej, podróż podjętą, na wyraźne jego żądanie, samotnie. Po 12 latach chciał spotkać się z matką, bez świadka, dokonał swego i przywiózł ją do Krakowa, gdzie mógł ją widywać, ale umarł cztery miesiące później. Przeżyła go o dziewięć lat.

Do wspomnień osobistych i zachowanej korespondencji dołączyła autorka szkic biograficzny, obejmujący wiadomości o rodzinie Zygmunta, oraz zestawienie chronologiczne zdarzeń jego życia.

Mnóstwo listów Waliszewskiego zginęło w kataklizmach ostatniej wojny, podobnie jak jego płócien, gwaszów, akwarel, rysunków, zdawało się dobrze zabezpieczonych, wszystko z bardzo płodnego ostatniego okresu życia. Z listów zachowały się jedynie opublikowane w tym tomiku listy do siostry, zamieszkałej w Moskwie i do przyjaciół z lat ostatnich, oraz kilka drobnych poematów młodzieńczych w języku rosyjskim, włączonych do korespondencji.

Wanda Waliszewska zamknęła ten „obraz" męża przemówieniem Józefa Czapskiego nad grobem kolegi i przyjaciela, zakończonym słowami:

„... Co znaczy być wiernym Twej pamięci? To chyba znaczy, jak Ty... w pracy i w walce wyczerpać wszystkie siły do ostatniego tchu..."

Chronologiczne zestawienie prac o Z. Waliszewskim dopełnia całości.

Niestety wszystkie reprodukcje rysunków, listów rękopiśmiennych i winiet ozdobnych są wykonane, jak nie można gorzej, z wielką szkodą dla książki, co przypisać należy, chyba wyłącznie, niedbałości wydawnictwa. Spodziewajmy się, że w drugim wydaniu, użycie innej techniki błąd ten zdoła naprawić.

Jerzy Wolff, młodziutki wówczas maturzysta, opisuje wrażenie, jakie zrobił Waliszewski przybyły do Krakowa z Kaukazu, po odbytym w Warszawie tyfusie, blady i zmizerowany, ale pełen wiary i entuzjazmu. Koledzy z Akademii skupili się od razu w koło niego, imponował im swoją wiedzą malarską, czarował humorem, polotem, temperamentem. Ten czar zniewalający zachował Zygmunt do końca życia.

Pomiędzy zjawieniem się Waliszewskiego w Krakowie jesienią 1921 roku, a latami opisanymi przez żonę — ostatnimi czterema latami jego życia — leży z górą dziesięć lat, z czego sześć i pół lat Paryża. Te lata powinny jeszcze być utrwalone z równą rzetelnością, jak zapis żony, równie szczegółowo i bezpośrednio, póki ostatni świadkowie tego ważkiego i tragicznego dla Zygmunta okresu nie zejdą z tego świata.

Maria CZAPSKA

Nadesłane nowości wydawnicze

MAREK (Edmond). *Alpuhara: de la peste à Grenade à la censure du tsar.* (Nadbitka z *Annales*, publiés trimestriellement par l'University de Toulouse — Le Mirail, nouvelle serie, Tome VIII — 1972, fascicule 2, str. 17-39).

SINIAWSKI (Andrei). *Plaidoyer pour la liberté de l'imagination.* Przedmowa Michel Cournot. Str. 251 i 5 nlb. (Wyd. Hachette Littérature, 1973; cena FF. 29,00).

Asches and Diamand, Kanal, A Generation — three films by Andrzej Wajda. Seria: Modern Film Scripts. Str. 239 i 1 nlb. (Wyd. Lorrimer Publishing, Londyn, 1973).

Israel — A Rewolutionary Factor in Jewish Existence. Annual 1973. Str. 156. (Wyd. The Office for Economic and Social Research The Jewish Agency, Jerusalem, 1973).

GRYNBERG (Henryk). *Der jüdische Krieg.* Erzähling. Przekład z polskiego Vera Cerny. Str. 111 i 9 nlb. (Wyd. Suhrkamp Verlag, Frankfurt am Main, 1972).

STROYNOWSKI (Juliusz). *Polen und Deutsche. Was uns verbindet.* Str. 177 i 1 nlb. (Wyd. przy współpracy z Inter Nationes przez Seewald Verlag, Stuttgart, 1973).

HAUPTMANN (Jerzy), RHODE (Gotthold). *Lindenfelser Gespräche — Ein Bericht über fünf deutsch-polnische Symposien 1964 bis 1971.* Str. 147 i 1 nlb. (Wyd. Atlantic Forum, Bonn-Bruxelles-New York, 1972).

KORZEC (Paweł). *Das Abkommen zwischen der Regierung Grabski und der jüdischen Parlamentsvertretung.* Str. 331-366. (Nadbitka z *Jahrbücher für Geschichte Osteuropas.* Neue Folge, Band 20, Jahrgang 1972, Heft 3 (September 1972, wyd. Osteuropa Institut, München).

Chronika Tiekuszczych Sobytii, Wypusk 27. Str. 127 i 1 nlb. (Wyd. Possev Verlag, Frankfurt a/Main, 1972).

Sprawy (nie tylko) wydawnicze

«Przełom» w polskim ruchu wydawniczym

Słuszny sąd, że polska opinia publiczna nie jest informowana należycie, wymaga pewnej poprawki. Czytelnik prasy krajowej dowiaduje się z reguły całej prawdy, i to często w formie sądów tak krytycznych, że biją nieraz wszystkie rekordy „komunożerczej" prasy zachodniej. Krytyka ta jednak nigdy nie dotyczy dnia dzisiejszego i optymistycznego planowania przyszłości, a odkrywa prawdę o potępionym dniu wczorajszym, oddzielonym od teraźniejszości cezurą kolejnego „przełomu".

Zasadę „światłego absolutyzmu" dzień dzisiejszy powierza rządom człowieka nieomylnego, obdarzonego niezwykłymi zaletami umysłu i charakteru. Jeśli za jego panowania zdarzą się błędy, lub niepowodzenia, wystarczy zgodnie z papieską zasadą poinformować go o tym: odwołać się od źle poinformowanego do dobrze poinformowanego. Pierwszego po Bogu. Kolejne Plenum, kolejne przemówienie — zwrot i znów wszystko pójdzie jak po maśle.

Wstęp w skromnej rubryce kulturalnej nazbyt koturnowy przyda się może tym Czytelnikom, którzy nieraz czytali o Polsce jako o kraju niezwykle rozwiniętego ruchu wydawniczego. I oto od szeregu miesięcy krajowe środki masowego przekazu i nawet „czynniki kompetentne" informują, że wśród krajów komunistycznych Polska ma w stosunku do liczby ludności najniższą produkcję książek (ok. 100 mln. egz. rocznie, a więc ok. 3 egz. na 1 mieszkańca), równo dwa razy niższą niż np. NRD (w r. 1972 — 7 egz. na 1 mieszkańca).

Prezes Polskiego Towarzystwa Wydawców publikuje artykuł wręcz alarmistyczny („Książka w godzinie krytycznej", *Życie Warszawy* nr 24, 1973). Czegóż to się nie dowiadujemy o mrocznej przeszłości polskiego ruchu wydawniczego! Jak to czas leci! Przed pięciu laty p. Andrzej Wasilewski zostałby za taki artykuł uznany za „krytykanta" i rewizjonistę, straciłby posadę, mieszkanie i (dygnitarską) połowę przyjaciół!

Spośród ośmiu milionów potencjalnych czytelników książek — czytamy w artykule — książka dociera tylko do miliona. O pozostałych wydawcy nie dbają; książki „masowe" są za drogie. „Polityka masowej książki w Polsce nie istnieje". A przecież — tu cytujemy dosłownie stwierdzenie wręcz heretyckie — wszystkie państwa „bez względu na charakter ustrojowy kraju", w których powszechna staje się oświata na poziomie średnim, „uruchomiły odpowiednie dźwignie w postaci wielkich akcji wydawniczych". „Można to znawać smutnym paradoksem" — czytamy dalej — „że właśnie w działaniu na rynek masowy pozostajemy najdrastyczniej w tyle". Autor postuluje wydawanie cennych książek w masowych nakładach, obniżenie ich ceny poniżej „stawki za jedną godzinę pracy"; drukowane starannie na dobrym papierze powinny się te książki znaleźć nie tylko w każdej księgarni, ale również w każdym kiosku gazetowym i w każdym wiejskim sklepie.

Oszczędzimy czytelnikom cytowania szczegółowych postulatów — od maszyn drukarskich i papierniczych, aż do obrotowego stelaża księgarskiego, od popularnych wydań literatury klasycznej aż do antologii poezji i zbioru przysłów, od poradników praktycznych aż do encyklopedii. Słowem nic ująć, nic dodać, tylko przyklasnąć końcowemu okrzykowi Prezesa: „Trzeba się mądrze śpieszyć, bo społeczny zegar dawno już wybił krytyczną godzinę".

Uderzenia zegara były zapewne donośne, skoro obudziły również urzędników od kultury. Zapowiedziany został „przełom", do roku 1975 produkcja książek ma osiągnąć liczbę ok. 12.000 tytułów i 230 milionów egzemplarzy. Już w roku 1972 uruchomiono znaczne rezerwy i wydano o 18 milionów egzemplarzy więcej niż w roku 1971.

Więc może rzeczywiście cezurą grudniową oznaczy kronikarz początek okresu rozkwitu polskiego ruchu wydawniczego? Zanim zdecydujemy się na utrzymanie tego znaku zapytania, spróbujmy obiektywnie rozważyć wszystkie elementy dokonywanego „przełomu".

Najpierw niełatwe do pokonania podstawowe trudności techniczno-materiałowe. Cierpliwego czytelnika pocieszmy, że informacja będzie krótka, a liczb niewiele. O papierze: jego zużycie wynosi w Polsce 35 kg. na jednego mieszkańca (średnia dla całej Europy — ponad 80 kg.). Produkcję roczną ok. 1 miliona ton przeznaczano w części na forsowany za wszelką cenę eksport papieru, głównie gazetowego. Przestarzały park maszyn i bezsensowny system wysokich premii za wykonanie planu produkcji papieru, mierzonej w tonach, powodowały stały niedobór papierów cieńszych i lepszych.

Zapowiada się obecnie zwiększenie zużycia papieru w Polsce do 55 kg. na jednego statystycznego Polaka w roku 1980, i do 72 kg. — w roku 1985. Kosztem 10 miliardów złotych podnieść się ma produkcję papieru do 1,3 miliona ton, co pokryje jednak tylko część zapotrzebowania; resztę ok. 1 miliona ton rocznie

będzie musiała Polska importować, a mimo to zużycie papieru będzie jeszcze wciąż poniżej dzisiejszej średniej europejskiej.

Modernizacja przemysłu poligraficznego ma pochłonąć co najmniej dwa miliardy zł. Co trzecia maszyna drukarska nadaje się od lat na złom. Import maszyn, a nawet części zapasowych był dotychczas tak drastycznie ograniczany, że nie wystarczał na normalne funkcjonowanie posiadanych urządzeń. Plan i system premiowania w drukarniach były dla wydawców książek również niekorzystne: drukarze otrzymywali premie i osiągali wysokie zyski tylko za druk opakowań i formularzy biurowych.

Wobec niemal dwukrotnie zwiększonych zadań staną przedsiębiorstwa wydawnicze. Rozważa się więc możliwości zmiany stylu pracy, skrócenia niezmiernie w Polsce wydłużonego okresu produkcji książek, zwłaszcza wznowień. Nie tylko kraje kapitalistyczne, ale nawet NRD zapewnia druk książki w terminie 3-4-krotnie krótszym aniżeli Polska. NRD zapowiada w roku bieżącym dalsze skrócenie cyklu produkcyjnego: powieść przeciętnej objętości będzie wydrukowana w ciągu pięciu tygodni od dnia dostarczenia maszynopisu.

Zdaniem fachowców do gwałtownego wzrostu produkcji nie jest przygotowane również księgarstwo. Magazynowanie nakładów już teraz sprawia wiele kłopotów. Pełniące obowiązki magazynu hurtowego osławione piwnice zrujnowanego pałacu w Lubiążu chyba do dziś przepełnione są dziesiątkami milionów egzemplarzy politycznej makulatury. Jeśli księgarz czeka obecnie tygodniami na książkę z magazynów „Składnicy Księgarskiej" — trudno sobie wyobrazić co się będzie działo za dwa lata!

Z największym chyba niepokojem oczekuje „powodzi książek" przeciętny polski księgarz. Podwojenie liczby egzemplarzy wymaga utworzenia ok. 600 nowych księgarń. Centralna zbiurokratyzowana administracja, system płac i premii, klęska ciągłych kontroli i spisów „inwentarza", kampanii politycznych i propagandowych — wszystko to nie sprzyja przyjęciu obowiązków propagowania książki wśród nowych czytelników. Podwojenie nakładu książek wymaga dotarcia z książką do tych potencjalnych czytelników, którzy jej dotychczas nigdy nie kupowali. O znaczeniu kulturalnym tego rodzaju poczynań mówić chyba nie potrzeba, ale wymagają one księgarstwa zreorganizowanego od podstaw, dobrze wyposażonego w nowoczesne urządzenia sprzedaży i reklamy.

Sądzę, że mi Czytelnik wybaczy tę litanię spraw doskonale znanych każdemu miłośnikowi książki polskiej. Wyjątkowa bowiem się po temu nadarzyła sposobność. Po raz pierwszy od roku 1957 ujawniono w kraju opóźnienie rozwoju ruchu wydawniczego nie tylko — jak się rzekło — w stosunku do innych krajów „obozu", ale przede wszystkim w stosunku do rozwoju oświaty i — co za tym idzie — rosnącej liczby potencjalnych czytelników książek. W pogrudniowej euforii — dokładnie tak samo jak w popaździernikowej — zapowiada się przyznanie znacznych kredytów na zwiększenie i unowocześnienie produkcji

książek. Jest sprawą ważną dla rozwoju kulturalnego Polski, by tym razem obietnice te zostały w pełni dotrzymane. Nie można w roku 1973 myśleć spokojnie o tym, że trudno jest kupić w Polsce ilustrowaną książeczkę dla dziecka, że tylko co trzeci uczeń może nabyć niezbędny podręcznik, że najpoczytniejsze książki rozchwytywane są w ciągu kilku godzin, a na ich wznowienie czeka się latami.

Ale wskaźniki ilościowe nawet najkorzystniejsze, podwojenie produkcji książek nawet najlepiej technicznie przygotowane — to tylko materialne — chociaż oczywiście niezbędne — przesłanki rozwoju ruchu wydawniczego. O jego oddziaływaniu kulturalnym decyduje treść wydawanych książek. Co będzie drukowane na tysiącach ton dodatkowego papieru? Kto decydować będzie o wyborze dzieł drukowanych w setkach tysięcy egzemplarzy?

Jest powód do takiego niepokoju. Protest i oburzenie budzi wybór „dzieł" drukowanych obecnie — w warunkach braku papieru na najcenniejsze dzieła literatury pięknej — w olbrzymich nakładach. *Polityka* z dn. 13 stycznia 1973:

„Komiksy rozpleniają się imponująco. Nakłady kolejnych zeszytów 100-150 tys. egz. Chwyty reklamowe, których nie powstydziliby się najzapobiegliwsi wydawcy i kolporterzy tej literatury w krajach kapitalistycznych. Jest się czego wstydzić! Jeśli oszczędzamy papier na podręczniki szkolne i wydajemy je w niedostatecznej ilości, skąd tyle względów dla komiksów?"

Mam przed sobą jeden sponad setki takich komiksów serii „Podziemny front" i — nic na to nie poradzę — wstydzę się również. Cóż dopiero mówić o wstydzie, jaki ogarnia każdego czytelnika haniebnych paszkwili, wydawanych przez wydawnictwo wojskowe lub Interpress pod auspicjami organów bezpieczeństwa. Tłumaczone z rosyjskiego lub pisane przez neofaszystów o polskich pseudonimach, „dzieła" te drukowane są w nakładach masowych. W tym samym czasie zalegają w wydawnictwach, lub czekają na przyzwolenie cenzury utwory czołowych pisarzy polskich, a setki cennych książek nie są wznawiane z braku papieru.

Nie łudźmy się więc — wzmożenie produkcji książek nie daje się połączyć zwykłym znakiem równości ze wzmożonym upowszechnieniem kultury. O tym jak książka w zwiększonych nakładach służyć będzie rozwojowi kultury polskiej zadecyduje nie liczba wydanych egzemplarzy, ale polityka wydawnicza i organizacja ruchu wydawniczego; doświadczenie minionych dziesięcioleci wskazuje jednoznacznie, że tylko wtedy ukazały się w Polsce dzieła cenne, kiedy szerszy był nieco margines swobodnej decyzji wydawcy i osłabiony nacisk administracji i cenzury. Takim okresem były miesiące październikowej odwilży, kiedy sformułowane zostały postulaty wydawców polskich. Warto chyba przypomnieć dziś choćby niektóre z nich:

— zniesienie cenzury prewencyjnej i wprowadzenie zasady jawności i legalności kryteriów zakazów cenzorskich;

— usunięcie jawnych neofaszystów i zwolenników „zamordyzmu" z zespołów redakcyjnych i kierownictwa przedsiębiorstw wydawniczych;

— formułowanie wytycznych polityki wydawniczej w zespołach wydawców i przedstawicieli ośrodków twórczych;

— przystosowanie struktury produkcji wydawniczej do potrzeb czytelniczych społeczeństwa i oddziaływanie na te potrzeby zgodnie z interesami kultury polskiej;

— stworzenie optymalnych warunków rozwoju twórczości w klimacie możliwie szerokiej dyskusji i swobodnego ścierania się poglądów, kierunków, szkół literackich, artystycznych, naukowych;

— wybór — stale zmieniany i uzupełniany — dzieł przeznaczonych do masowego upowszechnienia;

— jednakowe, niezależne od języka oryginału, kryteria doboru do przekładu i upowszechnienia najcenniejszych dzieł literatury światowej.

Wybrałem tylko niektóre, najbardziej ogólne postulaty „wydawniczej wiosny" 1956-1957. W lapidarnym, „tezowym" sformułowaniu wydają się może nawet zbyt ogólne, deklaratywne. Ich realność zależy oczywiście od klimatu politycznego, ale dają one wyraz wieloletnim doświadczeniom i przemyśleniom polskich wydawców; do tych doświadczeń i przemyśleń mam nadzieję nieraz na tych łamach powrócić.

Adam BROMBERG

Uppsala, 3 maja 1973

CONTRA

POLSKA KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
BOOK STORE & PUBLISHING
630 MANTHATTAN AVENUE
BROOKLYN, N.Y. 11222

- **Przedstawicielstwo: Instytutu Literackiego w Paryżu, Polskiej Fundacji Kulturalnej i Oficyny Malarzy i Poetów.**
- **Dostarcza drogą pocztową wszystkie książki wymienionych wydawnictw. — Przyjmuje wpłaty prenumerat na miesięcznik *Kultura*, tygodnik *Wiadomości* i *Tydzień Polski*.**
- **Wysyła odwrotną pocztą zamówione listownie książki.**
- **Katalogi wysyłane są bezpłatnie.**

KRAJ — BLOK WSCHODNI

10-4-73
W Warszawie rozpoczęło się X spotkanie przedstawicieli Związków Pisarzy krajów socjalistycznych. Spotkanie jest poświęcone wymianie doświadczeń w zakresie zagadnień rozwoju literatury socjalistycznej.

15-4-73
W Krakowie rozpoczął się proces 28 osób ze Stefanią Biegun, b. reprezentantką Polski w narciarstwie, o szmugiel kosztowności o łącznej wartości 10 i pół miliona złotych. Afery tej nie należy utożsamiać z inną głośną aferą przemytniczą „Czerwonej Oberży". ■ W Warszawie odnaleziono 9 kartek maszynopisu nieznanych wierszy Krzysztofa K. Baczyńskiego. ■ Nominacje w PRL: dr Witold Bień został mianowany prezesem Narodowego Banku Polskiego. Był on ostatnio wiceministrem w Ministerstwie Finansów. Ambasadorem PRL w Norwegii został mianowany Romuald Poleszczuk, a w Szwajcarii Stefan Wilski. Obaj byli uprzednio dyrektorami departamentów w MSZ. ■ Instytut Historii PZPR wraz z redakcją *Z Pola Walki* wezwały dawnych członków Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy do nadsyłania wspomnień, pamiętników i materiałów niezbędnych do historycznego opracowania. Jednocześnie redakcja ukraińskiego *Naszego Słowa*, pisma oficjalnej organizacji ukraińskiej w PRL, ogłosiła konkurs na temat roli KPZU. Wyniki tego pamiętnikarskiego konkursu mają być ogłoszone we wrześniu br. ■ T. Jędruszczak, dyr. Wojskowego Instytutu Historycznego, został dymisjonowany; na jego miejsce mianowano płk. Emila Jadziaka. Powodem niełaski T. Jędruszczaka jest zgoda na wydanie „Wojny Polskiej" L. Moczulskiego. Lecz głównym powodem przesunięć w wojsku jest zastępowanie oficerów dyplomowanych przez oficerów, którzy ukończyli Sowiecką Akademię Wojskową. Wszyscy są pewni, ale ci którzy przeszli przeszkolenie w ZSSR są pewniejsi. ■ Nowe obostrzenia cenzury: Zakazano wznowienia „Nienasycenia" Witkiewicza (ze względu na „niebezpieczeństwo chińskie"); zakazano wydania książki Günther Grassa pt. „Blaszany bębenek", nowej książki C. Chlebowskiego (autora pracy „Zagłada IV Odcinka"), a co najciekawsze wstrzymano druk zbioru przemówień Edwarda Gierka. Gorliwi (jeśli nie złośliwi) wydawcy nie przewidzieli, że szereg przemówień — specjalnie z okresu 1968 roku — mogłoby być dziś żenującymi dla I-szego sekretarza. Wiersz Ryszarda Krynickiego pt. „Faszyści zmieniają koszulę" zamieszczony w *Twórczości* Nr 4/1973 oraz tekst przemówienia tegoż Krynickiego, wygłoszonego bez mała rok temu na Wiośnie Poetyckiej w Kłodzku i zamieszczony w nr. 1/2 *Nowego Wyrazu* z br. (jak zresztą cały ten numer) wywołały oburzenie czynników oficjalnych. Wydano zarządzenie, że na zebraniach autorskich etc. nie mogą być recytowane teksty, które nie przeszły przez cenzurę, tzn. nie były uprzednio publikowane. Wycofano ze sprzedaży książkę Marii Turlejskiej pt. „Zapis pierwszej dekady 1945-1954". Książka została ostro zaatakowana przez niejakiego Rafała Łąkowskiego w *Nowych Drogach*. I tu także decydującą rolę odegrała interwencja nowego Nowosilcewa — amb. Pilotowicza.

18-4-73
PRL podpisała umowę z włoską firmą „Silan" na import wyposażenia maszynowego i technologii dla kombinatu włókienniczego „Teofilów" w Łodzi oraz na eksport z Polski tkanin z tego kombinatu za pośrednictwem włoskiego kontrahenta. Firma „Silan" zagwarantowała osiągnięcie produkcji 16 milionów metrów tkanin rocznie. Oddanie zakładu do eksploatacji ma nastąpić w lipcu przyszłego roku, a pełna zdolność produkcyjna ma zostać osiągnięta w 1975 roku.

19-4-73
Świeżo utworzony Związek Młodzieży Socjalistycznej kładzie nacisk na współpracę aktywistów ZMS z ORMO. Według kierownictwa ZMS ta współpraca jest w tej chwili niewystarczająca. W Warszawie 1.200 ZMS-owców-aktywistów współpracuje już z warszawską ORMO.

20-4-73
Polska Akademia Nauk utworzyła w Poznaniu Zakład Badań nad Polonią Zagraniczną PAN. Nowa placówka będzie zajmowała się Polonią zachodnioeuropejską w odróżnieniu od Zakładu, istniejącego od stycznia br. przy Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, zajmującego się problemami Polonii amerykańskiej i australijskiej. ■ W PRL wprowadzono ograniczenia w wywozie dzieł sztuki. Zawieszone zostało, aż do odwołania, wydawanie przez wojewódzkich konserwatorów zabytków zaświadczeń, upoważniających do wywozu za granicę „dóbr kultury wytworzonych przed 9 maja 1945 roku". ■ Tadeusz Nestorowicz i Władysław Gwiazda zostali mianowani podsekretarzami stanu w ministerstwie Handlu Zagranicznego PRL. ■ W PRL obchodzono niezmiernie uroczyście 28-ą rocznicę podpisania ze Związkiem Sowieckim układu o przyjaźni, pomocy wzajemnej i współpracy powojennej.

21-4-73
X Walny Zjazd SPATIF'u wybrał na prezesa Zarządu Głównego Gustawa Holoubka. ■ W Chorwacji odbyło się międzynarodowe spotkanie pisarzy z Polski, Związku Sowieckiego, Węgier, Włoch, NRF, Francji i Wielkiej Brytanii. Omawiano współczesną literaturę europejską, a w szczególności tradycję literacką krajów śródziemnomorskich. ■ W PRL zlikwidowano podatek wyrównawczy w stosunku do stołecznych warzywników wprowadzony przed 4 laty. Zniesienie podatku ma na celu poprawienie zaopatrzenia stolicy w warzywa i owoce. ■ Zjednoczenie Przemysłu Okrętowego w PRL importuje przekaźniki termistorowe z NRF, mimo że w Przemysłowym Instytucie Automatyki i Pomiarów opracowano konstrukcję przekaźników znacznie lepszej jakości. ■ W latach 1971-75 dostawy sowieckiego drewna do Polski mają wzrosnąć o 80 %. W tej dziedzinie Związek Sowiecki jest najpoważniejszym partnerem PRL: jego udział w całym polskim imporcie materiałów tego rodzaju wynosi obecnie 40 %.

22-4-73
Lubelscy językoznawcy opracowali pierwszy polski słownik gwary studenckiej. ■ Od 1. 1. 1974 roku Warszawa otrzyma automatyczne połączenie telefoniczne z Francją.

24-4-73
W myśl nowych zarządzeń w PRL osoby wyjeżdżające w celach prywatnych do NRD będą mogły otrzymać przydział dewiz o równowartości 478 zł., czyli 100 marek miesięcznie na osobę. Może być przyznana równowartość 7.000 zł. jeśli wyjeżdżający przedstawi skierowanie na wczasy do NRD, nie opłacone w złotych w Polsce. 200 marek można otrzymać w wypadku wyjazdu na kurację. Przydział dewiz jest dokonywany w ramach ogólnej rocznej normy. ■ W Moskwie wydano 25-ciotomowy zbiór utworów Dymitra Szostakowicza. ■ Profesor filologii klasycznej UW, dr Kazimierz Kumaniecki, otrzymał złoty medal miasta Rzymu za książkę pt. „Cyceron", która ukazała się w przekładzie włoskim.

25-4-73
Życie Warszawy zamieszcza wywiad z dyrektorem Archiwum Akt Nowych dr. Mieczysławem Motasem. A.A.N. posiada ponad 600 tysięcy jednostek archiwalnych. A.A.N. zbiera dokumenty od początku 1918 roku. Z okresu międzywojennego jest fragment zespołu akt Prezydium Rady Ministrów, w tym 87 tomów protokołów posiedzeń Rady Ministrów z lat 1917-37 oraz częściowo z 1939 roku, część akt ministerstwa Spraw Wewnętrznych, niektóre materiały ministerstwa Spraw Zagranicznych i duży zespół akt ambasad RP w Berlinie, Londynie, Waszyngtonie, Pradze, częściowo w Moskwie. Archiwum Akt Nowych nie posiada własnego lokalu. Gmach przy ul. Hankiewicza — przeznaczony na archiwa warszawskie — jest zajęty przez Bibliotekę Narodową. Biblioteka Narodowa sama nie posiada wystarczających budynków. Decyzja budowy gmachu dla Biblioteki Narodowej zapadła już dawno, ale budowa dotąd nie została rozpoczęta.

28-4-73
Rynki Zagraniczne, wychodzące w Warszawie, podają że PRL w 1975 roku będzie musiała importować 14 milionów ton ropy, w 1980-ym — 28 milionów ton, w 1990-ym — 60 milionów ton. PRL musi szukać nowych źródeł importu. Pismo podkreśla, że „w przyszłości trzeba prowadzić wielokierunkową działalność, a nie monokulturę, która jest zabójcza". Ta informacja byłaby potwierdzeniem plotek o rosnących trudnościach otrzymywania ropy przez PRL ze Związku Sowieckiego. ■ W Rzeszowie podpisano umowę o współpracy przygranicznej województw: lwowskiego i rzeszowskiego. ■ W Nowej Hucie nastąpiło uroczyste odsłonięcie pomnika Lenina. Projekt pomnika jest opracowany przez artystę rzeźbiarza Mariana Koniecznego. ■ Edwin Wiśniewski, długoletni działacz gospodarki morskiej, został mianowany wiceministrem w ministerstwie Żeglugi. ■ „Metalzbyt" dostarczył do wrocławskiej zbiornicy złomu 40 ton złomu, w którym znajdowało się 25 ton nowych śrub, gwoździ i nitów, których brak jest na rynku. ■ W Związku Sowieckim powzięto szereg uchwał dla uratowania tegorocznych zbiorów, które w br. zapowiadają się równie źle, jak w ubiegłym. Niezależnie od tego ZSSR zakupi w Kanadzie w br. 5 milionów ton zboża. W ub. roku zakupiono 3,6 miliona ton.

30-4-73
Zmarł w Warszawie, w wieku 79 lat, ks. Antoni Marylski, prezes Twa Opieki nad Ociemniałymi, założyciel, wraz z matką Czacką, Zakładu dla Ociemniałych (1922-23) w Laskach i długoletni kierownik tego Zakładu. Laski pod kierunkiem ks. Korniłowicza i Jego stały się jednocześnie międzynarodowym ośrodkiem myśli katolickiej. ■ W Warszawie zmarła w wieku 78 lat, Natalia Zarembina, wdowa po znanym działaczu socjalistycznym, Zygmuncie Zarembie, autorka książki „Ruski miesiąc". ■ Tegoroczne nagrody literackie CRZZ zostały przyznane Julianowi Kawalcowi za książkę „Przepłyniesz rzekę" oraz Albinowi Siedleckiemu za książkę „Drzewo liście dobiera".

1-5-73
L. Breżniew otrzymał Międzynarodową Nagrodę Leninowską za utrwalanie pokoju między narodami.

11-5-73
W Warszawie spłonął doszczętnie „Dom Słowa Polskiego" — największe polskie zakłady graficzne. Pożar spowodował ogromne trudności dla wydawców i pism. Tak np. *Trybuna Ludu* drukuje się obecnie w Rzeszowie. Ponieważ pożar miał miejsce w czasie wizyty Breżniewa, który miał podobno wizytować „Dom Słowa" — w Warszawie mówi się, że była to demonstracja polityczna lub sabotaż, a nie wypadek.

ZACHÓD — EMIGRACJA

18-3-73
Walne zebranie Zjednoczenia Osadników Polskich w Afryce Południowej wybrało na prezesa Zjednoczenia — po śmierci Romana Królikowskiego — p. Z. Cieplińskiego. W skład nowego zarządu wchodzi 8 osób w tym 5-ciu przedstawicieli tzw. „młodej emigracji".

15-4-73
W Kolonii (NRF), w Kleine Gallerie, miała miejsce wystawa obrazów Stefanii Unwin. Stefania Unwin ukończyła Ecole Nationale Supérieure d'Architecture et des Arts Décoratives w Brukseli.

19-4-73
W Musée du Bastion Saint-André w Antibes odbyła się wystawa obrazów Marka Oberlandera.

24-4-73
W Nancy rozpoczął się IX Festiwal Światowego Teatru organizowany przez młodego teatrologa Bogdana Jędrzejowskiego. W czasie Festiwalu zostanie pokazanych 40 sztuk z 31 krajów. Z Polski będą trzy zespoły: teatr „Studio" z Warszawy, teatr „Stu" z Krakowa oraz zespół teatru Ludowego z Cieszyna.

27-4-73
Stowarzyszenie Inżynierów i Techników Polskich we Francji zorganizowało odczyt ilustrowany filmem amatorskim p.p. Plater-Zyberk pt. „Parę lat życia białego człowieka w Afryce".

29-4-73
W Gallerie Talisman w Los Angeles odbyła się wystawa retrospektywna Witolda-K. z okazji 25-lecia jego pracy artystycznej. ■ W wydawnictwie Gallimard w Paryżu ukazała się książka Adolfa Rudnickiego „La fuite de Iasnaia Poliana". ■ W Ognisku Kombatanta Polskiego w Paryżu miała miejsce lampka wina z okazji odznaczenia Komandorią Legii Honorową gen. B. Ducha.

30-4-73
Zmarł w Sztokholmie, w wieku lat 63, Łukasz Winiarski, wiceprezes PPS. Był to jeden z czynniejszych działaczy Polonii szwedzkiej: Prezes koła PPS Sztokholm, redaktor naczelny *Robotnika*, redaktor *Biuletynu Socjalistycznego*, b. redaktor sztokholmskich *Wiadomości Polskich*. Jako wiceprzewodniczący Komitetu Pomocy dla Uchodźców Europy Wschodniej przyczyniał się swymi interwencjami u władz szwedzkich do uzyskania azylu dla wielu uchodźców. W czasie wojny Ł. Winiarski był członkiem ZWZ, więźniem Pawiaka, Oświęcimia, Gross Rosen i Sachsenhausen. ■ W Londynie znajduje się w ostatnim stadium rokowań kontrakt między Wielką Brytanią a PRL na sumę około 500 milionów dolarów. Idzie o zakup licencji i zespołu produkcji traktorów i motorów Diesla z „Massey-Fergusson". Wszystkie dotychczasowe modele mają być wycofane i „Ursus" ma przejść całkowicie na produkcję „Massey-Fergusson".

1-5-73
W Brukseli odbyło się walne zebranie oddziału Bruksela Związku Polaków w Belgii. Prezesem został wybrany E. Pomorski, wiceprezesem i sekretarką J. Pomorska.

3-5-73

W Bibliotece Polskiej w Paryżu na dorocznym zebraniu Towarzystwa Historyczno-Literackiego prof. Jerzy Langrod wygłosił odczyt po francusku „Uwagi o tolerancji w dziejach Polski".

4-5-73

Instytut d'Etudes Slaves w Paryżu zorganizował Kollokwium na temat wojny polsko-sowieckiej w 1919-1920 r. ■ Londyński *Dziennik Polski* podaje, że utrzymanie Centrali Bibliotek Ruchomych w Londynie przez 25 lat kosztowało 133.000 funtów. Do 1966 roku Centralę finansowało londyńskie ministerstwo Oświaty, a potem brytyjskie biblioteki publiczne. Ze źródeł polskich biblioteka otrzymała przez to ćwierćwiecze 1.067 funtów — co stanowi 7 promille całej sumy.

8-5-73

W Musée d'Art Moderne w Paryżu odbył się wernisaż prac Aliny Szapocznikow — „Tumeurs-Herbier".

9-5-73

Staraniem Towarzystwa Przyjaciół *Kultury* w Sztokholmie odbył się odczyt dr. Stanisława Wellisza, profesora ekonomii uniwersytetu Columbia, o „Nowych kierunkach w stosunkach politycznych i gospodarczych Stanów Zjednoczonych ze światem". ■ Polskie organizacje niepodległościowe, istniejące na terenie NRF, wystosowały apel do społeczeństwa niemieckiego, Bundestagu i Bundesratu, do prasy etc., by na Konferencji w Helsinkach zajęto się losem 170 milionów Europejczyków, żyjących w krajach zależnych od Związku Sowieckiego, lub siłą do niego włączonych, a przede wszystkim aby żądano: zniesienia cenzury politycznej, amnestii dla więźniów politycznych i swobodnej wymiany informacji, idej i ludzi oraz realizacji konwencji praw człowieka i swobód obywatelskich.

12-5-73

Australijski *Tygodnik Polski* podaje, że w Jugosławii stracono 3 Chorwatów, obywateli australijskich. Fakt ten został zatajony przed rządem australijskim w momencie kiedy Jugosławia domagała się ekstradycji Chorwatów. Oczekuje się burzliwej debaty w parlamencie australijskim, a chorwacki komitet Praw Obywatelskich domaga się od ministra Sprawiedliwości, Murphy'ego, mianowania komisji, która udałaby się do Jugosławii dla zbadania tej sprawy,, tym bardziej że według informacji z kół chorwackich w więzieniach w Jugosławii znajdują się jeszcze inni Chorwaci — obywatele australijscy.

11-5-73

43-letni kompozytor polski, Romuald Twardowski, otrzymał pierwszą nagrodę muzyczną Księstwa Monaco za operę „Lord Jim". Jury tej 14-ej z kolei nagrody wyróżniło ponadto operę-balet „Miłość Orfeusza" Juliusza Łuciuka.

KRONIKA KANADYJSKA

W 1972 roku Kanada przyjęła 122.006 imigrantów — to jest o 106 osób więcej niż w 1971 roku. Jest to spadek, gdyż trzeba wziąć pod uwagę, że Kanada przyjęła 5.021 Azjatów z Ugandy i nadała status imigranta 25 tysiącom osób, które przybyły w charakterze turystów przed dwoma, czy trzema lat. Najwięcej imigrantów przybyło ze Stanów Zjednoczonych — 22.618. Z Polski przybyło 1.321 imigrantów, zaś ogółem obywateli polskich 1.403. ■ Krajowa Agencja Informacyjna z 21 marca br. zamieściła obszerną wiadomość z Kanady pt. „Dwaj uczeni" podkreślając wybitną rolę w życiu naukowym Kanady dr. Jerzego Wojciechowskiego i prof. Williama Rose. Najzabawniejsze w tej informacji jest to, że prof. Rose — rzeczywiście zasłużony dla sprawy polskiej — nie żyje już od szeregu lat. ■ Wydział historyczny Departamentu Stanu w Ottawie powierzył napisanie „Historii Ukraińców w Kanadzie" dwu profesorom uniwersytetu Alberta w Edmonton, pp. M. Lupul i I. Rudnyćkiemu. Praca ma być gotowa do druku w 1975 roku. ■ Kanadyjska prasa ukraińska z zadowoleniem odnotowuje zainteresowanie twórczością ukraińską w Polsce, wskazując m.in. na wydanie antologii poezji ukraińskiej, przygotowanej do druku jeszcze w 1938 roku przez Tadeusza Hollendra i wydanie powieści H. Honczara pt. „Sobór" w przekładzie K. Truchanowskiego. ■ Ukraińcy w Kanadzie rozpoczęli zbiórkę na pomnik pisarki Łesi Ukrainki, który ma stanąć w Toronto.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

24 marca br. zmarła w Nowym Jorku Hanna Szumańska-Grossowa, żona prof. Zygmunta Grossa, matka młodego socjologa, Jana. Była autorką szeregu tłumaczeń z literatury francuskiej. ■ W Nowym Jorku odbyło się posiedzenie Polskiej Rady Jedności w Stanach Zjednoczonych. Prezesem na kolejną roczną kadencję został wybrany Stefan Korboński. ■ 18 kwietnia br. w George Washington University odbył się odczyt Henryka Grynberga pt. „Żydowska tematyka w polskiej literaturze współczesnej", a 15 kwietnia br. odbył się recital poetycki poświęcony 30-ej rocznicy Powstania w getcie warszawskim. Recital, w opracowaniu Henryka Grynberga, obejmował wiersze poetów polskich i żydowskich pisane w czasie okupacji i bezpośrednio po wojnie. ■ Kalifornijski uniwersytet UCLA zaangażował w charakterze profesora do prac badawczych na wydziale medycznym młodego polskiego uczonego, dr. chemii prof. Andrzeja Mikulskiego. ■ Fort Lauderdale University na Florydzie sprowadził z Polski teatr esperanto. ■ W Nowym Jorku zmarł 21 marca br., w wieku 82 lat, Mark Jefimowicz Wejnbaum, redaktor *Nowogo Russkogo Słowa*, dziennika w języku rosyjskim, który powstał w 1910 roku. M. J. Wejnbaum prowadził pismo przez 52 lata. ■ 19 kwietnia br. zmarł, w wieku 61 lat, w Oshkosh (USA) Kazimierz Kranc, przemysłowiec i wybitny działacz kulturalny i społeczny. ■ 19 kwietnia br. zmarł w Waszyngtonie, w wieku 79 lat, Jan Ciechanowski, ostatni ambasador RP w Waszyngtonie, autor książki „Defeat in Victory". ■ W roku 1957 studenci ukraińscy w Stanach Zj. zorganizowali zbiórkę „od drzwi do drzwi" na katedrę ukrainistyki w Harvard. Zbiórka odbywała się w trzystu miastach, wpłaty wahały się od dolara do stu. W ciągu dziesięciu lat zebrano 280.000 dolarów. Profesor Omelian Pricak wezwał do rozszerzenia planu, w jednym tylko następnym roku 1968 zebrano dodatkowo 330.000 dolarów. Powstała wówczas pierwsza katedra ukrainistyki w Harvard, ale rosnące nieustannie tempo wpłat pozwalało żywić jeszcze ambitniejsze projekty. W chwili obecnej składki dosięgnęły ogromnej sumy dwóch milionów dolarów. W Harvard istnieją więc podstawy do stworzenia instytutu ukrainistycznego, z trzema katedrami (historia, literatura, język). Ilość Amerykanów pochodzenia ukraińskiego szacuje się na dwa miliony.

Listy do Redakcji

Grenoble, 2 maja 1973.

Szanowny Panie Redaktorze!

Nie przypuszczam bym był pierwszym który zareagował na opowieść „Towarzysze broni" pana A. Lubelskiego umieszczoną w *Kulturze* nr. 1/304-2/305.

Dziwię się bardzo postępowaniu p. Lubelskiego, który wysłuchał do końca opowiadań cynicznych tego SS-manna, jak również jego wypowiedzi, co do udziału w „Ruchu oporu". Dziwię się również *Kulturze*, że zechciała w ogóle umieścić tego rodzaju opowieści. Jestem przekonany że większość czytelników *Kultury* była równie oburzona jak ja zachowaniem p. Lubelskiego. Należało inaczej zareagować, posuwając się nawet do denuncjacji takiego zbrodniarza.

Z poważaniem,

Z. GOLCZYŃSKI

◆

Paryż, 6 maja 1973.

Szanowny Panie Redaktorze,

Ze współ-zrozumieniem przeczytałem w majowej *Kulturze* artykuł p. J. J. Horzelskiego o twórczości Dr. Immanuela Velikowskiego. Wpływ gwiazd na nasze życie doczesne zaprzątał umysły uczonych już od czasów Aleksandryjskich; mimo iż już kilka wieków wcześniej wredny Sokrates powiedział, że poznanie Wszechświata należy zaczynać od samego siebie. Chciałbym tutaj trochę uściślić geologiczno-psychoanalityczne wywody Velikowskiego, jako iż czuję się trochę jego kolegą po fachu — choć w sensie odwrotnym — z profesji jestem geofizyk a w psychoanalizie jestem amator.

Po pierwsze, jak z punktu widzenia geologii wygląda możliwość jakichś apokaliptycznych, totalnych klęsk żywiołowych w okresie gdy ewolucja była już na takim etapie, że człowiek mógł komunikować swoją historię kolejnym pokoleniom (tzn. ostatnie 20.000 lat, wtedy powstał Homo Sapiens?). Takie ograniczenie w czasie geologicznym prawie zupełnie wyklucza możliwość jakiejś gigantycznej katastrofy o charakterze kosmicznym. Dzięki zastosowaniu komputerów udało się odtworzyć wstecz zachowanie się układu słonecznego. Przy okazji potwierdzono chińskie zapiski o pojawieniu się komet i gwiazd supernowych, ale nie mogło to spowodować większych kataklizmów na ziemi[1]. Rozważania o „wybuchach" w układzie słonecznym, ucieczce ku podczerwieni, powstaniu księżyców wydają się nie mieć nic wspólnego z psychoanalityczną częścią artykułu. W okresie gdy się to wszystko działo to na ziemi nie było nie tylko psychoanalityków ale nawet

1. Aktualny stan wiedzy geofizycznej na ten temat, poparty wynikami obliczeń przeprowadzonych w wielu ośrodkach geofizycznych, zebrany jest w książce geofizyka australijskiego Stacey'a *The Physics of the Earth.*

glonów. (Możliwość oderwania się Księżyca od Ziemi ocenia się na 2,5 miliarda lat wstecz).

Istnieje druga możliwość — że kataklizm został spowodowany przez siły pochodzące z wnętrza lub powierzchni ziemi — jakiś gigantyczny wybuch wulkaniczny np. Krakatoa, trzęsienie ziemi, gigantyczna powódź. Geofizyk węgierski L. Stegena[2] zadał sobie trud dokładnego przeanalizowania tych zjawisk i doszedł do wniosku, że wszystkie takie kataklizmy miały charakter tylko *lokalny*, a jeśli odbywały się w większej skali to były bardzo powolne (np. cofanie się lodowca, wysychanie Sahary). To tyle geofizyka. Jak zatem wytłumaczyć, że w Biblii potop przyjął rozmiary totalne? Tu trzeba sięgnąć do psychologii. Jak sprawdzono archeologicznie, w dolinie Eufratu gigantyczne powodzie zdarzały się i naród nawiedzany tą klęską mógł się poczuć „wybranym" wobec narodów, które u siebie potopów nie miały. (Nie zapominajmy, że Polska została „Mesjaszem Narodów" po klęsce Powstania Listopadowego, a Niemcy poczuli się *übermensch*'ami po przegranej I wojnie światowej). A jak naród jest wybrany, to potop też musi być nie byle jaki i wraz z Biblią ten potop został sprzedany całej cywilizacji europejskiej, czyli stał się potopem totalnym.

Druga sprawa, która mnie zaniepokoiła u Velikowskiego, to są te psychoanalityczne wnioski z kosmicznych klęsk doznanych przez naszych pra-pra-przodków. Niewątpliwie zostałem obdarzony przez swe środowisko podświadomym lękiem kataklizmów, ale te kataklizmy w ostatnim stuleciu były prawie wyłącznie wynikiem aktów zbiorowej psychopatii nie zaś żadnej kuli ognistej z mieczem. Komory gazowe mieliśmy nie dla tego, że kiedyś kometa machnęła ogonem, ale dlatego, że jeden naród wybrany postanowił wykończyć drugi naród wybrany, a w dodatku posiadał on duże zdolności organizacyjne, lubił rzetelną pracę i wykazywał wysoką kulturę techniczną. Zaś o tych, kataklizmach uczyłem się nie po to abym wzbudzał u siebie nerwicę, ale po to aby im w przyszłości zapobiec.

Osobną sprawą wydaje się być tłumaczenie przyczyn powstawania nerwic. Widziana z okna mego mieszkania w Paryżu Tour Montparnasse dość wyraźnie przypomina mi gigantyczną trumnę, co niewątpliwie powoduje powstanie u mnie nerwicy, zwłaszcza że budowla ta stała się symbolem nadchodzących czasów. Gmach ten nie powstał jednak wskutek działań sił kosmicznych ale dzięki ciężkiej pracy narodu francuskiego, który — sądząc z gazet — sam zaczyna się czuć w tej strukturze jak szczur w klatce. W zwiększaniu zaś jego nerwicy niemały udział wydają się mieć psychoanalitycy, leczący nas opowiadaniami o „kuli ognistej z mieczem", a który doszli już do tak głębokiego zrozumienia naszej psychiki, że niedługo znajdą się w stadium wymagającym leczenie psychicznego.

Z poważaniem,

Marek GŁOGOCZOWSKI

2. L. Stegena, *Atlantis*, Budapest 1967. *Nota-bene* dzięki mojej propozycji przetłumaczono tę książkę na język polski.

◆

Dziękując serdecznie dr. Tymonowi Terleckiemu za nadesłanie ślicznego wycinka z polsko-amerykańskiej prasy o Uroczystościach Kopernikowskich, Grażyna Nowak gorąco apeluje do wszystkich Ludzi Dobrej Woli spoza Wysp Brytyjskich (gdzie czuwa osobiście) o nadsyłanie materiałów dotyczących obchodów Roku Kopernikowskiego na Ich terenie. Chodzi zwłaszcza o obchody wyróżniające się oryginalnością ujęcia i w ogóle odbiegające od przyjętej sztampy.

STYPENDIA „POLONIA TECHNICA"

Stowarzyszenie Polsko-Amerykańskich Inżynierów w Stanach Zjednoczonych, POLONIA TECHNICA, INC., uchwaliło przyznać na rok akademicki 1973/1974 stypendia studentom Polakom, matrykulowanym na wyższych uczelniach zagranicznych (poza Stanami Zjednoczonymi A.P. i Kanadą) i studiującym nauki techniczne lub im pokrewne, jak matematyka, fizyka, chemia, ekonomia przemysłowa. Wysokość stypendiów zostanie uchwalona przez Komisję Stypendialną Stowarzyszenia.

Zainteresowani studenci winni nadesłać w terminie do końca czerwca 1973 roku podania pod adresem:

Polonia Technica, Inc.
Komisja Stypendialna
36 West 56 St., Apt. 1 C
New York, N.Y. 10019, U.S.A.

Do podania należy załączyć życiorys, zaświadczenie uczelni o przyjęciu na rok akademicki 1973/1974 (wydział i rok studiów), oraz refereneje dwóch osób, znających osobiście kandydata.

Zaświadczenie uczelni dla kandydatów, ubiegających się o stypendia nie po raz pierwszy, winny zawierać wykaz egzaminów, złożonych w 1972/1973 roku. Podania winny być indywidualne; podania grupowe nie będą rozpatrywane.

Zawiadomienia o wynikach podań wysłane zostaną z końcem lipca br.

ZARZĄD „POLONIA TECHNICA, INC."
W. J. KLIMKIEWICZ
Przewodniczący Komisji Stypendialnej

LICEUM POLSKIE NAD MARNĄ

przyjmuje do dnia 30 czerwca 1973 zapisy chłopców i dziewcząt:

1) do wszystkich klas Liceum z programem europejskim, jeśli ukończyli co najmniej szkołę podstawową i 12 lat życia;

2) na roczny kurs języka i kultury polskiej i francuskiej, połączony z pomocą korepetycyjną z innych przedmiotów;

Początek dla 1) i 2) — 15 września 1973.

3)na czteromiesięczny kurs maturalny od 15 lipca do 15 listopada 1973 połączony z intensywną nauką języka francuskiego.

Opłata za naukę i internat z pełnym utrzymaniem wynosi odpowiednio: 1) — F. 4.500,00; 2) — F. 5.500; 3) F. 2.400 płatne kwartalnie lub miesięcznie.

Szczegóły na żądanie:

Lycée Polonais
77660 - Changis s/Marne.
Tel.: 435 90 22.

Włoski korespondent „Kultury": Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal : 2e Trimestre 1973.

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Le Mesnil le Roi par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 219 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria	R. 1,20	R. 7,50	**R. 14,50**
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25	F. 9,00	F. 50,00	**F. 95,00**
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW. 2000, tel. 212-2013	$ A 1,50	$ A. 9,00	**$ A. 17,50**
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	—	Sch.A. 250,00	**Sch.A. 450,00**
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 18-69-23	F.B. 90,00	F. B. 500,00	F. B. 950,00
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, rue Guiara 143, villa Pompeia, 05025 Sao Paulo. Tel. 62-0523	$ US 2,00	$ US. 11,00	**$ US 20,00**
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryzu	F. 9,00	F. 48,00	**F 90,00**
HOLANDIA : Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 1379176	Flo. h. 6,00	Fl. h. 35,00	**F. h. 65,00**
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel. 486-2839; **B. Krasuski,** 8 High Park Blvd., Toronto 3, Ont.; Rev. **Donald Malinowski,** 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man.; Tel. 586-3825; **Z. Micherdzinski,** 24, Facer St., St. Catharines, Ontario; **Henryk Slowikowski,** 14 Southern Drive, Ottawa, Ont. K1S OP4; **Polish Voice Publishing » Co.,** 1089 Queen str. W., Toronto 145, Ont.; **« ZWIAZKOWIEC »,** 1475 Queen Str. W. Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491	$ Can. 2,00	$ Can. 11,00	**$ Can. 20,00**
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1	DM. 6,00	DM. 35,00	**DM. 65,00**
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F. 9,00	F. 50,00	**F. 95,00**
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Case postale, 1211 Genève 7. Tel. 33 34 20, Nr konta pocztow. 12.14431	F. . 8,00	F. S. 40,00	**F. S. 75,00**
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm., Tel. (08) 60 15 70	K. S. 9,00	K. S. 50,00	**K. S. 95,00**
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; **L. Dudarew-Ossetynski,** 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; **Maria E. Dobrowolska,** 4419 N. Pershing Dr., Arlington, Va. 22203; **T. Konopacki,** 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145, Tel. 8714847; **Ch. M. Kretowicz,** 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271; **V.B. Kwast,** 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346, **M. Kosciuch,** 12331 French Road, Detroit, Mich 48234; **Polish Book Store,** 1002 Fanshawe St., Philadelphia, Pa. 19111; **Edward Posyniak,** 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; **The Polish Book Importing Co.,** 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. **POLONIA,** Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, III. 60618. **R.J. Sas-Babczynski,** 15717 Woodruff Ave., Nr 44, Bellfower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; **Jan Wojcik.** 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053	$ US 2,00	$ US 11,00	**$ US 20,00**
W. BRYTANIA : P.C.A. Publications Ltd, 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.	£ 0,75	£ 4,00	**£ 7,75**
WLOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	L. It. 1200	L. It. 6000	**L. It. 11000**

W krajach niewymienionych prenumerata roczna F. 95; półroczna F. 50.
Przesyłka pojedynczego numeru: F. 0,80.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze na konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil le Roi, par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 *(z Francji)*
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 *(z zagranicy)*.

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 226 — ADAM KRZYŻANOWSKI

DZIEJE POLSKI

Praca przedstawia dzieje Dwudziestolecia Polski Niepodległej, specjalnie szczegółowo naświetlając przygotowania Stalina i Hitlera do rozbioru Polski. Książka nie mogła ukazać się w kraju.

Str. 456. Cena F. 35 (dol. 8,00; £.stg. 3.00)

◆

TOM 227 — KAZIMIERZ ORŁOŚ

CUDOWNA MELINA

Powieść młodego ale już znanego pisarza malująca stosunki Polski prowincjonalnej.

Str. 180. Cena F. 20 (dol. 4,50; £.stg. 1,75)

◆

TOM 229 — SERIA „DOKUMENTY"
ZESZYT 40-ty

WYMIAR SPRAWIEDLIWOŚCI W PRL

zawiera: *L. Czuma: Do Rady Państwa PRL* — Apel z poparciem prymasa Wyszyńskiego i kardynała Wojtyły. — *Ostatnie słowo Leona Zawadzkiego.* — Stanisławy Reymann: *List Otwarty do Angeli Davis.* — *Opinię biegłego — Tadeusza Zaręby.* — *Postanowienie prokuratora Wiesławy Bardonowej.*

Str. 64. Cena F. 7 (dol. 1,60; £. 0.70)

◆

TOM 230 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DWUDZIESTY CZWARTY

zawiera m.in.: *Spór o wydarzenia marcowe;* P. Korca: *Materiały do studiów nad historiografią PRL w zakresie historii najnowszej (IV);* A. Litwina: *O Radach Robotniczych;* St. Stempowskiego: *Z pamiętnika* (dok.); *Protokoły KC — 1945;* W. Babińskiego: *Wymiana depesz między Nacz. Wodzem a D-cą Armii Krajowej* (II); Z. S. Siemaszki: *Misja kuriera politycznego Mostwina* oraz RECENZJE I LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240. Cena F. 20 (dol. 4,50; £. 1,70)

Cena 9 F

RICHARD S.A. - Paris - 606-88-26

19K